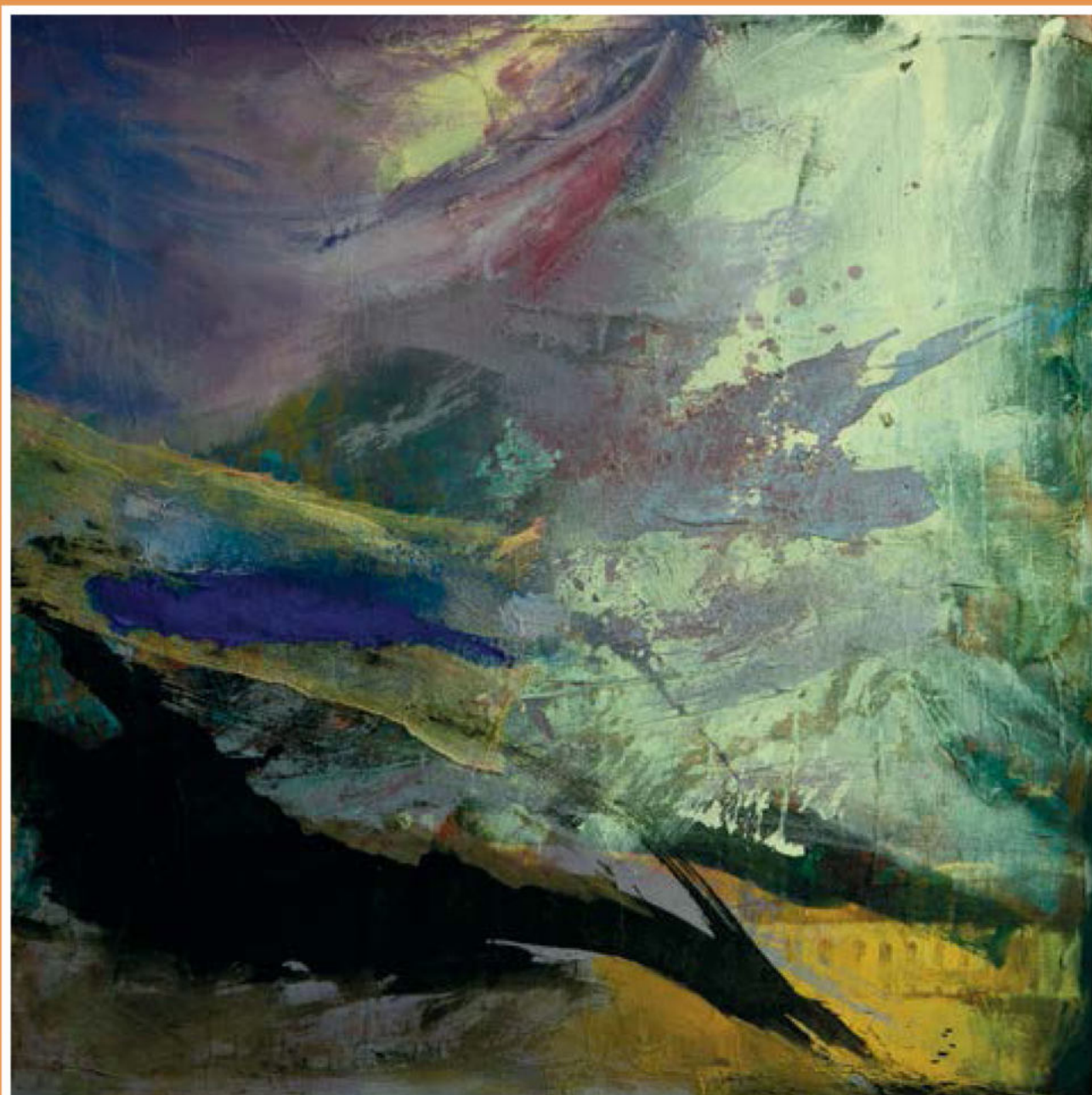


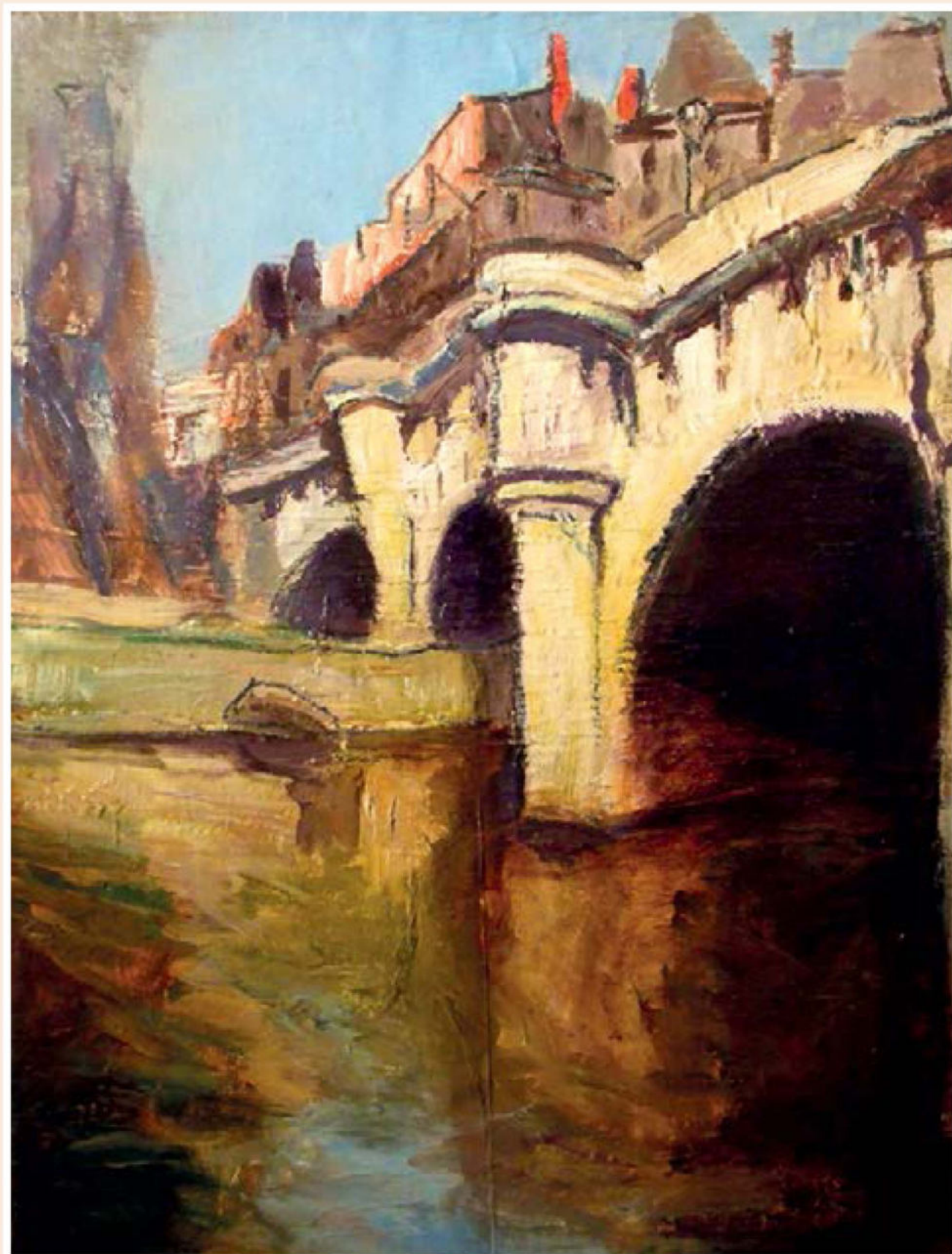
LUBLIN

20
LAT

kultura i społeczeństwo

nr 3-4 (119-120) Rok XX
maj-sierpień 2023





Mariusz Kiriya, 1997.r. (*Paris, Pont Neuf*)

nadzieja

.....

stąd nadzieja wyklęta nadzieźdo.
krąg drapieżny. wrony. woroneż.
został numer. znaczy: nie człowiek.
cały obszar więzieniem i grobem.

ile kłamstw upowszechnią na zewnątrz
tylu tutaj zadławią w śledztwie.
ludzie boją się głośniejsz odetchnąć.
zrobią wszystko co władza zechce.

ludziom prawdy trzeba jak powietrza
bo cóż będzie z narodem: spodleje
ograbiony z rozumu i z serca.
od współczucia zaczynaj nadziejo.

wyjednane z trudem widzenia.
szepł jak wiersz. wyznanie pod pieczęcią.
tupot straży. krok bliżej do śmierci.
i cóż na to wasz Bóg i Sędzia?

„twoim uzkim pleciami pod biczami krasniet”
aż zawstydzisz się życia i zachwycisz się śmiercią.
„nu a mnie za ciebie czerniej świeczki goriet’
czerniej świeczki goriet’ da molit’sa nie smiet”.

drwili: więcej nie przychodź. nie ma nawet mogiły.
swoich ofiar nie odda katoga.

nad amurską zatoką wicher wył panichidy
i znak przybył w księdze Pantokratora

Maria Józefacka

**LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO**Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych**Wydawca:**Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26**Redakcja:**Zbigniew Włodzimierz
Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Jadwiga Król
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)**Adres redakcji:**20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl**Skład, druk, oprawa:**Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17**WWW.LUBLIN-CZASOPISMO.PL**Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych
materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do
redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.**Na okładce I:**MARIUSZ KIRYŁA, akryl, płótno,
1 Z 3, 2020 r.Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa NarodowegoLubelskie
Smakuj życie!**W numerze:**

nadzieja – Maria Józefacka	3
Drodzy Czytelnicy	5
Prorok oznacza posłany – ks. Edward Walewander	6
Iłakowiczówna inna niż inni. Nałęczowski klucz do wolności – Maria Józefacka ..	10
Zbiórka na Macierz – Kazimiera Iłakowiczówna	15
Opowieść małżonki świętego Aleksego – Kazimiera Iłakowiczówna	16
Wiersze – Kazimiera Iłakowiczówna	18
Adolf Nowaczyński o polskim charakterze narodowym – Stefan Kruk	20
Czeski film, dowcip, lokomotywa – Zbigniew Wrona	26
Pierwsza dekada dekomunizacji literatury (1990–2000) – Mariusz Solecki	27
Partyzant „Jaś” mówi (wspomnienia Jana Ostańskiego „Jasia” z oddziału „Rysia” od „Zapory”) – Stanisław Żurek	36
„Z pod komendy generała Bema...” O Franciszku Bagińskim opowieść – Jerzy Michał Sołdek	42
Czy pusta kolumna domu gotyckiego w Puławach to ukryty symbol z biblijnej Księgi Jeremiasza? – Kazimierz Parfianowicz	51
Obcy u siebie. Europa przyszłości? – Zygmunt Zieliński	53
Polska tarcza przeciwko bolszewickiej rewolucji. Bitwa Warszawska i jej znaczenie – Bartosz Staręgowski	57
Aleksander Onoszko (1910–1994) – pilot sportowy, doświadczalny i wojskowy – Wojciech Czarniawski, Ludmiła Wołoczko	61
Prawdziwe dzieje Judasza – Bernard Nowak	68
Ludzie i ich pasje. Inżynierska twórczość (Ireneusz Targoński) – Krzysztof Stankiewicz	76
Malarstwo drogą do poznania siebie i świata (Mariusz Kiriła) – Lech L. Przychodzki	82
Wściekli sześćdziesięcioletni (autobiografia) odcinek ósmy – Jerzy Jacek Bojarski ...	93
List do przyjaciela księdza profesora Zygmunta Zielińskiego – ks. Edward Walewander	102
O przyjaźni – Khalil Gibran	103
Edwardzie – ks. Zygmunt Zieliński	104
Spotkania z Ukrainą – dobre i złe – Artur Metera	105
Cykl: Przelotem, #2, Krzywa 19: Biskupiak i Liceum Pedagogiczne – Jadwiga Mizińska	112
Wiersze – Małgorzata Jesipowicz	115
Koszula cara Aleksandra – Zbigniew Włodzimierz Fronczek	116
Konkursy literackie	117
Odpowiedzialność za lubelską komedię – Zbigniew Włodzimierski	118

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego,
jak również ze środków finansowych Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

DRODZY CZYTELNICY,

nic straszniejszego niż ograbić naród z rozumu i serca. Próby ograbienia narodów z wiary we własne siły, w moc swego ducha, podejmowano już przed laty, podejmuje się i dzisiaj. Oczywiście, nie brakuje możliwości skutecznej obrony, ale wielu odrzuca broń, dobrowolnie oddaje się w niewolę. Frazę, nad którą boleśnie się zadumałem, zaczerpnąłem z przejmującego wiersza Marii Józefackiej *nadzieja*. Ten piękny, liryczny utwór otwierający numer „Lublina” poświęciła Autorka losom rosyjskiego poety Osipa Mandelsztama i jego żony Nadieжды. Mandelsztam trafił do łagrów za krytyczno-prześmiewczy wiersz o Stalinie. Fragment utworu w przekładzie S. Barańczaka brzmi:

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy,

A w półśłówkach, półtrozmówkach naszych
Cień górala kremlowskiego straszny.

Palce tłuste jak czerwie, w grubą pięść układa,
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.

Śmieją się karaluszki wąsiska
I cholewa jak słońce rozbłyśka.

Twórca zakończył żywot w łagrach, spoczął w bezimiennym mogile. O Rosji powiedział: „To jedyny kraj, który szanuje poezję: zabijają za nią. Nigdzie indziej tak się nie dzieje”. A wiersz Marii Józefackiej pochodzi ze zbioru *Drogo/cenne*. Wydany został w serii *Książki Duma Lublina* (rok 2020) firmowanej przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Publikujemy również piękny esej Marii Józefackiej poświęcony Kazimierzowi Iłłakowiczównie. Iłła – wybitna poetka, gorąca patriotka – została zatrudniona przez Piłsudskiego w charakterze sekretarza w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gdzie – jak pisze autorka eseju – „rozpatrywała dziesiątki próśb, skarg i zażaleń nadsyłanych do człowieka, który wydawał się wszechmocny”.

Dlaczego o tym wspominam? Otóż przed laty mój dziadek Aleksander Wójcik, gospodarz we wsi Dąbie, poruszony biedą swego sąsiada poradził mi, aby napisał o swej niedoli do Pana Boga.

– Gdzie go szukać? – zainteresował się biedaczyna.

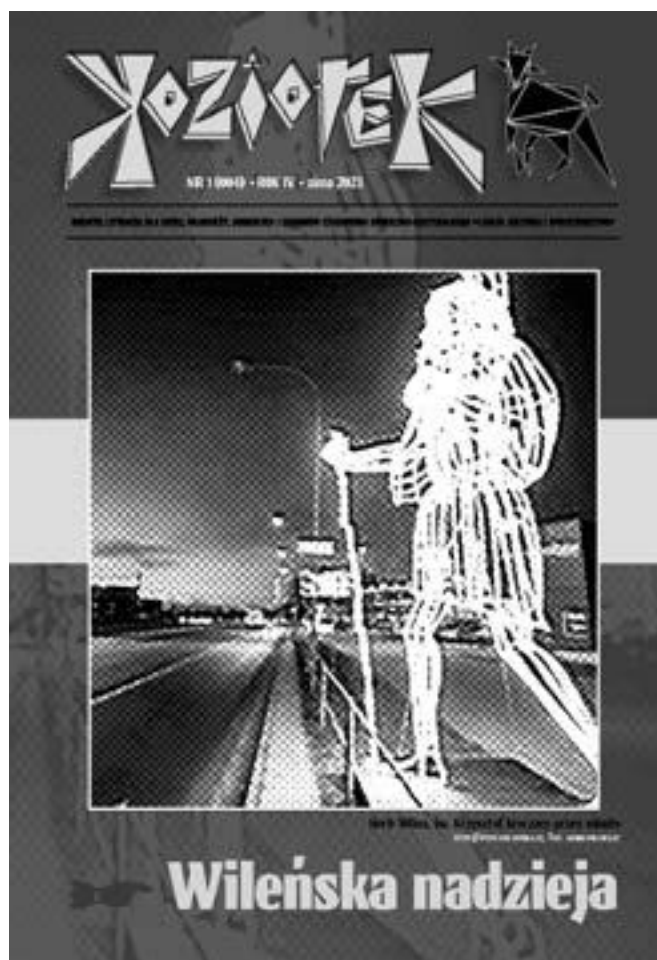
– Pisz do Pana Boga w Warszawie – ponaglił sąsiada, a kiedy ten ociągał się zbyt długo, dziadek w jego imieniu – kopiającym ołówkiem na kartce szkolnego zeszytu – narysował obraz sąsiedzkiego niedostatku. Na kopercie – bez znaczka pocztowego – napisał: „Do Pana Boga w Warszawie”. Poczta nie miała wątpliwości, gdzie znajduje się

Boża rezydencja. Korespondencja nie minęła bez echa. Urzędnicy gminy, w której znajdowała się wieś mizeroty, otrzymali z Ministerstwa polecenie bezzwłocznego wspomnienia nadawcy przesyłki. Rzec przedstawiłem w wydanym przed wielu laty zbiorze opowiadań *List do Pana Boga w Warszawie*. Przypominam tę historyjkę, bowiem po lekturze rozprawy Marii Józefackiej nabrałem przekonania, że nad listem autorstwa mojego dziadka pochyliła się Iłłakowiczówna...

A w numerze: piękne szkice ks. prof. Edwarda Walewandra *Prorok oznacza posłany*, prof. Stefana Kruka o Adolfie Nowaczyńskim, Bartosza Staręgowskiego o wojnie polsko-bolszewickiej, Mariusza Soleckiego o dekomunizacji, a także niepokorne rozważania polityczne ks. prof. Zygmunta Zielińskiego. Polecam poruszającą poezję, oryginalną prozę, listy o przyjaźni, gawędy historyczne, rozprawy o sztuce, wspomnienia, felietony.

I do spotkania za dwa miesiące – REDAKTOR

PS. Do numeru „Lublina” dodatek „Koziołek” poświęcony literackim kontaktom Lublina i Wilna. W zeszycie „Wileńska nadzieja” opowiadania o litewskich pragnieniach, przekonaniach, możliwościach i szansach.



KS. EDWARD
WALEWANDER

Prorok oznacza posłany



Guido Reni (1575-1642), rytownik Raffaello Morghen (1758-1833)
Kazanie św. Jana Chrzciciela, miedzioryt 52×34,3 cm, przed 1800,
zbiory POLONA

OSTATNIM PROROKIEM STAREGO TESTAMENTU był, jak wiadomo, św. Jan Chrzciciel. Był on posłany, by torować drogę Mesjaszowi, o czym zaświadcza św. Mateusz Ewangelista, cytując słowa samego Jezusa: „Po cóście więc wyszli? Proroka zobaczyć? Tak, powiadam wam, nawet więcej niż proroka. On jest tym, o którym napisano: Oto ja posyłam mego wysłańca przed Tobą, aby Ci przygotował drogę. [...] Wszyscy bowiem Prorocy i Prawo prorokowali aż do Jana. A jeśli chcecie przyjąć, to on jest Eliaszem, który ma przyjść” (Mt 11,9-10.13). Dzisiaj prorok, w przekonaniu wielu, to po prostu inna nazwa (synonim) dla wróżbity, przepowiadającego to, co ma nastąpić. Nic bardziej

mylnego. Prorocy nigdy nie byli wróżbitami, zawsze spełniali misję komunikowaną im, w rozmaity sposób, przez Boga i przekazywali Jego słowa. Ta ich rola się skończyła z chwilą, kiedy Bóg dał przekaz swojej woli przez Wcielone Słowo. Czyli, mówiąc wprost, przekazał ją osobiście.

Mając w pamięci postać przywołanego przed chwilą proroka Eliasza, przenieśmy się myślą do naszej społeczności. Czy po epoce proroków starotestamentowych Bóg nie używa już swoich stworzeń, by przez nie działać w świecie? A może każdy z nas bywa posłany, choć nie tak jak wielki Izajasz, Eliasz, jego uczeń Elizeusz czy Natan. Czyż nie czuliśmy niekiedy jakiegoś wewnętrznego imperatywu, by działać, choć po ludzku mówiąc nie mieliśmy na to najmniejszej ochoty? Warto być czujnym na takie wezwanie, gotowym na przyjęcie posłannictwa.

Może nam w tym pomogą dzieje Eliasza. Są tak bliskie naszej codzienności. Eliasz rozpoczął swoją służbę Bogu z niezwykłym entuzjazmem (por. 1 Krl 17-20). Później, na skutek różnych niepowodzeń w swojej misji, zniechęcony uszedł na pustynię i chciał tam umrzeć. Ale objawił się mu Bóg, i to objawił się nie w wicherze ani nie w trzęsieniu ziemi, ani nie w ogniu, lecz w łagodnym powiewie wiatru. Podźwignął proroka z załamania, w jakie popadł, dodał otuchy. Kazał mu po prostu posilić się, bo czeka go daleka droga. Pokonawszy, dzięki Bożej ingerencji, wewnętrzne załamanie, Eliasz zawołał donośnym głosem: „Żarliwością zapłonąłem o chwałę Pana, Boga Zastępów, gdyż Izraelici opuścili Twoje przymierze, rozwalili Twoje ołtarze i Twoich proroków zabili mieczem. Tak, że ja sam tylko zostałem, a oni godzą jeszcze i na moje życie” (1 Krl 19, 14).

Eliasz występuje przed królem Achabem jako sługa Boży. Rozpoczyna swoją misję, wyznając przed królem: „Na życie Pana, Boga Izraela, któremu służę” (1 Krl, 17, 1). W ten sposób przedstawia się i uzasadnia swoje posłannictwo. Zresztą już samo jego imię jest wielce wymowne. Eliasz, po hebrajsku אליהו Eliyáhu, tłumaczy się „Jahwe jest Bogiem” albo „moim Bogiem jest Jahwe”. To przekonanie i imię niczym dewiza są wielką, na wskroś osobistą siłą jego proroczej misji.



Lauwers Coenraad wg Petera Paula Rubensa, *Prorok Eliasz na pustyni*, z serii 5 rycin „Triumf Eucharystii”, 1647–1651, Gabinet Rycin, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie

Przenosząc to wszystko do duchownego dziedzictwa Nowego Testamentu, możemy stwierdzić, że mamy tam podobne określenie misji spełnianej w imię Boże. Oto bowiem Marek Ewangelista zapisał: „I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki” (Mk 3, 14).

Jak się okazało, Eliasza, jak chyba mało który inny człowiek, z polecenia Pana musiał pozostawać ciągle w drodze. Wziął na siebie ciężką próbę nieustannej wędrówki. Pismo Święte odnotowuje pewien szczegół dotyczący jego, trzeba przyznać dość skromnego, wyglądu podczas tej ekskursji, a mianowicie, że nosił włosiany płaszcz i opasywał się skórzanym pasem. Takie same włosienne szaty i skórzany pas dookoła bioder nosił potem Jan Chrzciciel. Z Nowego Testamentu znamy też perykopę o wyposażeniu uczniów Chrystusa, jakie mieli zabierać na drogę. „Nie noście z sobą trzosa ani torby, ani sandałów” (Łk 10, 4). Zatrzymajmy się przy tych słowach. Polecenia Pana skierowane do Jego uczniów są dla nas niekiedy, przynajmniej, solą w oku. Ulegamy bowiem niestety poważnemu niebezpieczeństwu, jakby nie patrzeć, materializmu. Mało jest miejsc w Ewangelii, które by tak niepokoiły współczesnego człowieka i wewnątrz nie dawały mu spokoju.

Jesteśmy wprawdzie dziećmi naszego czasu, ale ciągle musimy prosić naszego Nauczyciela: Panie, dozwól, bym nie przyzwyczaił się do tego dobra, które przypada mi w udziale. Daj mi siłę, bym mógł zafascynować się Twoim wołaniem do ubóstwa, i zapał do tego, abym ciągle był w drodze w Twoje imię. Pozwól mi to wszystko realizować tak, jak to możliwe do urzeczywistnienia przez ludzi naszych czasów.

Im bardziej żyjemy treścią naszego przepowiadania, tym bardziej – bezpośrednio i naturalnie – w naszym życiu będzie się wyrażać ubóstwo. Jeśli będziemy autentycznie żyć treścią nauki Jezusa Chrystusa, uwidoczni się ona w naszym postępowaniu: w dzieleniu się z drugim człowiekiem, w szczodrości wobec biednych i cierpiących, w osobistej skromności i okazywaniu gościnności.

Eliasz na pustyni u kresu swoich sił

Przypomnijmy sobie drogę proroka Eliasza na pustynię. Eliasz podjął niezwykle decyzję. Udał się na pustynię, w miejsce, z którego nie było dla niego powrotu. Tam „przyszedszy, usiadł pod jednym z janowców i pragnąc umrzeć, powiedział: «Wielki już czas, o Panie! Zabierz moje życie!»” (1 Krl 19, 4). Ten istny zapaleniec z góry Karmel z pewnością nie był Herkulesem. Był człowiekiem takim jak my. Spodziewał się współczucia, oczekiwał może jakichś żalów nad sobą i swoim losem. Poznał w swojej posłudze smak utraty chęci do życia i działania.

Czy jest to jeszcze ten sam Eliasz, który pełen nadziei modlił się na górze Karmel i został wysłuchany; który wołał tam z przekonaniem: „Jahwe jest Bogiem! Jahwe jest Bogiem!”. Teraz prosi: „Wielki już czas, o Panie! Zabierz moje życie!”. A swoją prośbę tak uzasadnia: „Bo nie jestem lepszy od moich przodków” (1 Krl 19, 4). Nie przyniata go tym razem sprawa załamania się jego misji, ale to on sam załamuje się wewnątrz z powodu swojej niezwykłej wierności Bogu.

W takiej sytuacji może się znaleźć każdy z nas. Każdy na swój sposób. Możemy mieć podobne problemy. Dlaczego nie potrafimy się przyznać, że chwile słabości nie są nam obce? Potwierdza to w całej pełni obserwacja życia. Znamy ciężar naszego posłannictwa. Przygniatają nas różne doświadczenia: osłabienie wiary, kłopoty w życiu osobistym, rezygnacja, poczucie samotności, choroba. Zna je każdy człowiek, w tym też, nie ma wyjątków, każdy chrześcijanin. Ale trudności tych, których Pan powołał do kapłaństwa, są czymś szczególnym. Wspomnijmy tu porywające słowa Pawła Apostoła: „Unikamy postępowania ukrywającego sprawy hańbiące, nie uciekamy się do żadnych podstępów ani nie fałszujemy słowa Bożego, lecz ukazywaniem prawdy przedstawiamy siebie samych w obliczu Boga osądowi sumienia każdego człowieka. [...] Nie głosimy bowiem siebie samych, lecz Chrystusa Jezusa jako Pana, a nas – jako sługi wasze przez Jezusa” (2 Kor 4, 2-5).

Chcimy te godziny próby, wszystkie trudności i niepowodzenia przyjąć w duchu całkowitego oddania się Chrystusowi. Takie podejście pomoże nam pokonać to, co jeszcze nas czeka – tak jak stało się z prorokiem Eliaszem „pod jednym z janowców” (1 Krl 19, 4). „Zewsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu – pisał św. Paweł w Drugim Liście do Koryntian. – Żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni; obalają nas na ziemię, lecz nie ginimy. Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele. Ciągłe bowiem my, którzy żyjemy, jesteśmy wydawani na śmierć z powodu Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym śmiertelnym ciele” (2 Kor 4, 8-10).

Jestem posłany. Nie mogę rezygnować. Mam stale re-alizować zobowiązania, jakie podjąłem wobec Chrystusa, i to konsekwentnie, bez względu na trudności. Nawet wtedy, gdy wypełniając swoje powołanie chrześcijańskie, muszę nieść w pokorze krzyż. Chrystus stał się z wyboru jakby ostatnim. Umarł na krzyżu, tak jak umierali złoczyńcy. Wcześniej wykonał czynność przynależną służącemu, umywając uczniom nogi. Będąc w swoich działaniach jakby ostatnim, stał się pierwszym w historii. Stał się jej punktem zwrotnym.

Trzeba zatem wyrobić w sobie przekonanie: wiem, że jestem posłany. Bóg często przemawia do mnie w różny sposób. Toteż nic nie może mnie zrazić, nic nie może mnie powstrzymać w mojej misji powołania. Dlatego mogę ciągle wołać – tak jak Eliasza: „Jahwe jest Bogiem! Jahwe jest Bogiem!”

Umacniaj twoich braci

Przypomnijmy sobie znamienne słowa Chrystusa skierowane do św. Piotra: „Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żeby was przesiać jak pszenicę; ale Ja prosiłem za tobą, żeby nie ustała twoja wiara. Ty ze swej strony utwierdzaj twoich braci” (Łk 22, 31-32).

Również my jesteśmy ciągle posyłani, aby wzajemnie się utwierdzać. Posłany przez Pana jest pełen ufności, ponieważ spotkał i doświadczył Bożej obecności. Jednocześnie jest pełen pokory, gdyż ciągle upada z powodu swojej słabości.

Chrześcijanin działa w świecie, otrzymując siłę ze źródła, jakim jest łaska miłości Bożej w ukrzyżowanym Panu. Rzuca przezornie wokół siebie szukającym wzrokiem, by „utwierdzać swoich braci”. Właśnie w tym należy widzieć najważniejszy nakaz Kościoła w naszych czasach.

Mamy utwierdzać się wzajemnie, umacniać naszych braci. Nasze życie wyda pełne owoce tylko wtedy, gdy będziemy ze sobą współpracować, umacniać się i wzajemnie sobie pomagać – w tym samym domu, w tej samej parafii, w sąsiedztwie, w całej diecezji i w całym Kościele. Chciejmy tak postępować, by promieniowało od nas światło, dobroć, siła i moc. Aby Kościół mógł znaleźć właściwe miejsce w świecie, musimy poprzez braterską łączność oraz przez naszą ludzką, pokorną i pełną oddania miłość całkowicie poświęcić się Chrystusowi. To zadanie dla każdego chrześcijanina.

Kiedy Maryja przyjęła posłanie Anioła Pańskiego i wypowiedziała swoje „niech mi się stanie według twego słowa” (Łk 1, 38), wyruszyła w drogę do Elżbiety, swej krewnej, która oczekiwała na urodzenie dziecka, aby jej służyć, by być przy niej w trudnej sytuacji. Maryjna postawa służby stała się odtąd podstawą życia chrześcijańskiego. Kto naprawdę wierzy ten powinien służyć ludziom. Wiara jest wyjściem, skłania do podjęcia ważnej decyzji. Wiara skierowała Noego do arki, Abrahama skłoniła do tego, aby opuścił rodzinne strony. Wiara prowadziła Mojżesza i jego lud na Synaj i nad brzegi Jordanu.

Gdy Jezus Chrystus miał 30 lat, wyruszył z Nazaretu, żeby głosić prawdę o Królestwie Bożym po całej Palestynie. Według Ewangelii św. Jana po powołaniu uczniów Jezus rozpoczął swą działalność publiczną. Czyniąc pierwszy cud na weselu w Kanie Galilejskiej (J 2, 1-12), dał niezwykle świadectwo swojej boskiej mocy.

Pierwszy cud Jezus uczynił na prośbę Matki Najświętszej. Maryja powiedziała dyskretnie do swojego Syna. „Nie mają już wina” (J 2, 2). Prawdopodobnie działo się to na weselu ubogich ludzi. Maryja wstawiła się za biednymi nowożeńcami, pragnąc zaoszczędzić im kłopotu i wstydu. Jezus odpowiedział Matce: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?” (J 2, 4). Słowa te wcale nie znaczyły odrzucenia prośby, bowiem bezpośrednio po tym Maryja powiada do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J, 2, 5). W swej odpowiedzi Jezus wskazuje na to, co ma nastąpić w przyszłości. Jego godzina to Wielki Piątek i poranek wielkanocny. To, co miało nadejść, to godzina ustanowienia Eucharystii, w której Chrystus Pan dał człowiekowi swoje Ciało i swą Krew jako zadatek życia wiecznego. Myślał też zapewne wtedy Zbawiciel o godzinie oddania swego życia, by odkupić ludzkość. W swej odpowiedzi Chrystus wskazywał także na tajemnicę krzyża.

Niemiecki myśliciel Erich Kästner na początku trudnych lat trzydziestych XX wieku wydał powieść pt. *Fabian*. Historia pewnego moralisty, która do dzisiaj cieszy się sporą poczytnością. Główny bohater, którego imię znalazło się w tytule utworu, stwierdził: „Europa ma teraz wielką pauzę. Nauczyciele wyszli. Rozkład lekcji zaginął. Stary kontynent nie przerobi programu klasy. Programu żadnej klasy” (Warszawa 1961, s. 59). Jakby tego było za mało, w późniejszym dialogu ten sam bohater dodaje: „Siedzimy w poczekalni, i znów ta poczekalnia nazywa się Europa. I znów nie wiemy, co się z nami stanie. Żyjemy tak na tymczasem, a kryzys się nie kończy. Jeżeli wszyscy będą tak myśleli jak ty, nigdy nie dojdzie do stabilizacji. Sądzisz, że ja nie odczuwam prowizorycznego charakteru naszej epoki? Przypuszczasz, że niesmak to tylko twój przywilej? Ale ja nie poprzestaję na przyglądaniu się, ja staram się postępować rozsądnie”.

Teraz rozumiemy, dlaczego pedagogia Kościoła przypomina nam płomiennego Eliasza. Zachęcony przykładem proroka, nie mogę poprzestać na przyglądaniu się kryzysowi, na pustym kibicowaniu złu. Przeciwnie, mam starać się postępować rozsądnie. Jeśli czujemy, że jesteśmy posłani, nie panikujmy jak Eliasza. Wydawało mu się, że umiera, a przecież szedł dalej. Każdy ma swoją górę Horeb i – tak jak Eliasza – każdy do niej dojdzie, jeśli jest posłany.

KS. EDWARD WALEWANDER

MARIA
JÓZEFACKA

Iłakowiczówna inna niż inni

Nałęczowski klucz do wolności

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA (1892–1983) była w prostej linii wnuczką Tomasza Zana. „Arcypromienisty”, primus inter pares młodego Adama Mickiewicza, przydomek swój zawdzięczał teorii, jaką głosił, a mianowicie, że promieniuje swoją osobowością na innych pozostawiając niezatarty ślad.

Udowodnił swoją tezę równo dwieście lat temu. Gdy zdekonspirowano filaretów i w 1823 roku toczył się w Wilnie słynny proces, chłopcom groziło więzienie i wywózka na Sybir, Zan całą „winę” wziął na siebie i w ten sposób wyratował wielu kolegów oszczędzając im najsurowszych represji. „Kibitka runęła” słyszymy do dziś w III części „Dziadów”, Tomasz Zan skazany został na rok twierdzy i zesłanie w głąb Rosji, niemal na dwadzieścia lat.

Wnuczka, osierocona przez ojca w nader dziwnych okolicznościach, we wczesnym dzieciństwie – gdy również matka odumarła ją i siostrę, tułała się jak kłopotliwy tobołek po dalekich krewnych, często głodna, brudna i zawszona, pojęła, czym może stać się wierność sobie, trwała opoka. Spragniona wiedzy zyskała szansę, gdy trafiła pod opiekę możnej protektorki, Ukończyła pensję w Warszawie, studiowała w Szwajcarii, w Oxfordzie, na UJ w Krakowie. Po wybuchu I wojny zgłosiła się jako sanitariuszka do oddziałów gen. Dowbor-Muśnickiego walczących w Rosji (1915–1917). Z ogarniętego rewolucją Petersburga wyratował ją polski bolszewik, który rozpoznał Iłkę i kazał natychmiast wydać przepustkę: „ta pani może jechać zaraz. Ona zawsze pracowała dla polskiego robotnika – nie tak jak wy, burżuje!”

Iłka notowała później: „Byłabym się pod ziemię schowała, pamiętał mnie z lat przedmaturalnych, przecież dawno już nie byłam socjalistką, chociaż mój kontakt z klasą pracującą był zawsze żywy. (...) Ucisnęłam rękę Matuszewskiego, (...) która dawała mi klucz do wolności (...). Nigdy o tym długu nie zapominam”.

Kolejny „promienisty”? Niezupełnie, Był to rodzony stryj Ryszarda Matuszewskiego, który w PRL-u zasłynął jako krytyk. Pisał „Mój stryj ciężko zapłacił za swoją wiarę w komunizm. W 1937 roku został aresztowany wraz



Kazimiera Iłakowiczówna. Fotografia portretowa w kapeluszu, zbiory NAC

z żoną w czasie słynnych „czystek”, po czym oboje zmarli w sowieckich łagrach”.

Iłakowiczówna zaś pisaniem wybijała się na niezależność: pisaniem i korepetycjami. Już pierwsze jej książki: „Kolędy polskiej biedy” i „Trzy struny” – obydwie opublikowane w 1917 roku – zwróciły na siebie uwagę, jednak prawdziwym sukcesem okazała się „Śmierć Feniksa” (1922).

Wnuczek Zana, który uważał układanie wierszy za przyjemną i pożyteczną zabawę, dostatecznie mocno chodziła po ziemi, toteż podjęła urzędniczą pracę w MSZ. Piłsudski zauważył ją i docenił, i w rezultacie zatrudnił jako sekretarza w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gdzie rozpatrywała dziesiątki próśb, skarg i zażaleń nadawanych do człowieka, który wydawał się wszechmocny. Na jej rozeznaniu, zrozumieniu i odpowiedzialności Piłsudski polegał. Ceniła to sobie.

Gdy w 1933 roku powołano ją do Polskiej Akademii Literatury, odmówiła, tłumacząc się nawałą obowiązków urzędniczych. Wywołała skandal. Elita przecierała oczy i uszy ze zdumienia, luminarze czuli się urażeni, gawędź ryczała ze śmiechu, nawiedzone poetessy nie wiedziały, gdzie się podziąć. Krążyły fraszki. W szopce noworocznej wyśpiewywano: „jedna była, biedna Iłła, wahała się – odmówiła”. Klaniał się Boy ze swoim: „Jagiełło, Skirgiełło i skąd im się to wzięło”. Wychodziły na jaw uprzedzenia. Przypominano sławetną koncepcję Piłsudskiego, o państwie jak obwarzanek. Działo się.

Tymczasem Iłła robiła swoje, także wówczas, gdy Marszałka zabrakło. Także podczas wojny. Także po wojnie, gdy wbrew ostrzeżeniom wróciła do kraju z wygnania w Siedmiogrodzie. Nikt dokładnie nie przewidywał, jak to będzie, ale spodziewano się próby sił. Kraj potrzebował liczącej się reprezentacji, toteż powracających luminarzy wabiono na różne sposoby.

Teresa Torańska w książce „Oni” cytuje wypowiedź Stefana Staszewskiego pierwszego kierownika Wydziału Prasy KC PZPR: „Prasa czytelnikowska powstawała, by stworzyć pozory, że w Polsce istnieje nie tylko prasa partyjna, ale także bezpartyjna stojąca na gruncie pozytywnych założeń programu Partii. Po to zresztą powstał też „Czytelnik” (...) faktycznie zarządzany przez partię, ale formalnie bezpartyjny, aby przyciągnąć jak najwięcej ludzi bezpartyjnych, z nazwiskami, znanych przed wojną i włączyć przy ich pomocy w sferę oddziaływania partii bezpartyjną masę czytelniczą, by móc administrować ich świadomością”.

Iłakowiczówna z bliska od wielu lat obserwująca dyplomatyczną działalność, nie mogła mieć najmniejszych złudzeń. Po swojemu jednak wyciągała wnioski, Oto dała anons o udzielanych przez siebie lekcjach języków obcych – do „Przekroju”, nówki-nierdzewki, pisma

przyciągającego rzesze nowych czytelników spragnionych namiastki normalności. W środowisku literackim pukano się w głowę: korepetycje? Absurd. Przecież nowa władza dawała chętnym do współpracy korzystne apanaże, nie trzeba się było wysilać.

Julian Tuwim, znany od lat czaruś, któremu, „żadna nie mogła się oprzeć”, wysyłał Iłakowiczównie zaproszenia na liczne bankiety, gale, spotkania, podczas których tworzyły się nowe układy, zawierano obiecujące znajomości. Iłła dziękowała, nie korzystała wymawiając się skromnie, że nie posiada odpowiedniej sukienki, aby pojawiać się w prześwietnym towarzystwie.

Osiadła w Poznaniu, w sublokatorskim mieszkaniu. Bywając nieco później w Warszawie odwiedzała niekiedy Dąbrowską i doprowadzała ją do szału, ponieważ korzystając z telefonu zostawiała pod aparatem 50 groszy należności. Nie jest całkiem pewne czy 50 groszy za toaletę również gdzieś nie leżało.

Zachowanie Iłły oscylujące pomiędzy świętą naiwnością a pełną tupetu arogancją nieodmiennie budziło konsternację wśród staro/nowej elity PRL. Oddajmy zresztą głos Marii Dąbrowskiej, którą ZLP zaprosił na występy w Poznaniu w kwietniu 1951 roku: „Powiedziano mi, że telefonowała Iłakowiczówna, która chce mnie odwiedzić. Jakoż przyszła o wpół do jedenastej, a poza dawnymi zdawkowymi spotkaniami w tzw. towarzystwie, było to właściwie moje z nią pierwsze osobiste zetknięcie.

Przywitała mnie jakoś owacyjnie, co mnie zmieszkało i czego się po niej nie spodziewałam. Z nią więc spędziłam czas do trzeciej. Najpierw oprowadziła mnie po starym Poznaniu, który jest bardzo zrujnowany, o wiele więcej niż myślałam, słysząc często, że „Poznań się tak ślicznie odbudował”. Potem z Iłłą na obiedzie w jednej z trzech gospód, niegdyś pono świetnej restauracji „Continental”, dziś zaledwie nieco lepszej stołówce. Był tłok, pełno młodzieży, bo akurat wysypali się na przerwę studenci. Potem do kościołów, bo Iłła bez tego nie może. Katedra w odbudowie, więc zaprowadziła mnie do barokowej fary, wreszcie siadliśmy w kaplicy nieustającej adoracji Najświętszego Sakramentu na dłuższą kontemplację.

Kaplica należy chyba do najstarszych części kościoła. Dwa jej okna z szybkami ze szkła jak dna butelek, żółtymi, napelniały to miejsce złotawym światłem. Monstrancja umieszczona jest w ołtarzyku chyba też z XVII wieku, wyrzeźbiona w kształcie krzyża z drzewa lipowego suto zdobionego emblematami chrześcijaństwa, m.in. w winne grona, a na szczycie krzyża pelikan, symbol Chrystusa. Cały dywan świeżych kwiatów doniczkowych i roślin ciągnie się od ołtarzyka po stopniach aż do ławek. Dosić przyjemnie tam było siedzieć, ale w końcu zmarłam” →

Czytamy dalej:

„U Iłły na kawie «z paczki». Ona żyje z paczek od zagranicznych przyjaciół i ubiera się «z paczek», i koresponduje – jak mówi – tylko z zagranicą. Daje lekcje rosyjskiego i tłumaczy «Annę Kareninę» dla PIW-u. Nie żyje – jak mówi – z nikim, odwrócona plecami do świata, obrażona, że jej nie przyjęli do MSZ, dokąd się po powrocie zgłosiła jako dawna pracowniczka przedwojennego MSZ-u. Na próżno usiłowałam jej wytłumaczyć, że przecież obecne MSZ nie jest kontynuacją dawnego, lecz jego antagonistą. Jest bardzo ekscentryczna, mówi zawsze co innego, niż się oczekuje, wprost uosobienie przekory, dziwaczności niesympatycznego rodzaju, przesadne i nieustanne akcentowanie swej odrębności od wszystkich, nieszczerłość i pretensjonalność, pełno jakichś urazów, dużo zjadliwości, a już biada, gdy coś albo kogoś chwali. Gorzej to brzmi jak obelgi. Nic dziwnego, że wszyscy się z nią źle czują. A mimo to – wielka poetka, świetnie opowiada i nawet w sposobie jej oprowadzania mnie po mieście była autentyczna poezja”.

Mijały lata i władza ludowa nadal nie miała z Iłłakowiczówny najmniejszego pożytku, jeśli idzie o „administrowanie świadomością mas”.

Spełniała swoje pisarskie obowiązki wyłącznie dla pożytku i radości czytelników. Nawet jeśli jakiś zarozumiały niedokształcony recenzent usiłował ją upchnąć kolaniem w tobołku z pisaniną dla dzieci, zdawała się tym niezbyt przejmować, a nawet gdy taki kogucik publikował swój debiut, potrafiła docenić uzdolnienia. Konsekwentnie uchylała się od uczestnictwa w manifestowaniu tego i owego, uznając to za „puste gesty”. Kiedy ją podpuszczano, aby zajęła stanowisko, odpowiadała, że nie jest koniecznością zajmowanie wobec każdej rzeczy postawy.

„Przestałam się już o to zabijać, żeby wobec wszystkiego zajmować postawę. W dzieciństwie i za młodu zajmowałam ją namiętnie wobec wszystkiego i bardzo się męczyłam. Kiedy sobie przypomnę, ile, jako mała dziewczynka, napłakałam się, ile nocy spędziłam bezsennie z powodu, że jest car! Teraz jestem spokojniejsza i chłodniejsza i wiem, że tylko w rzadkich momentach najważniejszych trzeba zająć postawę”.

Wiedziano, że w żaden sposób nie da się zanegować ani jej dorobku, ani kompetencji. Należało się z tym pogodzić i jakoś znieść. Trochę na zasadzie słynnego szatniarza: „Nie mam pańskiego płaszczka i co mi pan zrobisz?!”

Chociaż się o to specjalnie nie starała, jednak byli tacy, których wytrącała z równowagi, a Dąbrowską doprowadzała wręcz do reakcji histerycznych. 3 grudnia 1963 roku zanotowała, o młodszej o parę lat koleżance:

„O szóstej na wieczorze autorskim Iłłakowiczówny. Coś nieprawdopodobnie żalosego. Starzy ludzie nie powinni

występować publicznie, To, co daje się jeszcze zamaskować kameralnie – na sali wychodzi ohydnie, a więc starość, zmiętość sylwetki, wysilony, nędzny – jak przy mutacji – na przemian piejący i schrypnięty głos, ten jakiś przypłaszczony kapelusik, to byle jakie starcze ubranie (starość nie może sobie pozwolić na nieświetne ubranie).

I siła tej staruchy! Ona po prostu zmusiła wszystkich do przyścia, wysłała sto kart pocztowych i drugie tyle telefonów. Wszyscy witali ją i dziękowali za zaproszenia. Właściwie to był wieczór – za jej zaproszeniami. Tekst dała niezły: mieszaninę wspomnień i wierszy, wszystko bardzo już staroświeckie, Najlepsza była wstawka o tym, dlaczego wróg jest godny miłości. Cała jej natura w tym. Wróg jest konieczny dla naszego dobrego samopoczucia. Tylko wrogów my coś obchodzimy, tylko wróg nami się naprawdę interesuje i podżega nas twórczo do przekroczenia samych siebie. To było dobre, bo to była cała ona. Całe życie hoduje sobie *con amore* wrogów i sama żyje nienawiścią do wszystkich”.

Ani zawiść Dąbrowskiej, ani też hipokryzja środowiska poznańskiego nie zniszczyły Iłłakowiczówny; głównie dlatego, że jej na tym towarzystwie nie zależało, Trzymała się – o ile to możliwe – z daleka, o nic nie ubiegała, nie skarżyła się, wypełniała pisarskie obowiązki w pełni świadoma własnej wartości. Z daleka czuwał nad jej losem Jarosław Iwaszkiewicz. Doceniał jej niezwykły talent i znaczący dorobek, toteż nie omijały jej literackie nagrody, nie utrudniano też publikacji.

Na całą dekadę pisarka znalazła też namiastkę prawdziwego domu, za którym tęskniła: zaczęła wyjeżdżać na lato do Nałęczowa, gdzie zatrzymywała się w domu sióstr urszulanek przy ulicy Prusa. Był to adres, który w owych czasach stawał ją na cenzurowanym. Władze PRL wytoczyły bezpardonową walkę katolickim szkołom. Urszulanki od lat prowadziły w całej Polsce szeroko znane i cenione zakłady wychowawcze. Większość z nich przetrwała nawet okres okupacji, chociaż Niemcy, wychodząc z założenia, że miejscowa ludność z zagrabionych terenów potrzebna będzie wyłącznie do pracy fizycznej równoległe do działań militarnych likwidowali szkolnictwo: zawłaszczali budynki, niszczyli wyposażenie i dokumentację, ścigali nauczycieli. Polskie Państwo Podziemne natychmiast reaktywowało oświatę. Tajne nauczanie przygotowywało młodzież do próby dojrzałości, jaka czekała ich w przyszłości. Zdawali później ten egzamin przez całe życie – nie przynosząc wstydu swym wychowawcom. Urszulanki w Lublinie podczas okupacji przekształciły swój zakład w szkołę zawodową i pod tym pretekstem niektóre uczennice uczestniczyły w tajnych zajęciach. Wydawało się, że po wojnie w odzyskanym państwie można będzie działać w normalnych



Nagroda „Niezależnych”. Uczestnicy uroczystości: Wojciech Bąk (pierwszy z lewej), Ferdynand Goetel (drugi z lewej), Zofia Nałkowska (trzecia z lewej), Józef Wittlin (trzeci z prawej), Kazimiera Iłłakowiczówna (druga z prawej), Świątopełek Karpiński (pierwszy z prawej), 1936/02, zbiory NAC.

warunkach. Nowe władze oświatowe tolerowały ten stan tylko do czasu i właśnie ta pora nadeszła.

Iłłakowiczówna, która trafiła do Nałęczowa ścieżką urszulańską i była nieźle zorientowana w tym, co działo się w Wielkopolsce, wtajemniczona została teraz w problemy, z jakimi zmagaly się siostry w Lublinie. Bolesne kwestie odbierania własności, wyrzucania na bruk, intrzyg i szykan stanowiły temat codziennych rozmów, a także modlitw za prześladowców: o opamiętanie.

W sąsiedztwie znajdował się słynny „Promień”, gdzie często przebywał ksiądz Michał Słowikowski, do niedawna dyrektor słynnego Gimnazjum Biskupiego, znakomitej lubelskiej szkoły zlikwidowanej w 1962 roku. Opowiadał o tych wydarzeniach i dzielił się troską o losy wychowanków, którzy, dotkliwie upokarzani, szukali miejsca, aby kontynuować naukę. Niby im to zagwarantowano. W praktyce jednak przymuszano do zdawania egzaminów eksternistycznych ze wszystkich przedmiotów. Często byli to chłopcy ze wsi, z niezamożnych rodzin, koszty utrzymania na stancjach w Lublinie okazywały się nazbyt wysokie. Ksiądz Słowikowski opowiadał, że chodził z teczką na żebry do okolicznych parafii. Wspominał też o problemach, z jakimi borykali się dawni nauczyciele Biskupiaka. Nauczycielka historii dostawała wilczy bilet, tzn. zakaz nauczania swego przedmiotu, aby przypadkiem nie rozsiewała zakazanej wiedzy. KUL otworzył się na pedagogów szukających możliwości

zatrudnienia, Służyli pomocą zwłaszcza dawni profesoria z Wilna: prof. Irena Sławińska i prof. Czesław Zgorzelski. Oboje też zaglądali do urszulanek w Nałęczowie i tutaj nawiązali serdeczną znajomość z Iłłakowiczówną.

Nałęczów objawił swą wielką zaletę: pozwalał spokojnie myśleć. W każdym razie nie przeszkadzał. W PRL znaczyło to bardzo wiele.

Iłłakowiczówna odnalazła się w tej przestrzeni. Nikt tutaj nie zwracał uwagi na haftowane bluzki i fałdziste ciemne spódnice w kwiaty, do jakich przyzwyczała się w Siedmiogrodzie. Nikogo nie raził szal, jaki zarzucała na ramiona ani chustka często wiązana pod brodą jak to czyniły wiejskie kobiety.

Chodziła na koncerty, przyjmowała niekiedy zaproszenia na spotkania autorskie, udzieliła wywiadu „Kamienie”. W domu urszulanek odnajdywali ją poloniści z KUL, pozwalała im towarzyszyć sobie w spacerach, Ksiądz Słowikowski przedstawiał jej swoich współpracowników, którzy go odwiedzali w „Promieniu”. Ksiądz Mieczysław Brzozowski – młody zapaleniec, romantyk, przyjaciel słynnego księdza Błachnickiego opowiadał jej o ruchu oazowym. Wszystko ją żywo interesowało, było odmienne od środowiskowych banałów znanych z Poznania, od frazesów, sezonowego towarzystwa które obsiadało kawiarniane stoliki w Nałęczowie. Od tych wyraźnie stroniła nie ukrywając, że szkoda jej czasu na ble-ble. →



Kazimiera Iłłakowiczówna. Fotografia portretowa, zbiory NAC

Zaprzyjaźniła się natomiast serdecznie z Tadeuszem Kłakiem, wszędobylskim, energicznym kierownikiem Muzeum Bolesława Prusa, który gromadził przewidyjąco archiwalia, jakie mogły mu się przydać w pracy badawczej. Oddawała mu listy od osób, z którymi korespondowała w Nałęczowie, a były tam znakomite nazwiska: Tatkiewicz, Wańkowicz, Fidler, Kuncewiczowa i in.

„Była bardzo honorowa, miała swój gest i własny punkt widzenia” – wspominał po latach Tadeusz Kłak. – „Gdy poprosiłem ją kiedyś o autograf na wydanym w 1964 roku jej tomie „Wiersze 1912–1959”, zabrała ze sobą książkę, którą przyniosła na drugi dzień z wpisanym odręcznie „Wierszem nałęczowskim” i włożonymi do środka 20 złotymi, bo tyle wówczas ta książka kosztowała. Moje protesty w sprawie pieniędzy nie zdały się na nic, musiałem przyjąć książkę wraz z nimi – już jako dar autorki.

Rozmowa odbywała się na ławce przed Muzeum Prusa w piękny słoneczny październikowy dzień, leciały już liście z klonów. Jeden z liści upadł na ławce między mną a poetką, która go podjęła i włożyła do książki, gdzie dołączyć spoczywa pośród jej wierszy”.

„Pomiędzy sercem z klonowym liściem
jest nitka, po niej myśl przebiega bosa...”

Czy wpisując dedykację Tadeuszowi Kłakowi autorka pamiętała ten fragment z dawnego swego tomu

„Płaczący ptak”? Na pewno czuła, że w Nałęczowie odnajduje klucz do wolności.

Kłak zapamiętał, że „potrafiła rozmawiać z każdym, także z ludźmi zwykłymi, a nawet z dziećmi. Rozmawiała kiedyś z moją matką, która odwiedziła mnie w Nałęczowie, i podkreślała później w rozmowie ze mną jej prawdziwie chłopską godność. Gdy się dowiedziała o jej śmierci, przysłała wyrazy współczucia, pisząc w kartce z 1969 roku: „Tak dobrze pamiętam Matkę Pana, tak ślicznie wyglądała. Nie ma pociechy po takiej stracie”.

„Jednego razu natomiast byłem umówiony na spotkanie z poetką wraz z dr Danutą Zawistowską, która zajmowała się naukowo jej twórczością. Spotkanie miało się odbyć w kawiarni „Niezapominajka”. Gdy tam przyszliśmy, Iłłakowiczówna siedziała już przy stoliku w ogródku w towarzystwie kilkorga dzieci, z których jedno założyło jej na nos rozszczepiony owoc klonu, Pisarka bawiła się tym i przyjmowała jako coś naturalnego. Dopiero na nasz widok powiedziała do dzieci: „Idźcie, bo teraz przyszli ludzie”.

Gdy sięgniemy po latach do jej książek i do pamięci o człowieku, jakim była, okazuje się, że promieniowanie tego dzieła i tej osoby trwa nadal.

KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

ZBIÓRKA NA MACIERZ

ZWRACAŁA SIĘ WIEŚ DO DWORA,
DO KSIĘDZA I DO KURATORA:
„DZIECISKA NAM ZE SMUTKU MARNIEJĄ,
BO CZYTAĆ NIE UMIEJĄ,
ZRÓBCIEZ CO, POMÓŻCIE,
SZKOŁĘ WE WSI ZAŁOŻCIE”.

MÓWIŁ DWÓR: „JAKŻE TAK OD RAZU?!”
A KURATOR – ŻE NIE BYŁO ROZKAZU,
A PAN STAROSTA NAJPRĘDZEJ
PRAWDĘ RZEKŁ – ŻE NIE MA PIENIĘDZY.
„NIE PORADZI LITWA NI KORONA,
DZIECI MAMY BEZ SZKÓŁ DO MILIONA”.

PISAŁY CHŁOPY – ROZTROPY
DO KAP-u, do LOPP-u, do KOP-u,
AŻ NAPISAŁ JEDEN Z MŁODZIEŻY
PROSTY LIST OD WSI DO MACIERZY...
I PATRZAJCIEZ, LUDZIE MOI,
JUŻ SZKOŁA WE WSI STOI.

A W TEJ SZKOLE, POWIEM WAM DALEJ,
NIE MA CZYM ŚWIECIĆ NI PALIĆ,
MRÓZ PALCE PISZĄCYM WIĄŻE,
BRAKUJE I PIÓR I KSIĄŻEK,
NAUCZYCIEL NIE TRACI DUCHA,
ŚMIEJE SIĘ I W PALCE CHUCHA.

DAJCIE NA ŚWIATŁO WE WSI,
TO OJCOWIE BĘDĄ LEPSI,
DAJCIE NA KSIĄŻKI DLA SZKOŁY,
TO MATKI BĘDĄ WESOŁE,
DAJCIE CHOĆ PO ZŁOTÓWCE,
A DZIECIOM ROZJAŚNI SIĘ W GŁÓWCE.

DAJCIE. PANOWIE, PANIE
PO GROSZU – A TYSIĄC SZKÓŁ STANIE.
A I ZŁOTY POCO MA LEŻEĆ:
DAJCIE GO SZKOLNEJ MACIERZY,
DAJCIEZ GO PO CAŁYM KRAJU.
NA ZBIÓRKĘ DOROCZNA W MAJU.

Opowieść małżonki świętego Aleksego

Zostawiona sama wśród nocy w oczekiwaniu,
spędziłam czas do rana na pustym bez Ciebie postaniu,
owinięta twego płaszcza rycerską purpurą
o Aleksey.

Czekałam na Ciebie lat dziesięć i dwadzieścia, i trzydzieści z górą,
młoda, piękna, pachnąca – potem zimna, twarda, z zeschniętą, pomarszczoną skórą.
Na wezgłowie mym pozostał pas i płaszcz Twój purpurowy zwinięty
o Aleksey.

Wysyłałam po Ciebie sługi i wysyłałam po Ciebie okręty...
...Nie przywieziono Cię... Lecz wieść głosiła, żeś święty...
I zagasta mi Twoja twarz, i tysiączne miałeś dla mnie lica
o Aleksey.

Ja – miłująca Cię, ja – ślubowana Ci oblubienica...
Lecz tyś odszedł... Stopy boso, sakwy, kij i włosiennica,
I mrowie robactwa, i dokoła twarze plugawe żebraków
o Aleksey.

I chwyciłam się nadziei jak odlatujących ptaków,
i biegłam do wróżbitów, i szukałam na niebie znaków,
i biłam głową o mur, i wzywałam Cię w imię Jezu Chrysta
o Aleksey.

Zamieszkał w dwudziestym roku stwor, płaz, zjawa nieczysta
w komorze zimnej u bramy, włóczęga obmierzły jak glista,
jeden z gadów, dla których opuścisz mnie – z rodu królewską
o Aleksey.

Sypiał na kawałku drewna drugą przykryty deską,
by za odpadki z kuchni, za drwiny, za rany nieopatrzone wysłużyć koronę niebieską.
I tak mieszkał lat dziesięć i więcej, aż śmiertelnie wreszcie zachorzał
o Aleksey.

Zbudzono mnie nad ranem, bo zdawało się, że ze wszech stron pożar
ogarnął Rzym; coś się tłukło po powietrzu jak orzeł
dzwony biły i latały światła, i ludzie wylegli z domów
o Aleksey.

Ruszyły zewsząd procesje z lasem gromnic i feretronów,
papież z cesarzem wyszli na bruk wśród modlitw i bicia dzwonów
i wszystkie ulice poczęły iść jak nagle zbudzone rzeki
o Aleksey.

A gdym się ocknęła ze strachu i przetałam zdumione powieki,
tom ujrzała i postyszała, że zbliżał się grom, zrazu daleki,
śpiew, jęk, bełkotanie bębnow, mieczów szczęk o kolczugi
o Aleksey.



Już są...już tutaj doszli, już popadały w proch sługi,
już znikli w bramie—papież pierwszy, a cesarz drugi,
już dziedziniec pełen świąty moczarów, gdy oni w komorze
o Aleksy.

Zbiegłam w dół...Klęczą... płacz... migotanie świec... I w pokorze
modlący się owi dwaj... I żebrak umarły—o Boże!—
i teść mój, i świekra leżący krzyżem tuż przy barłogu
o Aleksy.

I spytał się Ojciec Święty: „Kto zacz, kto oddał Bogu
w tym domu czystą swą duszę?”—I nie ozwał się nikt. U progu
byłam wówczas już i ujrzałam na ciele umarłego stojące rzędem anioły
o Aleksy.

Milczenie... A w ręku trup trzymał kartę, ukrytą na poły,
więc sięgnął po nią cesarz, lecz cofnął się wnet, jakby goły
miecz ujrzał, i papież tknąć jej nie mógł ni żaden z księży
o Aleksy.

Tedy teść mój ją próbować, czyli zwoju sam nie dosięże,
jako gospodarz trupa... I już strach w ich sercach się lęże,
bo i świekra pergaminu nie mogła z dłoni zimnego wziąć trupa
o Aleksy.

Przeleciał szept po obecnych, od ciury aż do biskupa
zbledli wszyscy... Lecz jam ujrzała światła snop na kształt słupa,
który wołał mnie po imieniu twoim umiłowanym głosem
o Aleksy.

Więc przeszłam pośród klęczących, zakrywszy oblicze włosom,
i poznałam cię, jakeś leżał obdarty, szerniały i bosi,
i wzięłam twoim pismem kreśloną z twej ręki kartę
o Aleksy.

Przeczytałam im dziesięćkroć imię twe, po wieczność niestarte,
całowałam ręce twoje, oczy twe szeroko otwarte...
...Ojciec twój, matka twoja legli na twym ciele płaczący
o Aleksy.

Oto papież z cesarzem sławią cię ponad tysiące,
oto ciżby wokoło klęczące, oto dzwony w niebo bijące,
chorągwie—w pokłonach, monstrancje idą ku tobie ze wszystkich kościołów
o Aleksy.

Jako rybak mądry wyszedłeś wczesnym rankiem z siecią na połów;
powróciłeś z chwałą w twej sieci, w chórze aniołów...
...Lecz moje serce—rozdarte, rozdarte, ciężkie, ciężkie jak ołów,
o Aleksy, Aleksy, Aleksy!

Do świętego Krzysztofa

Pijanego szoferaka usuń na bok,
niech oczy zamknie i śni.
Ty ujmij kierowcę, Krzysztofie!
Za tobą tłum zastonił okna i drzwi...
Rozbije ich, z mostu – w wodę, potopi...
Czuwam, wiem, widzę... Słabo mi, słabo!
Ja nic nie mogę, ty ujmij kierowcę, Krzysztofie.

Kiedy przebije się źródło...

Kiedy przebije się źródło,
napiją się wszyscy.
Gdy znaleźć będzie trudno,
ktoś nic pochwyci.
Nic może będzie z kropel,
może ze lśnień,
może widzialna w mroku,
może nie.
Szukający może schyli się z trudem,
może stanie i krzyknie...
Ale gdy znajdzie źródło,
napiją się wszyscy.

Czarownica

Mam mówiącego ptaka,
mam gadającą wodę,
mam starego czarodzieja
i dam ci go potrzymać za brodę;
mam węża, co się podnosi
na ogonie wśród kwiatów w trawie,
mam dwa uczone szerszenie,
które mi śpiąją w rękawie.
Mam cudownego szpaka,
mam żabę i żuka, i jeża,
mam mądrą białą kawkę,
puszysty kłębuszek pierza:
przemówi do ciebie ptak mój,
gdy się najmniej będziesz spodziewał,
a smutny smok na podłodze
nogi będzie ci łzami oblewał.
Twój sen, najpierwszy na świecie,
u mnie ma swoją ojczyznę,
i u mnie mieszka radość,
którąś ty wygnał w obczyznę,
a jeśli do mnie przyjdiesz,
zbrojne zmyliwszy strażę,
to własne twe śpiące serce
w pudełku ci małym pokażę.

Bóg jest wszędzie

Nie można tego obejść. Bóg jest wszędzie,
w każdym dziwnym i strasznym obrzędzie.
Wywołuje Go nie tylko modlitw kadzidlany kwiat,
ale szubienice i topór i kat.
Bóg jest w sędzi, który sędzi krzywo,
i w świadku, co przysięga na prawdę fałszywie,
nie może nie być. I to mnie przestrasza.
Bo jeśli – w świętym Piotrze, to także – w Judaszu;
jeśli w Żydzie zamęczonym niewinnie przez
Niemców,
to także w Niemcach tych? I tak się kręcę
od Prawdy do Nieprawdy, od kary do zbrodni,
w każdej cząsteczce – Boga odnajdując co dnia.
I chce mi się wyciągnąć ręce nad człowiekiem
i winnym i niewinnym, i małym i wielkim,
i krzyknąć wielkim głosem błagalną przestrogę,
aby sądząc człowieka nie męczono Boga.

Najlepiej

Kochając nie pamiętać
– doła przekłeta.
Pamiętając nie kochać
– lżej trochę.
A najlepiej, opartszy policzek na chmurze,
nie pamiętać zupełnie i nie kochać dłużej.

Miłość

Przez dni jesiennych słodkie zamieranie,
dymy ognisk, jarzębin różaniec,
przez jaskółczane krótkie „do widzenia”,
które wiatr wczoraj w ciepły deszcz pozmieniał –
proszę cię, święta i wieczna jesieni,
niech się już moje serce nie odmienia!
Przez liści tuman, co się w parku kręci,
przez szron na miejscach letnich sianożęci,
przez oddalenia i przez niepamięcie,
przez śmierć, co zawsze jest nie do pojęcia –
proszę cię, wierna i boża służebno,
niech zginie serce, jeśli jest potrzebne!
Jeśli tak trzeba i jeśli nie żal ci
rozkwitu lata, skoś to, coś skazała
– czy kłos, czy owoc, czy kwiat niedojrzały –
wytnijcie ogród mój, a dom podpalcie...
...Ale przez obietnice i przez wypełniania,
przez lęk miłości i mękę rodzenia
zaklinam ciebie, o święta jesieni
niech się już moje serce nie odmienia!



Fotografia grupowa wykonana po wręczeniu Kazimierze Iłłakowiczównie nagrody (1935 r.). Widoczni m.in.: Kazimiera Iłłakowiczówna (5. z lewej), minister Wacław Jędrzejewicz (6. z lewej), profesor Józef Ujejski (4. z lewej), Wacław Sieroszewski (3. z prawej), Leopold Staff (3. z lewej), Leon Pomirowski (1. z prawej), Tadeusz Żeleński (4. z prawej), wiceminister Konstanty Chyliński (7. z lewej), ks. wiceminister Bronisław Żongolłowicz (5. z lewej wsutannie). Na ścianie wisi portret marszałka Józefa Piłsudskiego, zbiory NAC.

Zła wróżba

Szłam ścieżką wieczór przez łany
Dojrzałych zbóż,
Znalazłam wianek zdeptany
Czerwonych róż.

I odtąd we śnie wciąż chodzę
Drożyną tą
I widzę róże na drodze
Zbroczone krwią.

Anioły

Anioły schodziły po ścieżce białej,
schylały się, patrzyły, głowy ku sobie zbliżały,
chwiały ogromnymi, cichymi piórami,
szemrały szumiącymi szatami
i stawały bojąc się przestraszyć ciszę,
która się razem z nimi nad ziemią czekającą kołysze.

Ulewa

Chodzą po borze szmery i śpiewy
z cichym poświstem szarej ulewy.

Chodzą od sosny do sosny łkania,
tęskność się wielka po lesie słania.

O powieczornej żałobnej porze
tęskność cichutko przygrywa w borze,

deszczowe struny wzięta na lutnię
i w mgłach się żali jak dziecko smutnie.

W płacz zasłuchane liście dygocą...
Tęsknota w borze przygrywa nocą.

STEFAN
KRUK

ADOLF NOWACZYŃSKI

o polskim charakterze narodowym

SŁOWO WPROWADZAJĄCE

Twórczość Adolfa Nowaczyńskiego (1876–1944) przypada na dwa okresy literackie: Młodej Polski oraz dwudziestolecia międzywojennego, a mimo to jest ona jednorodna, ujawniająca od początku tę samą tendencję i stylistykę. Choć okazjonalnie pisał on wiersze („Meandry”, 1911), to głównym orężem jego działalności piarskiej była publicystyka oraz twórczość dramatyczna, a obydwie te nurty spinał silny ładunek satyry obyczajowej i politycznej. Pierwszy rodzaj twórczości reprezentują m.in.: „Małpie zwierciadło”, 1903; „Skotopaski sowizdrzalskie”, 1903; drugi: „Rej w Babinie”, 1906; „Car Samozwaniec”, 1908; „Wielki Fryderyk”, 1910; „Cygania Warszawska”, 1911; „Pułaski w Ameryce”, 1917 i in. Pomiędzy dramaty współczesne: „Siedem dramatów jednoaktowych”, 1904; „Nowe Ateny, satyra na Wielki Kraków”, 1913; naturalnie one również miały charakter satyryczny.

Ta bogata i różnorodna (w znaczeniu gatunkowym) twórczość poruszała szereg tematów dotyczących historii, jak też bieżącego życia społecznego, ale cel, jaki tu postawiłem, dotyczy problematyki najważniejszej, tj. zadumy nad polskim charakterem narodowym, bowiem w tym zakresie Nowaczyński był najbardziej inspirujący. A że nie ustrzegł się przesady, to już złożmy na karb praw satyryka do przejawskawień, które jakże często zawierają niebagatelny ładunek komizmu.

Nowaczyński posiadał rozległą wiedzę historyczną w zakresie gatunków satyry staropolskiej, a także środowisk, które niejako „specjalizowały się” w zabawianiu publiczności własnymi konceptami. W tej penetracji staropolskich źródeł satyry pisarz trafił na wyjątkowe zjawisko, jakim była Rzeczpospolita Babińska, która urzekła go swoją pomysłowością, przeto poświęcił jej „świecką krotofilę w trzech sprawach” zatytułowaną

„Jegomość Pan Rej w Babinie” (rękopis i teatr: 1905 r., druk: 1906).



SATYRA STAROPOLSKA

Nowaczyński czuł się spadkobiercą i kontynuatorem twórczości wesołków I Rzeczypospolitej, a „Senat babiński” był doskonałym przykładem do naśladowania. W centrum akcji utworu dramaturg umieścił postać Mikołaja Reja z okazji czterechsetletniej rocznicy urodzin autora „Krótkiej rozprawy”.

Elementy krytyki obyczajowej można dostrzec w głównych utworach renesansowego poety – w „Wizerunku własnym człowieka poczciwego” (1558), w „Zwierciadle” (1568), a nade wszystko w „Figlika ch” (1574), które

„GŁOS LUBELSKI”

W NIEDZIELĘ, DNIA 8 KWIEŃNIA 1923 ROKU O GODZINIE 1:³⁰ PO POŁUDNIU

W SALI „COLOSSEUM”

ADOLF NOWACZYŃSKI

WYGŁOSI ODCZYT

ODRODZENIE WŁOCH

Bilety w cenie od 1.000 do 4.000 Mk. nabywać można w Administracji „Głosu Lubelskiego”, w Sekretarjacie Związku Ludowo-Narodowego, lub w sklepie p. Rüdiger, a w dniu odczytu w Kasie „Colosseum”.

chyba były najbliższe duchowości „dostojników” babińskich, ot, choćby te dwie fraszki:

„Baba co w pasyją płakała”

Gdy ksiądz śpiewał pasyją, więc baba płakała;
Umie-li po łacinie, druga ją pytała:
„Płaczesz, a to wiem pewnie – nie rozumiesz czemu,
I ten płacz podobien barzo k’szalonemu”.
Rzekła baba, iż ci „ja płaczę nie dlatego,
Lecz wspominam na swego osiełka miłego,
Co mi zdechtł: prosto takim, by ksiądz głosem ryczał
I takż na ostatku czasem cicho kwiczał.

„Co podle żony nie chciał w niebie siedzieć”

Chłopu żona umarła, a on rychło potem
I kołatał do nieba, nic nie myśląc o tem.
Otworzył mu święty Piotr: „To tobie za ono,
Coś mi więc czasem pościł, będzie otworzono,
Idziż, usiądź podle żony! Ten: Za-li ona tu jest?
Rzekł Piotr, iż jest. A ten się nazad precz wrócić chciał
Mówiąc: „Wierzę, iż wilcy i ci będą w niebie;
Ja wolę precz [iść], nie chcę mieć jej podle siebie.

Zapewne panie Pszonkowa i Kaszowska – matka i córka a zarazem żony twórców Rzeczypospolitej babińskiej – z dużym ukontentowaniem czytały owe „Figliki” pana Reja. A tym bardziej mężowie. Czas więc powiedzieć nieco o fenomenie towarzyskim, jaki zaistniał w podlubelskim Babinie.

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA

Hanna Szabelska pisze, iż Rzeczpospolita babińska powstała w połowie XVI w., a przestała istnieć w 1677 r. „Organizacją przypominała podobne średniowieczne instytucje we Francji; nadawano w niej tytuły i urzędy w zależności od tego, w jakim się kto okazał biegły łgarstwie: tchórzów mianowano hetmanami, niedzielnych myśliwych łowczymi itd.”¹

Z kolei Stanisław Sarnicki pisał: „Wzorowali się oni (babińscy) na porządku i urzędach Rzeczypospolitej Polskiej. Wybierali sobie senat, biskupów, wojewodów, hetmanów, sekretarzy. Jeśli ktoś mówił o rzeczach

¹ Słownik sarmatyzmu. Idee, pojęcia, symbole, pod red. A. Borowskiego, Wyd. Lit., Kraków 2001, s. 52. →

podniosłych, niemających związku z jego stanowiskiem, zostawał arcybiskupem babińskim; (...) Chełpiącemu się z męstwa i odwagi przyznawano godność hetmana (...) Nominacje wydawano zaraz na miejscu podczas wesołej zabawy, albo wysyłano później na piśmie, opatrzony pieczęcią woskową²².

Członkami owego grona wesołków były osoby znane z historii ojczystej, m.in.: Mikołaj Sęp-Szarzyński, Bartosz Paprocki, Jan i Andrzej Kochanowscy, Jan Andrzej Morsztyn, Wacław Zamoyski. Tak więc Mikołaj Rej znalazł się w niepoślednim towarzystwie.

REJ PRYMASEM BABIŃSKIM

Adolf Nowaczyński pragnąc uczcić czterechsetną rocznicę urodzin autora „Zwierciadła” wybrał Babin oraz fenomen, jakim była Rzeczpospolita babińska, dla realizacji tego przedsięwzięcia. Ukazał uroczyste powitanie pana z Nagłowic i to od kopców granicznych włości sędziego Pszonki, aż po rutynowe wychylenie olbrzymiego kielicha napełnionego po brzegi. Zięć pana domu, sędzia Kaszowski, w czasie, gdy Rej zmaga się z zawartością owego puchara, zwraca się do niego z następującą oracją: „A pomnij jegomościu zacny na starożytność owego kielicha, co go dzierzysz! Sokrates z onego pił swoją przesławną cykutę, a Ksantypa go na jarmarku w Babilonie od Aleksandra Macedończyka kupiła. Od Sokratesa przeszedł on do Arystotelesa, od tego do Mahometa” itd. Ostatecznie otrzymał go król Jagiełło, „który go nam w testamencie przepisał z kondycją, jako każdy, który go nie stłucze, królem polskim może być obrany”. Warunek drugi – trzeba wypić zawartość owego „rozturchana” bez odrywania ust. A gdy zacny gość spełnił to życzenie, został przyjęty do bractwa, opatrzony stosownym dokumentem i zaszczycony godnością prymasa babińskiego. Rej odwzajemniając się za owe uprzejmości wypowiada następujące słowa:

„Gdy społem karcim w ludziach nietrefne przesady,
Póki głupstwa bliźniego najdzie się do syta,
Babińska niech nam żywie ta rzecz pospolita”.

Tak więc Nowaczyński wskazał na zbieżność postawy babińczyków i Mikołaja Reja. Łączą ich zabawę towarzyską z satyrą społeczną.

Wiek XVI – Polska u szczytu potęgi, ale światło umysły (np. ks. Piotr Skarga) dostrzegały groźne procesy rozkładowe, które doprowadziły naszą Ojczyznę do upadku i utraty suwerenności. Dla Nowaczyńskiego, jak zresztą dla ogółu braci szlacheckiej, najważniejsza była wolność jednostki, dlatego nie dostrzegał on (może tylko udawał,

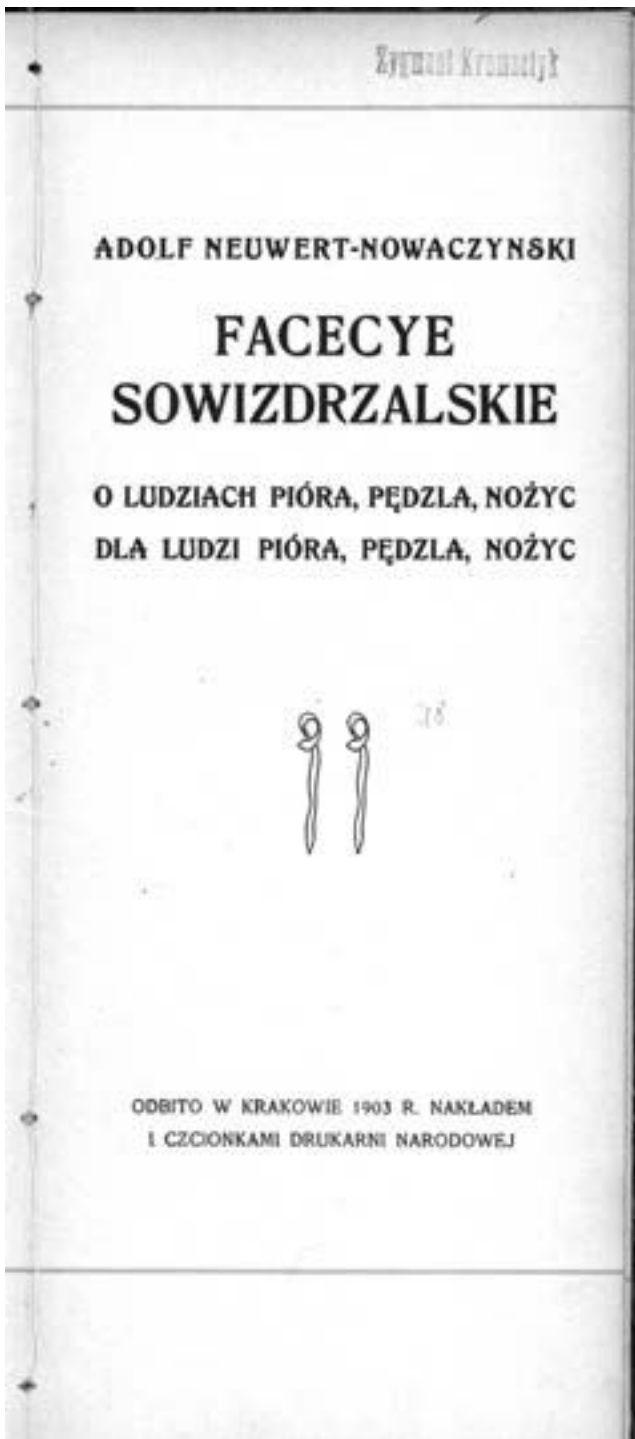
²² Cytuję za: Jacek Komeda, *Rzeczpospolita babińska*, „Do Rzeczy” 2021, nr 40.



że nie widzi) niebezpieczeństwa w anarchizowaniu życia społecznego.

SATYRA OŚWIECENIOWA

Powyższy podtytuł przywodzi na myśl satyry Naruszewicza lub Krasickiego. Ale Nowaczyńskiego zainteresował inny podgatunek satyry tego okresu, mianowicie p a m f l e t. Satyra godziła w wady społeczne, takie jak:



pijaństwo, pieniactwo, życie nad stan. Pamflet zaś piętnował postępowanie konkretnych osób. Jednak nie można mylić pamfletu z paszkwilem. Ten bowiem, choć również godził w konkretną postać, to jednak nacechowany był złośliwością i nie stronił od insynuacji, a nawet obelg, dlatego paszkwilanci woleli zachować anonimowość. Jeśli zaś mówimy o pamflecie, to oczywiście przywołujemy nazwisko sztandarowego reprezentanta tego gatunku – Tomasza Kajetana Węgierskiego (1756–1787).

Właśnie jemu Nowaczyński poświęcił tragikomedię z czasów Stanisława Augusta w 4 aktach pt. „Starościc ukarany czyli Niedole Zoila” (1906 r.).

Kajetan Węgierski, uczeń Adama Naruszewicza w Collegium Nobilium, był postacią barwną, może nawet kontrowersyjną. Obdarzony talentem poetyckim oraz pasją satyryka nie wahał się piętnować uchybień w postępowaniu znanych osób. Naturalnie taka postawa wiązała się z ryzykiem riposty owych „znakomitości”, wywodzących się najczęściej z arystokracji. Tak było po opublikowaniu wiersza zatytułowanego „Portrety pięciu Elżbietek” (1776), w którym poeta zarzucał rozwiązłe życie m.in. Elżbiecie Branickiej, siostrze króla S.A. Poniatowskiego. Wzbudził sensację w stolicy, ale swoją odwagę przypłacił aresztem.

Piszząc o kontrowersyjności charakteru Węgierskiego miałem na myśli jego skłonność do hazardu karcianego. Podobno arystokraci celowo przegrywali „grube” sumy dukatów, by zniechęcić szaraczkowego szlachcica z Podlasia do dalszej penetracji alkowianych przygód ich żon i kochanek. A był to wiek Casanovy oraz Toma Jonesa, stulecie sławnych ladacznic, takich choćby jak caryca Katarzyna, zwana Wielką, zresztą nie z powodu mnogości kochanków, w których rządzie był także S.A. Poniatowski, późniejszy król Polski z jej nadania, lecz w uznaniu podbojów dokonanych w tym czasie.

Jak wiemy, Semiramida Północy, jak ją komplementował Wolter, nie skonsumowała Rzeczypospolitej w całości, dzieliła się naszym terytorium z królem Prus Fryderykiem II. Jego ziomkowie również obdarowali monarchę tym samym przydomkiem z analogicznego powodu.

SATYRA MŁODOPOLSKA

Dotąd Nowaczyński zadowalał się malowaniem literackich portretów poprzedników, w najwybitniejszym swoim dziele („Wielki Fryderyk”; teatr: 1909 r., druk: 1910) pokusił się o coś więcej, mianowicie o refleksję nad polskim charakterem narodowym.

W historiografii polskiej XIX w. ścierały się dwa stanowiska wobec faktu rozbiorów. Jedni (szkoła krakowska) przyczynę sprawczą widzieli w wadliwym prawie ustrojowym (liberum veto), inni (szkoła warszawska) akcentowali zaborczość mocarstw ościennych. Nowaczyński, jak zawsze przekorny i oryginalny, upadek państwowości polskiej w XVIII stuleciu upatrywał w naszym charakterze narodowym. A tezę swoją zilustrował konfrontując mentalność Prusaka (Fryderyka II) z osobowością Polaka (biskupa Ignacego Krasickiego).



Wzdo
bił i wy
dał według
wzorów anty
cznych Wa
cław Wie
diger

Rzecz znamienna – Nowaczyński nie kryje fascynacji dla przymiotów króla Prus (bezgraniczne oddanie na służbę państwa, przebiegłość w dyplomacji, bezwzględność w realizacji swoich celów). Fryderyk II był genialnym uczniem Machiavellego – nie znał kompromisów, nie oszczędzał ludzi, którzy faktycznie, lub tylko w jego mniemaniu, utrudniali realizację podjętych przez niego zamierzeń.

Artur Hutnikiewicz, najwybitniejszy znawca twórczości Adolfa Nowaczyńskiego, pisał: „Fryderyk Nowaczyńskiego jest konstrukcją bardziej pojemną, jest sobą, ale jednocześnie jakby uosobieniem pewnej szerszej idei, jest kwintesencją p r u s a c t w a jako swoistej formy istnienia zbiorowego”³ (podkreślenie moje – S. K.).

„Racja stanu tego państwa, jego rozrost i jego siła stanowią prawo najwyższe; wszystko co im służy, jest słuszne, jest jedyną moralnością, która się liczy” (tamże, s. LVIII).

Dalej Hutnikiewicz stwierdza, że postać króla Prus narysowana przez Nowaczyńskiego jest prawdziwa, zgodna z przekazem źródłowym. Fryderyk II w dramacie polskiego autora „budzi odruch sprzeciwu swoim amoralizmem (...), swą dwulicowością, cynizmem, pogardą dla ludzi (...), ale fascynuje swą inteligencją, dowcipem, wyobraźnią, kulturą, a przede wszystkim tym absolutnym podporządkowaniem całości życia i działań jednej wielkiej idei”, jaką jest pruskie państwo (tamże, s. LXI).

Zatem mamy do czynienia z władcą idealnym w sensie skuteczności postępowania, który niewątpliwie doczekałby się wielkiego uznania od autora „Księcia”, gdyby włoski politolog żył w XVIII stuleciu.

Takiemu mistrzowi powiększania i „zaokrąglania” granic swojego kraju Nowaczyński przeciwstawia „i d e p o l s k ą”, którą w dramacie reprezentuje książę biskup warmiński Ignacy Krasicki. Ta konfrontacja pruskiego ducha z mentalnością polskiej elity politycznej owego czasu wypadłaby jeszcze bardziej sugestywnie, gdyby na przeciw Fryderyka II stanął Stanisław August Poniatowski, ale takie zestawienie nie mieściło się w naturalistycznej poetyce Nowaczyńskiego, po prostu do spotkania obydwu monarchów nie doszło, natomiast Ignacy Krasicki spotykał się z królem Prus wielokrotnie. Dlatego Nowaczyński mógł z czystym sercem przyjąć ową podmianę.

A jaki jest książę biskup warmiński w ujęciu autora omawianego tu dramatu? Znowu wyręczę się cytatem z analizy dokonanej przez Hutnikiewicza, gdyż on najlepiej odczytywał specyficzny sposób charakteryzowania postaci występujących w „Wielkim Fryderyku”: „Wystylizował Nowaczyński tę postać na typowego przedstawiciela osiemnastowiecznej hierarchii, wiernej co prawda

³ Artur Hutnikiewicz, *Wstęp do: Adolf Nowaczyński, Wielki Fryderyk*, Ossolineum, Wrocław 1982, s. XLIX, Biblioteka Narodowa.

i lojalnej wobec ortodoksji kościelnej, ale jednocześnie jakby zeświecczonej na poły i tkniętej już wpływami oświeceniowego libertynizmu (...) Epikurejczyk, rozmówany w przyjemnościach zmysłowych, w dobrym jedzeniu, wybornych trunkach, jest w istocie wyznawcą życiowego oportunisty” (tamże, s. LXII).

Nowaczyński ośmieszył Krasickiego, który w wyrazach lojalności wobec pruskiego zaborcy zapominał o godności oraz obowiązkach Polaka – senatora Rzeczypospolitej.

Wniosek jest oczywisty: „Fryderyk i Krasicki to dwa światy, mimo całej wzajemnej fascynacji, nie do pogodzenia. Zderzenie się tych światów oznaczało nieuchronną klęskę słabszego. Na tym polegała tragedia Polski” (tamże, s. LXVII).

KONKLUZJE

I już na koniec. To prawda, że portret biskupa Ignacego Krasickiego jest nieco przerysowany. Paul Casin⁴, francuski monografista twórczości autora „Monachomachii”, użył nawet określenia „karykatura”. Lecz główne cechy charakterystyczne naszego hierarchy (sybarytyzm, życie nad stan, wreszcie dość „letnie” uczucie patriotyzmu, o czym świadczy choćby trawestacja własnego hymnu „Święta miłości kochanej Ojczyzny”, w której Krasicki słowo: Ojczyzna zastąpił wyrazem „szklenica”), są prawdziwe. Tacy ludzie, jak biskup Ignacy Krasicki, który oczywiście świeckiej władzy

nie posiadał, oraz król Stanisław August Poniatowski nie mogli obronić Polski przed rozbiarami. Nie implikowało to milczącej zgody na obcą przemoc. Zależni finansowo od zaborców (król był finansowany przez rosyjskiego ambasadora), przywiązani do luksusu – zapomnieli o godności Polaka i obywatela. Na tym polega ich wina, choć dla rodzimej kultury uczynili bardzo dużo: Ignacy Krasicki – piórem, Stanisław August Poniatowski – pasją kolekcjonerską oraz opie-

ką nad artystami. Jednak od polityków wymaga się więcej, znacznie więcej.

Naturalnie Nowaczyński zdawał sobie sprawę z faktu, że obok sprzedajnych arystokratów byli tacy, jak książęta Czartoryscy, którym rząd carski skonfiskował dobra puławskie za poparcie powstania listopadowego. Doceniał bohaterskich generałów: Kościuszkę i Pułaskiego (poświęcił mu osobny dramat). Lud również miał swoich bohaterów: wieśniaka Bartośza Głowackiego i Jana Kilińskiego, warszawskiego szewca. Z kolei duchowieństwo

mogło się wzorować na niezłomnej postawie Jana Pawła Woronicza, którego romantycy mieli za swego patrona. Tak więc zwięzła definicja polskiej duszy nie jest możliwa, tyle tu sprzeczności, powikłań, różnorodności postaw. Już w dobie Sejmu Wielkiego naród był rozdarty na dwie orientacje: patriotów i kolaborantów. W okresie zaborów te podziały uległy pewnemu złagodzeniu, by wybuchnąć na nowo w III Rzeczypospolitej. I, jak się wydaje, nasz naród będzie dźwigał ten „garb” przez dalsze swe dzieje.

STEFAN KRUK



⁴ Paul Casin, *Książę biskup warmiński Ignacy Krasicki. 1735–1801*, tł. Michał Mroziński, Pojezierze, Olsztyn 1983.

ZBIGNIEW
WRONAU nas i u
sąsiadów

Czeski film, dowcip, lokomotywa

PODZIWIAM CZESKĄ LITERATURĘ, lubię czeski film i spacerować po praskiej starówce. Chętnie pijam piwo wyprodukowane za południową granicą, podobają mi się Czeszki choć śmieszy mnie ich język.

No, nie tylko mnie...

Andrzej Rosiewicz, niezrównany piosenkarz-satyryk, w przeboju sprzed lat o urodzie, zaletach i wadach Europejki wyznawał:

Czeszka tylko mnie rozśmiesza chociaż lubię Czechów
Gdybym wydał się za Czeszkę umarłbym ze śmiechu!

Polaków bawią również filmy wyprodukowane przez naszych sąsiadów.

Wszystko zaczęło się – jak się wydaje – w roku 1947. Na polskie ekrany trafiła wyprodukowana w Czechosłowacji komedia polityczna „Nikt nic nie wie” (*Nikdo nic nevi*) wyreżyserowana przez Josefa Macha. Na plakacie rozklejanym w zrujnowanej Warszawie umieszczono informację „Nikt nic nie wie, film czeski”. Wtedy komunikat jeszcze nie bawił. Dopiero z latami nabierał humoru jak ziemia wilgoci po deszczu. Fabuła prosta, acz niekoniecznie mocno osadzona w realiach. Ot, dwaj wielkoduszni tramwajarze w okupowanej Pradze wiozą w worku ogłuszonego esesmana. Broń Boże, sami nie podnieśli na niego ręki, przypadkowo ogłuszyła go piękna dziewczyna. Im przyszło jedynie pomóc przerażonej slicznotce. O tej akcji wie całe miasto, ale żaden prażanin nie puści pary z gęby, bo – nikt nic nie wie! Stąd i tytuł. Film się podobał, w Polsce obejrzeni go nie tylko mieszkańcy dużych miast, ale także głębokiej prowincji, to dzięki ekipom kina objazdowego, w którego repertuarze obraz widniał wiele lat. Popularność zaniepokoiła władzę, bo jak tu – na gruzach Warszawy – śmiać się z wydumanych szaleństw Czechów?! W jednej z recenzji na łamach tygodnika „Film” (rok 1948) tłumaczono więc filozofię reżysera:

„Nikt nic nie wie jest zdrową, pełną temperamentu komedią polityczną. [...] Reżyser Józef Mach nie pragnie bynajmniej wyrazić swoją komedią, iż hitleryzm był błazeństwem, pragnie natomiast wyrazić, iż był to reżim błaznów i szaleńców”.

Powiedzenie odżyło w latach sześćdziesiątych XX stulecia, czeskie kino stało się wówczas w Polsce popularne a to za sprawą znakomitych filmów (choćby „Pociągi pod specjalnym nadzorem”) ale zwrot nabrał już innego znaczenia, oznaczał rzecz źle wyreżyserowaną czy też pozbawioną sensu. Bo i takich filmów nie zabrakło na polskich ekranach.

Wspomnę jeszcze o serialu medycznym „Szpital na peryferiach” – choć to już inna epoka – i powiedzenie doktora Josefa Štrosmajera, który często nie krył tego, co myśli i do niezbyt lotnej pielęgniarki, siostry Hunkovej, powiedział barwnie i dosadnie: „Gdyby głupota miała skrzydła, pani fruwałaby jak gołębicą”.

Refleksja czeskiego doktora bywa często przywoływana przez bystrzych polskich felietonistów, bo co tu kryć: niebo – nie tylko polskie i czeskie – przysłoniłyby fruujące kobiety, gdyby tylko...

Można westchnąć: doktor Štrosmajer był człowiekiem dowcipnym.

W roku 1968 w Czechosłowacji była bardzo długa wiosna (*Pražské jaro*), zaczęła się 5 stycznia i trwała do 21 sierpnia! Tak, tak, ten okres politycznej liberalizacji zakończył się w nocy 20 sierpnia z chwilą wkroczenia jednostek wojskowych ZSRR. Siły wielkiego brata wspierały oddziały innych członków Układu Warszawskiego (Polska, NRD, Węgry, Bułgaria). Najazd wojsk Układu na Czechosłowację nazywany był „bratnią pomocą krajów socjalistycznych”. Polscy nieugłaskani balladziści podśpiewywali smętnie-ironiczną piosenkę: *W Hradec Kralove*, „w Hradec Kralove polskie stoją tanki!”. Z licznych dowcipów, które powstały w tamtym czasie, przypomnę jeden, któremu – pewnie dla dodania swoistego smaczku – przypisuje się czeskie autorstwo.

W Pardubicach dwóch tubylców obserwuje polskich komandosów. Jeden z obserwatorów powiada: – *popatrz, ci Polacy niczego nie zrozumieli. Chcieliśmy, aby przyjechały Czerwone Gitary, a oni nam przysłali Czerwone Berety* (elitarne polskie jednostki bojowe).

A na przydomek „czeska lokomotywa” zapracował Emil Zatopek, legendarny biegacz, czterokrotny mistrz olimpijski, jeden z najlepszych lekkoatletów wszech czasów. ■

Pierwsza dekada dekomunizacji literatury (1990–2000)

11 KWIETNIA 1990 ROKU ZLIKWIDOWANO W POLSCE urząd cenzora, jednak dopiero trzy lata później zawiłała nad Wisłę pełna suwerenność – ostatni transport wojsk okupacyjnych odjechał do nieludzkiej ziemi nomen omen 17 września 1993 r. W nowych warunkach politycznych pisarze odzyskali wolność słowa i nieograniczony dostęp do czytelników¹. We wszystkich sferach życia narodowego rozpoczęła się dekomunizacja kontrolowana („gruba kreska”). Twórcy kultury spontanicznie zainicjowali do dzisiaj ciągnącą się akcję odkłamywania przeszłości (Tradycji), zawracania kijem rzeki peerelowskich wzmówień. Znaleźli się również pisarze, którzy mieli odwagę zmierzyć się ze szczególnie zmanipulowanym przez propagandę tematem żołnierzy wyklętych, z pokutującym w społeczeństwie ich negatywnym mitem²; artyści, którzy podjęli trud przywrócenia – poprzez literaturę – czci niezłomnym polskim patriotom, przez dziesięciolecie wtrącanym w hańbę określeń typu „bandyci”, „zapłute karły reakcji”, „faszyści”³.

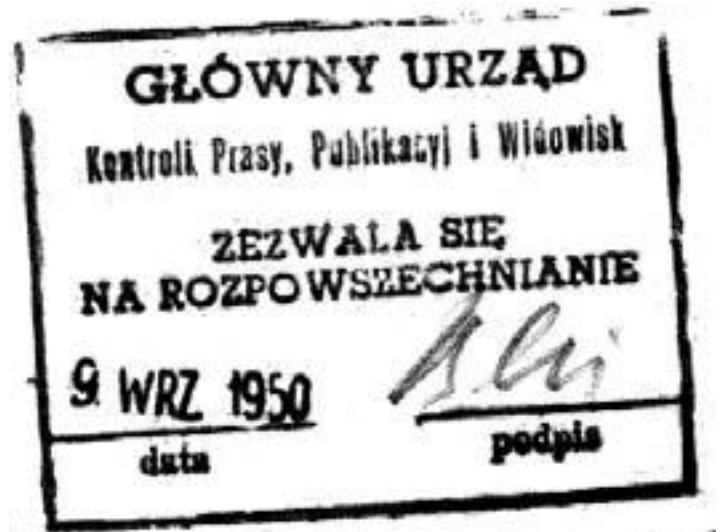
Za inicjatora rehabilitacji wizerunku żołnierzy wyklętych w polskiej literaturze po roku 1989 można uznać Zbigniewa Herberta (Wilki)⁴. Wkrótce przyszli mu

1 „Po przełomie 1989 roku pojawiło się pilne zapotrzebowanie na artystów nowej epoki, więc mianowano, kto był pod ręką, na wieszczów, mistrzów słowa i wybitnych pisarzy” – stwierdza Z. Bidakowski (*Poznaj grafomana!*, „Rzecz o książkach”, s. K5, dodatek do: „Rzeczpospolita” z 2–3 VIII 2008). W plejadzie intronizowanych na „artystów nowej epoki” nie znalazł się ani jeden literat podejmujący temat żołnierzy wyklętych, choć można go było wreszcie zrealizować bez ograniczeń, w duchu niepodległościowej epopei.

2 W skali potocznej świadomości zbiorowej sformułowane dwie dekady temu spostrzeżenia Jerzego Kułaka są, niestety, wciąż aktualne: „Czy czarna legenda powojennego podziemia niepodległościowego jest jeszcze żywa? Jestem przekonany, że tak”. Zob. szerzej J. Kułak, *Czarna legenda powojennego podziemia niepodległościowego*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2003 nr 5, s. 72.

3 „Zasady pisania o powojennym podziemiu niepodległościowym były niezmiennie: przez czterdzieści lat wolno było pisać tylko źle. Do 1989 r. nie ukazała się ani jedna książka, wspomnienia czy tekst, w których wystawiono by pozytywną opinię o podziemiu” (J. Kułak, *Czarna legenda...*, s. 61). Z tezą wyrażoną w drugim zdaniu wchodzi w polemikę wyniki przeprowadzonych tu badań literaturoznawczych, osłabiając jej absolutny wydzźwięk. Można bowiem dopatrzeć się pierwiastków przychylności dla żołnierzy wyklętych w beletrystyce przed zniesieniem cenzury, np. w powstałych na falach *Odwilży Kolumbach Bratnego* oraz w dziełach ogłaszanych u schyłku PRL-u (*Całopalenie* J. Mortona, *Wszystko nie tak* D. Sidorskiego).

4 Nieliczne w literaturze głosy przychylnie żołnierzom wyklętym przed przełomem 1989/1990, publikowane zasadniczo na emigracji lub w konspiracji, to: K. Wierzyński, *Na rozwiązanie Armii Krajowej*, w: idem, *Krzyże i miecze*,



w sukurs inni twórcy literatury, tak jak Herbert świadkowie powojnia, znający z autopsji dramat członków podziemia niepodległościowego – prozaicy Janusz Krasieński i Jerzy Stefan Stawiński, poetka Irena Tomalakowa, antologistka Barbara Otwinowska.

Pokolenie wilków

Żołnierzy wyklętych, uczestników powstania antykomunistycznego 1944–1956, przez długie lata nazywano tak, jak sobie życzyli ich pogromcy: bandytami, zapłutymi karłami reakcji, zbirami, polskimi faszystami, wrogami ludu. W tym repertuarze niewybrednych określeń kryminalnych i politycznych insynuacji pojawiał się niekiedy termin z innej bajki, dwuznaczny, sugerujący drapieżność, krwiożerczość, owszem, ale też, co, pisząc pod dyktando partii, należało przemilczeć – oznaczający niepoohamowane umiłowanie wolności, życie prowadzone w ukryciu. Idzie mianowicie o termin „wilki”. To nim posłużył się Zbigniew Herbert (1924–1998), eksponując tragizm losu partyzantów II konspiracji w głośnym wierszu

London 1946, s. 49; anonimowa satyra *Polscy bandyci*, „Szydło” 1946, nr 1; C. Miłosz *Zdobycie władzy*, Paryż 1955; T. Chrzanowski, *Ci z AK*, „Twórczość” 1956, nr 9, s. 5; drugoobiegowy wiersz B. Urbankowskiego z 1968 r. *Pomnik Rotmistrza Pileckiego (1901–1948)*, druk oficjalny w: idem, *Galeria rzeźb pomnikowych* (1991).

z tomu *Rovigo* (1992), otwierającym i zamykającym się zwrotką (pierścień kompozycyjny):

Ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
pozostał po nich w kopnym śniegu
żółtawy mocz i ten ślad wilczy⁵

Bohaterowie antykomunistycznego zrywu opisani w wierszu Herberta: „Ciemny”, „Świt”, „Marusia”, „Grom” – odeszli w nicotę. Poeta oddał chwałę zwyciężonym, pochował ich w trenie – usypał im grób mniej niż symboliczny, ale więcej niż żaden⁶.

W roku 1992, kiedy został opublikowany utwór, jego autor faktycznie mógł sądzić, że antykomunistyczni partyzanci przepadli doszczętnie. Nie ukazała się jeszcze książka Jerzego Ślaskiego *Żołnierze wyklęci* (1995), Liga Republikańska nie wydała albumu *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku* (1999), szkolne podręczniki bajdurzyły co najwyżej o wojnie domowej i zwalczaniu band, o atlasie powojennego podziemia niepodległościowego nie śmieli marzyć najwięksi optymiści. Więc tak to wyglądało, jak zanotował poeta: Polacy stawiający zbrojny opór okupantowi zza wschodniej granicy przegrali z kretesem swoje młode życie, plany o macierzyństwie, drodze artystycznej, karierze zawodowej. Wszystko. Ponieważ prowadzili walkę w ekstremalnie trudnych warunkach, beznadziejną, opuszczeni przez zachodnich sojuszników, z przeciwnikiem, którego wyższość musiał uznać nawet długo niezwyknięty Wehrmacht, zostali starci z powierzchni ziemi. Że byli z krwi i kości, że nie zrodziła ich legenda długoletniej tradycji polskiej irredenty, zaświadcza – jakże ulotne, znikliwe dowody – żółtawy mocz na śniegu⁷ i ich ślad wilczy. „Wilczy” – „ponieważ żyli prawem wilka”: kryli się po lasach, nie dali się oswoić (woleli być dzicy niż cywilizowani przez „ustrój sprawiedliwości społecznej”), przedkładali mrok puszczy nad czerwony blask „słońca

5 Cyt. wg: Z. Herbert, *Poezje*, wyd. II poszerz., Warszawa 1998, s. 585. Przykłady biegunowo innej niż u Herberta, pejoratywnej realizacji terminu „wilki” w odniesieniu do żołnierzy wyklętych: „łotrzyk się bawi w domową wojenkę – przeżyło wilka jego nocne wycie” – A. Ważyk, *Kronika* (fragm.), „Kuznica” 1946, nr 19, s. 1; „Wilki, wilki, / powiedzcie mi, wilki, / jakie są wasze prace? // Nasze prace / bomba i kastet – / oto są nasze prace. (...) Wilki, wilki, / powiedzcie mi, wilki, / jaka wasza ojczyzna? // Nasza ojczyzna / zdrada, zgnilizna – / taka nasza ojczyzna” – K.I. Galczyński, *O wilkach* (fragm.), „Przekrój” 1951, nr 348, s. 5.

6 B. Urbankowski przypomina, nie podając jednak precyzyjnego adresu bibliograficznego, „że w «Tygodniku Solidarność» Herbert Wilki poświęcił *Pamięci oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy zginęli w lasach po roku 1945, z bronią w ręku i nie złamali przysięgi*”. B. Urbankowski, *Poeta, czyli człowiek wielokrotniony. Szkice o Zbigniewie Herbercie*, Radom 2004, s. 402. Autor niniejszego artykułu nie spotkał wzmiankowanej dedykacji w żadnym z wydań książkowych Wilków.

7 Za sprawą Herberta mocz staje się relikwią po żołnierzach wyklętych. O zgoła innym wartościowaniu postaw patriotycznych postrzeganych przez pryzmat motywu uryny pisze Waldemar Łysiak w związku z Toastem Miłosza. Zob. W. Łysiak, *Karawana literatury*, Warszawa 2013, s. 106.

narodów”, a gdy byli osaczani przez łapaczy z UB czy innego NKWD, warczeli, odgryzali się, ginęli, powierając dobremu śniegowi swą „zmierzwioną sierść”.

Nie nad takimi płaczą Elektry, nie takich grzebią Antygony. Takim „posiwa śnieg ich młode głowy”, o takich zapomina Klio. Jakże się mylił Herbert, wyciągając te pesymistyczne wnioski dotyczące jego rówieśników, którzy w szeregach NZW, WiN, KWP bili się o suwerenną Polskę, za co mieli być przez utrwalaczy władzy ludowej wymazani ze świadomości rodaków, przekonujemy się dziś, kiedy 1 marca organizowane są obchody ku czci żołnierzy wyklętych⁸, wychodzą o nich dziesiątki książek historyków IPN-u, setki artykułów ogłaszane są w prasie, a masowy odbiorca dowiaduje się o „Łupaszce”, „Żelaznym”, „Brzasku”, „Ojcu Janie”, „Orliku”, „Bruzdzie” z produkcji teatru telewizyjnego i komiksów⁹.

Major „Zapora”

Na stracenie (1992) Janusza Krasieńskiego (1928–2012) to bodaj pierwsza polska powieść opublikowana po transformacji ustrojowej, choć ukończona jeszcze w roku wielkich przemian (16 VI 1989), w której pojawiają się wzmianki o żołnierzach wyklętych. I bynajmniej nie idzie tu o wzmianki w ogóle, gdyż w dobie PRL-u pisano chętnie i sporo o podziemiu niepodległościowym¹⁰; rzecz w tym, iż Krasieński vel wykreowany przez niego narrator mówi o powstańcach antykomunistycznych inaczej, niż praktykowano to jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku; nie postrzega ich jako bandytów, ale zgodnie z prawdą,

8 Ustawą z dnia 3 lutego 2011 (Dz.U. z 2011 nr 32 poz. 160) dzień 1 marca ustanowiono Narodowym Dniem Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”.

9 Na uwagę zasługują szczególnie dwa spektakle Sceny Faktu Teatru Telewizyjnego: *Inka 1946*, reż. N. Koryncka-Gruz, 2007; *Tajny współpracownik*, reż. K. Lang, 2009. W 2007 ukazały się pierwsze komiksy o tematyce żołnierzy wyklętych. Były to pozycje: *Drągal* (scenariusz: R. Zaręba, rysunek: A. Chochowski, w: 11/11 = *Niepodległość. Antologia*, Warszawa 2007, s. 103-116) – o Aleksandrze Młyńskim, oraz *Wbrew nadziei. Opowieść o Łukaszu Cieplińskim ps. „Pluś”* (scenariusz: W. Birek, rysunek: G. Pudłowski, Warszawa 2007). Potem były następne – co nie dziwi, wszak burzliwe życiorysy partyzantów antykomunistycznych już same w sobie stanowią niemal gotowy materiał do snucia sensacyjnych fabuł ikoniczno-tekstowych: *Uwolnić więźniów* (scenariusz: W. Birek, rysunek: G. Pudłowski, Warszawa 2008), *Wyzwolenie? 1946* (scenariusz: S. Zajączkowski, rysunek: K. Wyrzykowski, Warszawa 2010), *„Żelazny”* (scenariusz: S. Zajączkowski, rysunek: K. Wyrzykowski, w: *Żołnierze wyklęci 1943–1963*, nr 1-8 wydawnictwa ogłaszanego przez „Rzeczpospolitą” pomiędzy 30 III a 18 V 2011), *„Zygmunt”* (scenariusz: S. Zajączkowski, rysunek: K. Wyrzykowski, Warszawa 2011) – pierwszy zeszyt serii *Wilcze tropy*, poświęconej żołnierzom wyklętym. Do 2021 r. ukazało się w tym cyklu 6 komiksów.

10 Zob.: M. Solecki, *Literackie portrety żołnierzy wyklętych. Esej o literaturze polskiej lat 1948–2010*, Łomianki 2013; idem, *Historie pisane przez wojnę*, Łomianki 2015, s. 149-164, 210–217; idem, *Wymurzenie z czerwonej rzeki*, Łomianki 2017, s. 171–184; idem, *Z KBW na Parnas. Przypadek Jerzego Grzymkowskiego, „Wyklęci”* 2018, nr 2, s. 191–200; idem, *Antysemicka gebla niepodległościowego podziemia*, „W Sieci Historii” 2022, nr 3–4, s. 60–61; idem, *Wiersze o żołnierzach wyklętych. Przegląd twórczości z lat 1946–2018*, „Nowy Napis” 2022, nr 16, s. 179–189; idem, *Komunistyczna propaganda przeciwko polskiemu podziemiu niepodległościowemu*, <https://edukacja.ipn.gov.pl/edu/materialy-edukacyjne/teki-edukacyjne/polskie-podziemie-niepodleglos/151318,Esje-i-scenariusze-lekcji-dla-nauczycieli.html>, dostęp: 20 IX 2022.



Tablica pamiątkowa, miejsce: blok ZUS w Warszawie, ulica J. U. Niemcewicza 7/9

czyli jako nieulekłych patriotów, spadkobierców resztek polskiego honoru.

Żaden jednak z żołnierzy niepodległościowego podziemia nie dostał zaszczytu bycia bohaterem głównym skomponowanej z serii retrospektywnych migawek książki Krasińskiego, w świecie przedstawionym utworu nie pojawia się ich zresztą wielu; rangę wyodrębnionej onomastycznie postaci zyskał raptem jeden spośród nich – legendarny mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, notabene znany czytelnikowi tylko z pseudonimu. Reszta przywołanych w dziele żołnierzy wyklętych: partyzanci towarzyszący „Zaporze”, grający z nim w szachy mecenas, pojawiający się w opowieściach mokotowskich więźniów chłopcy od „Ognia” (mjr. Józefa Kurasia), zwani „płomykami”¹¹, powstańcy zatrzymujący w lesie pościągę w celu wybrania z nich komunistów¹², wykonujący wyroki na stalinowskich sędziach¹³ – nie wychodzą poza sferę anonimowości.

Szymon Bolesta, główny bohater powieści Janusza Krasińskiego *Na stracenie*¹⁴, spotyka „Zaporę” w celi

mokotowskiego więzienia (osławiony złą sławą X pawilon)¹⁵. Nowo poznany wywiera na nim wielkie wrażenie, graniczące z podziwem zatrutym rozgoryczeniem, wynikającym ze zdiagnozowania ironii dziejów:

Zza ścianki [ubikacji; M.S.] (...) wyszedł niewysoki mężczyzna w battle-dressie. Cichociemny?... Zrobił jedno okrażenie (...), przystanął i wsparł się rękami o krawędź stołu. (...). Ciemna czupryna zwiślała mu na oczy, wąskie zaciśnięte wargi – apatycznie kołysał pochylonym

.....
15 M. Klecel komplementuje J. Krasińskiego za umiejętność konstruowania więziennych scen zbiorowych: „W świetnie zarysowanych scenach ze zbiorowej celi więziennej na Mokotowie, gdzie znaleźli się przedstawiciele niemal całego polskiego społeczeństwa po wojnie, od przywódców państwa podziemnego, konspiratorów i partyzantów, przez ludzi nauki, aż do pospolitych kryminalistów, autorowi udało się powiązać rozliczne wątki i ludzkie losy z okresu zdobywania władzy i budowy systemu komunistycznego w Polsce”. M. Klecel, *W mroku PRL. Pisarstwo Janusza Krasińskiego*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2007 nr 5-6, s. 81. Badacze pisarstwa autora tetralogii o Szymonie Boleście (*Na stracenie*, 1992; *Twarz do ściany*, 1996; *Niemoc*, 1999; *Przed agonią*, 2005) – Marek Klecel (*W mroku...*) i Tomasz Burek – doceniają jej aspekt artystyczny oraz doniosłą rolę w procesie odkłamywania PRL-u, jednak szczerze wyznają, że pisarz (nie ze swojej winy) nie stał się tym, kim mógł się stać, na kogo miał zadatki: „(...) oczekiwano rozrachunkowych utworów literackich o czasach, w których zakazywano wolności, więcej, gdy nakazywano oszustwo, kłamstwo, koniunkturalizm. Po przełomie 1989 roku odzyskanej wolności – w kulturze – nie wykorzystano. Janusz Krasiński pozostanie zapewne jedynym pisarzem, który podjął się dzieła najpełniejszego przedstawienia rzeczywistości PRL (...). M. Klecel, *W mroku...*, s. 80; „Marzyło się niektórym (przynajmniej należałem do nich), że *Na stracenie* będzie (...) sztandarowym dziełem nowej literatury rozrachunkowej, wspierającej proces dekomunizacji, depeerealizacji, oczyszczania zbiorowej świadomości Polaków. (...) Stało się inaczej. Krasiński jako pisarz został przez Trzecią Rzeczpospolitą zakonspirowany ponownie”. T. Burek, *Wyjście na wolność*, „Rzecz o książkach”, s. K7, dodatek do: „Rzeczpospolita” z 4-5 X 2008.

11 Zob. J. Krasiński, *Na stracenie*, Kraków 2006, s. 170-171.

12 Ibidem, s. 73-75.

13 *Z czego się zresztą spowiadają...* Zob. ibidem, s. 181-182.

14 Przybyły do Polski latem 1947 r. z alianckiej strefy okupacyjnej Szymon Bolesta jest osaczony i absurdalnie postawiony w stan oskarżenia przez aparat bezpieczeństwa (zarzut szpiegostwa) jak Kafkowski Józef K. z *Procesu*.

ciałem. (...). Nagle uczynił szybki ruch ręką, wywołując tym krótką, lecz gwałtowną wymianę zdań przy stole, po czym rozległ się jego donośny głos:

– W następnym ruchu bierzesz pan królowkę.

– Znów strzelasz pan do mnie z biodra, majorze – odezwał się drugi głos.

– O nie, mecenasie – zaoponował cichociemny. – Nigdy z biodra, tylko tak... – ułożył łokieć na środku brzucha. – Zawsze tak... Angielska szkoła. Uniwersytet w Audley End¹⁶. Na dziesięć – dziesięć trafionych... Z marszu. Mógłbym to panu pokazać w lesie. Dlaczego pan się zasłonił? Uratowałyby pan jeszcze tę damulkę. (...).

Szymonowi pociemniało w oczach. Wydawało mu się, że jest mimowolnym świadkiem profanacji śmierci. Z tym, iż profanującym był nie kto inny, ale właśnie oczekujący jej skazaniec. Cichociemny z Audley End zrzucony (...) pod Zamościem z czteromotorowego halifaxa. Major Zapora – jeden z najzacieklej ściganych przez Niemców dowódców partyzantki. Szymon przeżegnał się żarliwie w duchu.

Z przywołanego fragmentu wynika, że major jest napiętnowany wyrokiem śmierci (siedmiokrotnym! – to już informacja pozaksiążkowa), zatem musi być co najmniej końcówka 1948 r. (wyrok zapadł 3 listopada 1948 r.; utwór nie posiada eksplicytniej datacji). Oczekiwanie na egzekucję wypełnia m.in. grą w szachy z „mecenasem”, czyli z Władysławem Siłą-Nowickim „Stefanem”. Informacje o niepozornym wzroście oficera i o jego doskonałych umiejętnościach strzeleckich są jak najbardziej zgodne z faktami¹⁷.

Bolesta gromadzi wiadomości o fascynującym go Dekutowskim, prowadząc obserwacje i rozmowy ze współwięźniami. Spostrzega, że „Zapora” zajmuje miejsce w celi pośród swoich, tj. razem z nim skazanych na śmierć partyzantów, którymi dowodził w lesie. Narrator raz nazywa ich oddziałem, raz drużyną; grupa trzymająca się „Zapory” liczy dwanaście osób. Z sobie wiadomych powodów Janusz Krasiński nie rozpoznał w niej oficerów sztabu Dekutowskiego: kpt. Stanisława Łukasika „Rysia”, por. Romana Grońskiego „Żbika”, por. Edmunda Tudruja „Mundka”, por. Arkadiusza Wasilewskiego „Białego”, por. Tadeusza Pelaka „Junaka”, por. Jerzego Miatkowskiego „Zawady”; z sobie też wiadomych względów zwiększył liczbę zamkniętych razem z „Zaporą” osób (nie licząc tego ostatniego) z siedmiu (sześciu podkomendnych

16 Audley End – ośrodek szkolenia cichociemnych na południe od Cambridge.

17 Nieprzeciętne zdolności strzeleckie Dekutowskiego potwierdza jego podkomendny, oficer ochrony, pułkownik Marian Pawełczak „Morwa”: „Osobistą broń «Zapory» był pistolet Colt, kaliber dwunastka. Wspaniale strzelał, z podrzutu przeważnie. Kiedyś nam pokaz zrobił. Jechaliśmy sankami, prawie w galopie, przez taki młodnik i on wystrzelał cały magazynek. Później żmudnie szukaliśmy śladów, tymczasem wszystkie pociski były w drzewach” (fragment relacji złożonej autorowi w lipcu 2006 r.).

plus przełożony z WiN-u, W. Siła-Nowicki) do dwunastu. Przyjęta przez pisarza liczba aktywizuje symboliczne płaszczyzny odczytania, oscylujące pomiędzy biegunem parszywej dwunastki (w istocie, zaporczycy po wojnie wykonywali straceńcze zadania, za co zapłacili najwyższą cenę) a biegunem dwunastu apostołów: niezawisłej od Sowietów Polski? umęczonej Armii Krajowej? honoru polskich oficerów? jakiej innej religii polskich patriotów?

Bolesta dostrzegał nie tylko to, że podwładni z niezmiennym oddaniem trwali przy swoim dowódcy. W duże osłupienie wprawiła go konstatacja, że „Zapora”, będąc kaesowcem, nie uchyla się od dyżurów w celi. Widząc, jak major zamiata klepisko, usiłował odebrać mu miotłę, za co został zrugany¹⁸. Skoro nie mógł wyręczyć oficera urażonego chęcią niesienia mu pomocy, a koniecznie chciał coś dla niego zrobić, pomodlił się o cud, mieszając do pobożnego wezwania imię demona: „Boże, natchnij prezydenta Bieruta wolą łaski!” (s. 217).

Jakaś wewnętrzna siła musiała emanować z Dekutowskiego, jeśli nawet przeznaczony katu esesman Handke darzył go estymą:

Najdziwniejszy jednak był jego stosunek do partyzantów, do majora „Zapory”, do tych dwunastu oczekujących egzekucji. Co rano, kuląc się pod ich zimnym wzrokiem, kłaniał im się z onieśmieniem. I czynił to z takim szacunkiem, jakby fakt, iż znalazł się między nimi, poczytywał sobie za największy, choć niezasłużony zaszczyt, za fatalną pomyłką historii przyznane mu wyróżnienie¹⁹.

Zrównywanie żołnierzy wyklętych z esesmanami (czy szerzej – faszystami) było jednym z szeregu diabolicznych pomysłów władzy ludowej, która w stosunku do grupy Dekutowskiego posuwała się do najgorszych podłości: dla większego pohańbienia „Zapory” i jego ludzi ubierano ich na rozprawy w mundury Wehrmachtu.

Skazani na karę śmierci winowcy Dekutowski i jego oficerowi nie czekali biernie na strzał w tył głowy. Podjęli desperacką próbę ucieczki z mokotowskiej mordowni UB. Nocą za metalowym parawanem ściany ubikacji drążyli dziurę w suficie. Przed świtem zaklejali ją papierem i zamalowywali „przybrudzone proszkiem do zębów”²⁰. Kiedy otwór był wystarczająco duży, by mógł przecisnąć się przez niego dorosły człowiek, grupa desperatów dostała się na strych, uchylono klapę wjazdu na dach, ale szybko się wycofano, bo księżyc:

(...) był (...) tak jasny, że można by przy nim czytać gazetę. I dlatego nie ośmielili się zaryzykować. Tam na tym dachu byłoby jak zwierzyna wystawiona na odstrzał.

18 Por. J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 216-217.

19 Ibidem, s. 270.

20 Ibidem, s. 321.

Więc (...) wyrzeli i cofnęli się. Zdecydowanie należało odczekać tę księżycową jasność²¹.

Jednak nim nadeszły bezksiężycowe noce – wpadli. Ktoś ich zadenuncjował, podejrzenie padło na pomysłodawcę metody ucieczki, więźnia kryminalnego, tępego mordercę nazwiskiem Kuźma. Oto jego wypowiedź:

Bo toć kto jak nie ja wpadł na myśl wybić tę dziurę w suficie? Kto jak nie ja podszedł do majora Zapory i tak wprost: „Panie dowódcu, jest sposób, żeby się ratować”. Kto jak nie ja znalazł tego byka w konstrukcji? Że to (...) niby więzienie, a dach schodzi prosto na mur²².

Tyle, ujmując rzecz w telegraficznym skrócie²³, pisze Janusz Krasiński o nieudanej ucieczce Dekutowskiego i jego podkomendnych. Nadmienmy jeszcze, że fiasko eskapady eksploduje na poziomie narracji dramatycznymi pytaniami, odbijającymi się głucho od przyzwalającego na zagładę „Zapory” i jego najbliższych współpracowników milczenia Opatrzności:

Dlaczego? Dlaczego tak wszystko przysięgło się przeciwko nim?! Chytrzy dyplomaci przy konferencyjnych stołach, niebo kuszące zdrajcę srebrnikami księżycy a droga na Zachód, jedyna droga ocalenia z zastawioną na końcu pułapką²⁴

Taka jest wersja literacka tego wydarzenia, wzorowana na zapiskach Władysława Minkiewicza *Mokotów – Wronki – Rawicz. Wspomnienia 1939–1954* (Warszawa 1990, s. 100–102), autora ze wszech miar wiarygodnego, gdyż w jego celi osadzono karnie dwóch amatorów niedoszłej ucieczki, zaporczyków Edmunda Tudruja „Mundka” i Arkadiusza Wasilewskiego „Białego”, którzy nie skąpili w gruncie rzeczy krzepiących szczegółów niespełnionej rejterady nowym towarzyszom niedoli. Niewykluczone jest, że Krasiński, więzień Mokotowa, poznał ich relację osobiście.

Jakie można wyciągnąć wnioski z konfrontacji dzieła literackiego Krasińskiego z dokumentem Minkiewicza? Jeden ogólny: rzekę powieściowej narracji Krasińskiego zasilają czyste źródła historyczne. Pisarz generalnie zachował szkielet faktograficzny wypadków ze stycznia 1949 r., wypełniając go fikcyjnymi, acz prawdopodobnymi opisami emocji, myśli postaci etc.

Podobnie rzecz ma się z przedstawieniem prowokacji UB, w wyniku której zaporczycy wraz ze swoim dowódcą zostali aresztowani („droga na Zachód, jedyna droga ocalenia z zastawioną na końcu pułapką”). Jej szczegóły poznajemy dzięki płk. Lipińskiemu²⁵:

21 Ibidem, s. 320.

22 Ibidem, s. 324.

23 Pełny opis: ibidem, s. 320–324.

24 Ibidem, s. 326.

25 Na końcowych stronach powieści pojawia się pytanie: „Czy idący [do transportu więźniów politycznych jadącego z Mokotowa do Wroniek; M.S.] pilsudczyk [płk Lipiński; M.S.] stanie kiedyś przed niezależnym sądem, aby jako



Barbara Otwinowska, net

Więc ktoś wskazał im drogę na Zachód. Ktoś bardzo zaufany. Niech stąd chyłkiem unoszą głowy. Bo na ziemi, o którą walczyli, jest dla nich tylko tyle miejsca co na mogiłę. I doręczył im fałszywe papiery. (...). Mieli przejść z nimi bezpiecznie przez sowiecką strefę okupacyjną. (...). Bóg jeden wiedział, ale nie powiedział, że wystawiło je NKWD. W nadgranicznym miasteczku miał ich oczekiwać wysiedlony z rodziną ze Wschodu znany im i zaufany nauczyciel. (...).

Więc wyruszyli do tego miasteczka. Trzy dni drogi, sami oficerowie, bez żołnierzy, przypadkowymi pociągami, po stacjach pełnych wojska, UB i enkawudystów. I aż nie do wiary, iż nie wydało im się podejrzane, że nikt ich nie zaczepił. (...). Trzeciego dnia pod wieczór odnaleźli willę. Wszystko było w porządku, tylko gospodarz jakby nadto zdenerwowany. Ale zlekceważyli to. Przygotował im nocleg na dole w hallu (...). Na dole w hallu został też z nimi przewodnik... Figurkarz. Tak ich nazywano, bo przeprawiali przez granicę co ważniejsze osobistości.

.....
 świadek egzekucji zeznać na okoliczność zdrady, której ofiarą padł oddział majora Zapory” (J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 332–333). Odpowiedź na nie daje biogram pułkownika: „(...) sędzia Szeliński skazał na karę śmierci [27 XII 1947 r.; M.S.] płk. Wacława Lipińskiego, historyka, działacza pilsudczykowskiego (...). Bezpieka przyszła po niego w styczniu 1947 r. Wyrok I instancji (...) zmienił na dożywocie dopiero Bierut. Była to jednak wątpliwa «laska-wość». Według oficjalnej wersji Lipiński popełnił samobójstwo w więzieniu we Wronkach (4 kwietnia 1949 r.), ale najpewniej został skatowany przez służbę więzienną i powieszony w celi”. T.M. Plużański, *Bestie* (8), „Niezależna Gazeta Polska” 2008, nr 7, s. 59.

(...). Dyskretnie, żeby nie urazić gospodarza [„Zapora”; M.S.], kazał chłopcom przejrzeć strych i piwnice (...). Nie było nikogo. (...) położyli się spać. (...). Wystawili na noc wartownika. I to był jego jedyny błąd. „Powiniennem był wystawić dwóch – mówił [major do płk. Lipińskiego; M.S.] – albo i trzech. Zginęlibyśmy z honorem. Bo innego wyjścia stamtąd nie było”. W środku nocy figurkarz przywołał wartownika pod jakimś pretekstem, a ten w zaufaniu wszedł do przedsionka. Nie zdążył nawet ust otworzyć. (...) W parę chwil później posypały się szyby i we wszystkich oknach zabłyśły lufy automatów. (...). Nikt nie zdążył nawet sięgnąć po broń. I tego major Zapora nie potrafił sobie wybaczyć²⁶.

Ujętych winowców przewieziono najpierw do katowickiego UB²⁷, a następnie przekazano ich do centrali w Warszawie, gdzie przeszli wyjątkowo brutalne śledztwo. Po ubeckich przesłuchaniach – godnych miana gestapowskich – Dekutowski mógłby być modelem do polskiej piety: „Miał trzydzieści lat, pięć miesięcy i 11 dni. Wyglądał jak starzec. Siwe włosy, wybite zęby, połamane ręce, nos i zebra. Zerwane paznokcie”²⁸. Ale o tym już nie przeczytamy w książce Janusza Krasińskiego *Na stracenie*. Wróćmy więc do powieści.

Glejt od pisarza na przytaczanie domniemanych słów „Zapory” otrzymał płk Lipiński, z którym major tuż przed swoją śmiercią odbył rozmowę w cztery oczy, a zatem ważną, mającą charakter testamentu. Powiedział wówczas m.in.:

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego byliśmy żołnierzami, broniąc ludności Zamojszczyzny przed deportacją do Rzeszy, a zostaliśmy bandytami, stwarzając zaporę przeciwko sowieckim wywózkom na Sybir²⁹.

Jak ostatnia prośba skazańca brzmi inna wypowiedź oficera niezłomnego, podyktowana troską o dobre imię ojczyzny:

„Pułkowniku, pan ułaskawiony, pan przeżyjesz. I pan między innymi będziesz go sądził [agenta odpowiedzialnego za wystawienie „Zapory” i jego sztabu UB; M.S.]. I ja proszę, bardzo proszę... zróbcie mu wzorem bolszewików potajemny proces³⁰. Cichy, bez rozgłosu, żeby świat nie wiedział, jakich Polska miała zdrajców”³¹.

26 J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 327–329.

27 Drobną nieścisłość Krasińskiego – było to UB w Będzinie. Ale okoliczności ujęcia „Zapory” i jego podkomendnych zostały odtworzone przez pisarza z pietyzmem autora powieści historycznych. Por. L. Pietrzak, *Kto wydał „Zaporę”?*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15, s. 282–283.

28 E. Kurek, *Zaporczyk 1943–1949*, Lublin 2005, s. 319.

29 J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 327.

30 Taki los spotkał Dekutowskiego i jego ludzi. T.M. Płużański pisze o „Zaporze”, iż: „Podczas niejawnej rozprawy 3 listopada 1948 r. (...) dostał siedmiokrotną karę śmierci”. T.M. Płużański, *Bestie* (6), „Niezależna Gazeta Polska” 2008, nr 5, s. 59.

31 J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 328.

Ubecy wywlekali ze zbiorowej celi mokotowskiego więzienia zaporczyków na egzekucję à la Katyń 7 marca 1949 r. Uśmiercali ich w kilkuminutowych odstępach. Dowódca zginął jako ostatni. Tyle przekaz historyczny³². Pisarz dość swobodnie podchodzi do podanych faktów. Dokonuje ich modyfikacji, zapewne by uzyskać dramaturgię opisu godną przedmiotu, którego on dotyczy; nie dość, że osadza wypadki w porze wielkich upałów, to jeszcze, powodowany racjami artystycznymi (nie: ideologicznymi, jak to mieli w zwyczaju twórcy jedzący z ręki reżimowi), odbiega od ich rzeczywistego przebiegu:

Więc kiedy tam na korytarzu najmłodszy z jego [„Zapory”; M.S.] oficerów³³ wleczony nago przez oprawców wzywał na ratunek matkę i błagał o życie, tak po dziecinnemu za wszystko przepraszając, a (...) poddawanym rewizji, która była tylko pretekstem do wyprowadzenia skazanych, zupełnie odebrało głos, wtedy major Zapora, także obnażony do pasa, wykrzyknął: „On sam tam pójdzie! Pozwólcie mu się tylko ubrać, szubrawcy!”. A do tego chłopca: „Żołnierzu, strzelałeś i wiesz, co to kula w łeb. Wstań! Oni ci nic więcej zrobić nie mogą”. Potem splunął w twarz najbliższemu z oprawców: „Krótko tu waszej władzy, stalinowskie pacholki! Polska was osądził!”³⁴.

Pisarz wstrzymał pióro przed nakreśleniem opisu mordu sądowego dokonanego na majorze Hieronimie Dekutowskim „Zaporze” i jego sześciu podkomendnych. Niekiedy milczenie bywa najwspanialszą formą oddania hołdu. Pod warunkiem, że jest to milczenie rozbrzmiewające na kartach literatury. Trwalsze od spiżu. Zapewniające wieczną pamięć zamordowanym bohaterom ioczesne miejsce w literaturze ich towarzyszeni broni z tej samej formacji niepodległościowej, która stygmatyzowała biografie przedstawicieli pokolenia Kolumbów i wilków – Armii Krajowej.

Głos represjonowanej

Barbara Otwinowska, cichociemna Elżbieta Zawacka i Anna Krystyna Tomalak-Reszuto w 1994 r. zebrały, zredagowały, podały do druku utwory poetyckie absolutnie nierozpoznawalnej dziś Ireny Tomalakowej (1895–1971). Tomik nosił tytuł *Drugi brzeg. Wiersze wojenne i więzienne*. Jego autorka, aktywna literacko od międzywojnia (rękopisy jej liryków i powieści spłonęły w powstaniu warszawskim), swoją imponującą działalność niepodległościową (Legiony, Polska Organizacja Wojskowa,

32 Por. J. Ślaski, *Żołnierze wyklęci*, Warszawa 1995, s. 237.

33 Najmłodszym z 6 oficerów „Zapory” skazanych razem z nim na śmierć był por. Roman Groński „Żbik”.

34 J. Krasiński, *Na stracenie...*, s. 329. Na sugestywność genialnie skonstruowanej przez pisarza sceny zwrócił uwagę M. Urbanowski (*Dezertery i żołnierze. Szkice o literaturze polskiej 1991–2006*, Kraków 2007, s. 214).



Irena Tomalakowa, net

Ochotnicza Legia Kobiet, mjr Armii Krajowej, żołnierz powstania warszawskiego, m.in. udział w walkach o Pastrę; po rozwiązaniu AK szef łączności w Delegaturze Sił Zbrojnych, a następnie w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”) przyplaciła komunistycznymi represjami (aresztowana 21 IV 1946 na granicy z Czechami podczas swojej trzeciej misji kurierskiej; osądzona, skazana na 15 lat więzienia, zwolniona 7 V 1956 r.). Tomalakowa do swojej śmierci w głębokim Peerelu nie znajdowała klucza do tego, co ją spotkało po wojnie za jej oddanie ojczyźnie. W wierszu *Za co?*, upominając się o sprawiedliwość dla tysięcy takich ofiar władzy ludowej jak ona, skarżyła się:

Za ten prawdy pościg,
za służbę ludzkości,
za służbę Polsce (...)
i – że jestem zdolną
życie dać za wolność –
dali mi kraty, blindy i okowy³⁵.

35 I. Tomalakowa, *Za co?*, w: eadem, *Drugi brzeg. Wiersze wojenne i więzienne*, red. B. Otwinowska, E. Zawacka, zebranie i przygotowanie do druku B. Otwinowska i A.K. Tomalak-Reszuto, Toruń 1994, s. 68. Blinda (argotyzm) – przysłona na okno więzienne.

Antologistka pamięta

Utwory pisane przez uczestników antykomunistycznego podziemia odsiadujących wyrok więzienia albo, z sercem w kleszczach trwogi, oczekujących wywiezienia na piwniczną egzekucję, to wyjątkowy dokument parazytycznych czasów. Takie efemeryczne teksty, jak lepienie z chleba przez skazańców krzyżyki, zebrała prześladowana w Peerelu Barbara Otwinowska (1924–2018) w antologii *Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956* (1995). Cudem jest, że tych kilkaset ulotnych, wierszowanych świadectw niezawinionego cierpienia udało się badaczce zrekonstruować i utwalić drukiem dla przyszłych pokoleń. Niektóre ocalone utwory dosłownie zmateriałyzowały się, stając się częścią przestrzeni publicznej, jak np. fragment funkcjonującego w różnych wersjach wiersza Tadeusza Porayskiego (1916–1989) z 1949 r. *Służewiec*, wyryty na Pomniku Męczenników Terroru Komunistycznego 1944–1956 (Warszawa-Ursynów), wzniesionym w miejscu potajemnych pochówków polskich patriotów, straconych w centralnym więzieniu MBP na Mokotowie:

Przechodniu,
Pochyl czoło, wstrzymaj krok na chwilę
Tu każda grudka ziemi krwią męczeńską broczy
To jest Służewiec, to nasze Termopile
Tu leżą Ci, co chcieli bój do końca toczyć
Nie odprowadzał nas tu kondukt pogrzebowy
Nikt nie miał honorowej salwy ani wieńca
W mokotowskim więzieniu krótki strzał w tył głowy
A potem mały kucyk wioził nas do Służewca

...Z Jej imieniem na ustach zwyciężyć lub zginąć
Szliśmy w oddziałach „Wilka” i murach Starówki
Pod Narwik, pod Tobruk, pod Monte Cassino
By w tym piasku kres znaleźć żołnierskiej wędrówki...³⁶

Większość jednak tekstów uratowanych przez B. Otwinowską pozostaje szerszemu odbiorcy nieznaną, a trafiają się wśród nich klejnoty liryki, jak choćby ośmiowersowa, anonimowa *Modlitwa więzienna* (ok. 1951), dedykowana ostatniemu prezesowi Zrzeszenia WiN, płk. Łukaszowi Cieplińskiemu „Pługowi”, zamordowanemu 1 III 1951 r.:

36 Fragment wersji wiersza *Służewiec* wyryty na ursynowskim pomniku. Utwór T. Porayskiego krążył wśród więźniów Mokotowa w różnych wariantach, Otwinowska (*Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956*, zebranie, oprac. i wstęp B. Otwinowska, Warszawa 1995, s. 216–217) podała go za przekazem Mieczysława Kielbińskiego. W wydanej przez MON antologii wierszy o żołnierzach wyklętych *Płaszcz chwały* (wyb., układ, wstęp, objaśnienia, noty o poetach i utworach M. Solecki, Warszawa 2017, s. 55–56) wersja Kielbińskiego w dwóch miejscach uległa modyfikacji (wers 2. strofy 6., wers 1. strofy 7.), dokonanej przez B. Urbankowskiego, dzięki czemu *Służewiec* stał się regularnym trzynastozgłoskowcem.



Jerzy Stefan Stawiński, foto. Jerzy Troszczyński, FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny

Jeślim jak owoc dojrzał do wieczności
I Bóg mnie do niej z więzienia powoła,
Wiem, że to będzie dowód Twej miłości,
Gdy śmierć męczeńska dotknie mego czoła³⁷.

Niepodległościowa tragikomedia

Wydarzenia opisane przez prozaika i scenarzystę Jerzego Stefana Stawińskiego (1921–2010) w powieści *Pułkownik Kwiatkowski albo dziura w suficie* (1996) rozgrywają się na dwóch platformach czasowych: w latach 90. XX w. oraz na przełomie lata i jesieni 1945 r. Problematyka żołnierzy wyklętych – zredukowana do epizodów – odnosi się naturalnie do tej drugiej platformy temporalnej utworu, w której występują winowiec Wojtek i kapitan „Wacek”.

37 *Modlitwa więzienna*, cyt. za: *Przeciwko złu...*, s. 300.

Pierwszy z wymienionych to przyjaciel narratora powieści, emerytowanego leksykografa Włodka. Razem uczęszczali do szkoły, razem walczyli w AK. Mieli podobne poglądy polityczne, jednakże powojenne losy kolegów potoczyły się odmiennie. Tylko Wojtek, przystąpiwszy do Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, podjął aktywność zbrojną przeciwko komunistyczno-sowieckiemu zniewoleniu kraju. Zapłacił za to wysoką cenę jak większość tych, którzy pozostali wierni do końca Rzeczypospolitej:

Wojtek wyszedł po dziesięciu latach z więzienia, skazany na śmierć za antyreżimową konspirację w WiN-ie i za udział w odbiciu kilkudziesięciu akowców, przeznaczonych do wywózki na Wschód. Wojna z Hitlerem i Stalinem zabrała mu osiemnaście najlepszych lat życia: od września 1939 roku do wyjścia z więzienia w roku 1957. (...) nie stracił poczucia humoru i ukazywał w uśmiechu garnitur białych, sztucznych zębów, bo prawdziwe wybito mu w pierwszym śledztwie. (...) po dziesięcioletnim więzieniu nigdy nie odzyskał zdrowia (...) ledwo chodził, wspierając się na lasce³⁸.

Winowiec Wojtek, „skazany na śmierć za próbę obalenia siłą ustroju Polski Ludowej” (s. 18), poznał w celi niezwykle człowieka – „(...) słuchał jego wynurzeń niczym bajki. Bardzo mu to pomogło w przetrwaniu” (s. 18). Tym niezwykle człowiekiem był lekarz LWP, kpt. Andrzej Kwiatkowski. On to, podając się za pułkownika Kwiatkowskiego, wiceministra bezpieczeństwa, odbył rajd po Polsce, ośmieszając towarzysza Radkiewicza i jego siepaczy, przy okazji służąc rodakom miążdżonym przez reżim. Niektóre z nieprawdopodobnych czynów oficera (jak np. zachęcanie ubeków do poniesienia przemocy wobec ujętych członków podziemia na rzecz stosowania metod psychologicznych w śledztwie, ludzki stosunek do zwykłych obywateli, wydobycie organisty z katowni lokalnej bezpieki), który odważył się zagrać na nosie UB, nie zostały wyprowadzone li tylko z rejonów fikcji³⁹.

Trudno uznać kpt. Kwiatkowskiego za żołnierza wyklętego z tego względu, iż podczas misji rzekomo bezpieczniejszej nakazał ludziom ze swojej udawanej obstawy opróżnić pepesze z amunicji. Sam również posługiwał się pistoletem bez naboju. Lipny wiceminister i lipna

38 J.S. Stawiński, *Pułkownik Kwiatkowski albo dziura w suficie*, Warszawa 1996, s. 47.

39 Filip Musiał, pisząc o ekranizacji powieści Stawińskiego, dokonanej przez K. Kutza (1996), selektywnej, bo zawężonej do wydarzeń z roku 1945, zauważa: „Wiele osób, oglądając komedię *Pułkownik Kwiatkowski*, uznaje, że przygody tytułowego bohatera nie mogły się wydarzyć. Co prawda, taka postać nie istniała, jednak w podziemiu działały dziesiątki osób, których życiorysy mogły stać się kanwą scenariusza drugiej części tego filmu. Jedną z nich był kpt. Jan Kosowicz”. Idem, *Jak pułkownik Kwiatkowski*, w: *Żołnierze wyklęci*, s. IV, dodatek do: „Gazeta Polska” 2010, nr 9. O obrazie antykomunistycznej partyzantki w *Pułkowniku Kwiatkowskim* i w innych filmach K. Kutza zob. M. Solecki, *Filmowe portrety żołnierzy wyklętych (1947–2017)*, Łomianki 2021, s. 45–47, 122–128, 181–184, 195–198.

broń. Lecz zagrożenie rzeczywiste. I to zarówno ze strony swoich, jak i czerwonych. Kwiatkowski wpadł w ręce komunistycznego aparatu terroru, bo nie mógł nie wpaść. Znalazł się w celi razem z winowcem Wojtkiem, czyniącym z broni męski użytek, na pohybel zaprzańcom z PPR-u. Żołnierz wyklęty Wojtek bardzo wiele zawdzięczał znajomości z nietuzinkowym, pacyfistycznie nastawionym patriotą kpt. Andrzejem:

(...) największym przeżyciem więziennym nie były dla niego nocne śledztwa, karcery i tortury, gdyż to wszystko należało do banalnych realiów lat czterdziestych, ale właśnie przyjaźń z pułkownikiem Kwiatkowskim, jaśniejącym jak gwiazda w ciemnościach bierutowskiego więzienia⁴⁰.

Niechęć kpt. Kwiatkowskiego do podejmowania działań militarnych przeciwko nowej okupacji wynikała z trzeźwego rozeznania sytuacji międzynarodowej po zakończeniu II wojny światowej. Chwyciłby za broń, zostałby powstańcem antykomunistycznym, gdyby w jego odczuciu istniały choć iluzoryczne szanse na trzeci ogólnoswiatowy konflikt:

– (...) Gdybym miał choć jeden procent nadziei, że ktoś wypędzi Sowieców, sam bym was [tj. dezertarów z LWP, odgrywających rolę jego obstawy jako wiceministra bezpieczeństwa; M.S.] zaprowadził do lasu. Cały świat ma dosyć wojny, nami przestał się już interesować. Żadnej wojny nie będzie⁴¹.

Stefańczuk, szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa gdzieś na Kielecczyźnie, biorąc Kwiatkowskiego za wysłannika centrali, lojalnie ostrzega go przed grasującą w okolicy „bandą Wacka” (s. 124). To właśnie we wsi znajdującej się w rejonie działania niepodległościowego oddziału, zdegradowanego przez ubeków do miana „bandy”, Kwiatkowski postanawia wziąć ślub z Krysią. Pomyślu omal nie przypłacił utratą życia, bo na wesele przybyli nieprzejednani wrogowie władzy ludowej, dowodził nimi komendant „Wacek”. Niżej przywołana scena pozwala poznać jego patriotyczne racje, poglądy uświadomionego politycznie Polaka:

(...) do izby wtargnęło paru ludzi w mundurach, z bronią gotową do strzału. Na czele stał młody mężczyzna w mundurze kapitana [„Wacek”; M.S.]. (...).

– Kogo tu ksiądz gości? Bolszewików?! – zawołał kapitan.

– Grozisz mi bronią, synku? – zapytał ksiądz, wstając.

– Przecież to pacholki Moskwy!

(...)

– (...) [do Kwiatkowskiego; M.S.] Pokaż dokumenty!

– Po co nam dokumenty, Wacek?! Pod płot moskiewskiego gada i już! – wtrącił się młodzieniec w stopniu porucznika.

– (...) nie mam żadnych dokumentów – wyznał Kwiatkowski. – Na moim grobie napiszcie: „NN”.

– Nic nie napiszemy na twoim grobie, bolszewicki morderco! – wrzasnął porucznik. – Wyrzucimy cię na śmietnik!⁴²

Niechybnie żołnierze wyklęci spełniliby swoje groźby wobec domniemanego ważnego ubowca, gdyby nie poręczył za niego ksiądz. Nie mógł tego uczynić wprost, gdyż wiązała go tajemnica spowiedzi, którą odbył Kwiatkowski przed ceremonią zaślubin. Niemniej kpt. „Wackowi” wystarczyło lakoniczne zapewnienie duchownego i został w spokoju jego enigmatycznych gości:

– Chciałbym, żeby wszyscy ubecy byli tacy jak on (...) Możecie mi wierzyć. Nie wolno wam tknąć tych ludzi⁴³.

Kpt. „Wacek” wychodził z plebani podwójnie oszołomiony: primo – nieprawdopodobnym spotkaniem z autentycznie propolskim bezpieczniakiem (czysty oksymoron!), secundo – poinformowany przez człowieka w mundurze wysokiego funkcjonariusza UBP o szykującej się na niego obławie KBW. Czegoś podobnego nie zna historia, zaś historia literatury oprócz *Pułkownika Kwiatkowskiego albo dziury w suficie* nie rejestruje innego utworu o walkach powojnia napisanego w konwencji tragikomicznej. Powieść Stawińskiego to jedyna w wydźwięku pogodna książka spośród znanych autorowi niniejszego szkicu kilkudziesięciu dzieł, w jakich występują wątki żołnierzy wyklętych. Takie cuda: iluzja happy endu, unikatowa aura ostrożnego optymizmu – zdarzają się, ale tylko w fabule, której bohater tytułowy, ginekolog w stopniu kapitana, podając się za wiceministra tzw. bezpieczeństwa publicznego, potrafi przekonać bezlitosnego Mieczysława Demko-Moczara do wypuszczenia z przeładowanego łódzkiego więzienia na Sterlinga połowy aresztantów – „wrogów ludu”.

Zbigniew Herbert, Janusz Krasiński, Irena Tomalakowa, Barbara Otwinowska, Jerzy Stefan Stawiński po 1989 r. stanęli na straży pamięci niezłomnych polskich patriotów. Dekomunizowali polską literaturę, przypominali opinii publicznej sylwetki żołnierzy wyklętych, przywracając im dobre imię, zbrukane przez uzurpatorów. Artykuł stanowi zaktualizowaną wersję fragmentu monografii *Literackie portrety żołnierzy wyklętych. Esej o literaturze polskiej lat 1948–2010* (Łomianki 2013).

MARIUSZ SOLECKI

40 J.S. Stawiński, *Pułkownik Kwiatkowski albo...*, s. 47.

41 Ibidem, s. 152.

42 Ibidem, s. 126–127.

43 Ibidem, s. 127.

Stanisław Żurek

Partyzant „Jaś” mówi

(wspomnienia Jana Ostańskiego
„Jasia” z oddziału „Rysia” od „Zapory”)

w czasie „Burzy” poszliśmy zdobywać
lubelski Zamek tam siedzieli nasi
okazało się że uprzedzili nas sowietci
oglądaliśmy trupy pomordowanych
potem mieliśmy iść na pomoc Warszawie
ale sowietci nie przepuszczali rozkazy cofnięto
komendant placówki Edward Wójtowicz „Zawieja”
wystawił mi legitymację z fałszywą datą urodzenia
ale ludzie wiedzieli musiałem ukrywać się
nie chciałem iść do Berlinga czytałem w naszych
gazetkach o Katyniu sowietci zabierali ludzi
do kopania okopów nad Wisłą zaczęli wyłapywać
kolegów wsadzać do więzienia wywozić na białe
niedźwiedzie niektórzy poszli do Berlinga inni
do „Rysia” ubecy wpadali do domu „gdzie syn?
poszedł do bandy?”
szukali mnie za niezgłoszenie się do wojska
wtedy Stacho Wójcik „Stach” zaprowadził
mnie do Moszenek do Ciupy gdzie
kwaterował „Ryś” ze swoim oddziałem

w maju czterdziestego szóstego poszliśmy
rozbrajać posterunek milicji w Niedrzwicy
chyba w ośmiu był akurat jarmark
pełno ludzi drzwi zamknięte
krzyczymy „otwierać” cisza ludzie mówią
„są tam” to znów krzyczymy „wychodzić” cisza
„bo zaraz budynek wyleci w powietrze”
a tam cisza wtedy „Gołdus” rzucił gamon
wyleciały drzwi z futryną wpadamy do środka
a oni leżą na podłodze ze strachu „czego nie
otwieraliście” było ich trzech okazało się że
godzinę wcześniej był tutaj „Renek” od „Zapory”
zabrał dwóch i rozwalił bali się
zwymyślaliśmy pachotków bolszewickich
dostali po parę kopniaków zabraliśmy im
trzy ręczne karabiny mundury i zostawiliśmy ich

w palmową niedzielę siedzimy na dwóch kwaterach
na Sługocinie z dziesięciu nas było
„Ryś” z „Borem” poszli na Sieprawki
gramy w karty popijamy piwo z beczutki
nagle strzały od rzeki dwieście metrów od nas
jedzie furmanka na niej trzech milicjantów
za nią biegnie „Ryś” i „Bór”
milicjanci wjeżdżają na naszą kwaterę
kryją się do drewnitni podbiegają nasi
zaczynają nas opieprzać „wart nie wystawiliście”
wyciągamy milicjantów bladzi cali drżą
okazało się że na kwaterę wybraliśmy
dom jednego z milicjantów zabraliśmy im tylko
amunicję bo nie robili szkody w okolicy

w czerwcu siedzimy na Sporniaku
dwie gospodynie szykują kluski na obiad
było nas trzynastu na dwóch kwaterach
gospodarz poczęstował nas śledziami
chciało się pić wysłaliśmy go po beczkę piwa
do sklepu nie wraca godzinę dwie
nagle seria strzałów zza płota
„banda poddać się” krzyczy wojsko
siedzimy na podwórku jeden z nas moczył nogi
ja ledwie zdążyłem wyczyścić i złożyć erkaem
pociągnąłem serią po płocie to było dwadzieścia
trzydzieści metrów chyba ponad ich głowami
cały magazynek dziesięć sztuk i wiejemy
na drugą stronę wsi podeszli pieszo samochody
zostawili około półtora kilometra gdyby wtedy
chcieli nas wyrębać toby wyrębiali byli z KBW
tylko „Družba” został ranny
straciliśmy tabor dwa konie z wozem i na wozie
skrzynie z żywnością no i nagotowane kluski
za tydzień odwiedziliśmy gospodarza
zwołaliśmy ludzi ze Sporniaka „Ryś” miał
pogadankę potem „kładź się na ławie” i kije
zabraliśmy mu ogiera pięciolatka namęczyliśmy się
nie był jeszcze zaprzęgany rwał jak wariat

poszliśmy za Wieprz wymienić się z „Uskokiem”
na mostach stały posterunki kłamotoy na ramie
i przez rzekę w gajówce Radzic na skraju lasu
miałem pierwszą wartę
lipiec o trzeciej nad ranem świtało patrzę przez mgłę
nad łąką do lasu idzie gęsiego może z pięćdziesiąt osób
mówię gajowemu „wojsko” a on „nie
to ludzie idą na jagody” nie podobało mi się to
budzę chłopaków a tu już krzyk z drugiej strony



Rzeka Wieprz. Widok z lotu ptaka.

„banda poddać się” strzelają z trzech stron uciekamy skrajem lasu dźwigam swój erkaem odpryski kuli posiekały mi czapkę macam się po policzku to nie pot to krew „Bór” krzyczy „ostrzeluj się” trafili mi w komorę zamka wgnieciona nie strzela wyrzucam erkaem „zabierz zamek” krzyczy „Bór” żeby pokazać że uszkodzony biegniemy skrajem lasu pod łączną to był chyba Karolin z powrotem przez Wieprz i w las łuszczowski postój obsychamy godzina siódma ósma rano siedzimy do wieczora jeździli szosą w las nie weszli zginęło dwóch od „Uskoka” i dwóch od nas „Zbyszek” Sochacki adiutant „Zapory” obwieszony medalami widocznie przez lornetkę myśleli że to dowódca a „Zapora” ubrany jak zwykły żołnierz wracaliśmy na swój teren

wracaliśmy z za Wieprza dwóch zabitych stracony tabor „stary” wściekał się „nie daruję bolszewikom” w Majdanie Krężnickim zatrzymujemy pociąg niedziela po południu cztery stanowiska erkaemów ja ze swoim w obstawie któryś stanął na torach z automatem maszynista zatrzymał pociąg szedł od Kraśnika na Lublin „wychodzić” a tu z jednego wagonu z pepeszki pyk pyk lecą kule bronią się sowieccy żołnierze nie chcą się poddać „jeszcze będą się chamy odgryzać” krzyczy „Rys” ubek wyszedł poddał się leci czas a oni pykają z pepesz dwóch naszych zdjęto mundury w koszulach wpadają do nich pistolety w rękach „poddać się” „do rowu” leżą było ich sześciu ludzie biją brawo a tu już szosą chodzą samochody „stary” wściekał się wygarnął serię zostawiliśmy ich w rowie ubeka zabieramy dojeżdżamy do lasu erkaemy na skraju strzelali z samochodów z diegtirowa na ślepo po lesie nie odpowiadaliśmy las Czółna siedzieliśmy do wieczora

kwaterowaliśmy u Dobrzyńskich na końcu Płouszowic ktoś doniósł nam że po motyckim odpuście kręci się uzbrojony ubek wtedy „Siwy” „Družba” i „Edek” brat „Mariana” ze Świdnika wzięli erkaem automat i pistolety i pojechali wozem erkaem „Edek” ustawił przed kościołem ludzie wychodzą patrzą trochę głupio wyszło „Siwy” i „Družba” podchodzą z tyłu „ręce do góry” na motocykl go „Siwy” siadł z tyłu ubek prowadził za nimi furmanką reszta patrzy wiozą go przesłuchują potem sztab naradza się ja go pilnuję on „daj panie zapalić” „nie palę” „to przynieś pan” chciał mi nawiać ja mu papierosa a on mnie w łeb by wałnął



Las domem

jedziemy przez Kopaninę na dwa wozy
w głębocznicy koło Henia „Ziaby” dostał dwie kule
z pistoletu z boku i pchnięty z wozu w wyrwy
rano dzieci idą do szkoły znalazły czapkę
musiała spaść z wozu trzydzieści metrów dalej
zobaczyły go powiedziały nauczycielom ci
zawiadomili milicję pojechaliśmy aż za Snopków
siedzimy w krzakach cisza
to był podporucznik UB Augustowski pochodził
z Radawca wyjechał w szczecińskie do UB
przyjechał do Motycza na odpust wyłapywał naszych
niedawno w szpitalu w Lublinie spotkałem jego brata
„pan z Radawca?” zapytałem „tak” odpowiedział
i nic więcej on chory ja z odznaką WiN w klapie

w Boże Ciało wpadło czterech ubeków na podwórko
i do matki „gdzie twój synek? poszedł do bandy?
jak go spotkamy to na tej stodole ukrzyżujemy go
jak Chrystusa i będziemy strzelać” tak do matki i ojca

jechali we czterech rowerami zmierzch się robił
siedziałem na kieracie coś tam jadłem
bo odwiedzałem co parę tygodni rodzinę
widziałem jak zajechali do Gołębiowskiego
„jest Stacho Wójcik?” „jest u sąsiada”
„jesteśmy od „Jadzinka” idź go pan zawołaj”
a drugi „i my pójdziemy” zostali za oknem
„Stachu przyszli do ciebie kumple”
poznał „Piotrusia” „pokażesz najkrótszą drogę
na Dąbrowicę masz broń to zabierz” „nie mam”
wziął tylko rower pojechali minęło kilka dni
nie ma go pytają po swoich nigdzie nie ma
biorą adwokata siedzi w Lublinie na UB
zaraz koło lasu jak sad Gorzczyca zsiadli
z rowerów zakasali rękawy „wiesz kim
jesteśmy?” stłukli go mocno potem do UB
na Krótką tam było piekło dostał KaeS
w drugiej instancji piętnaście lat była jesień
czterdziesty szósty wrócił po śmierci Stalina
„Piotruś” zginął od swoich
„już po was idę” z pepeszą pierwszy
za nim ubecy weszli do restauracji
„Marian” Bednarczyk i Edek Królik
strzelili do niego ze trzy miesiące chodził
z ubekami i wydawał swoich
wtedy mogli i mnie zwinąć ale szli po „Stacha”
siedziałem na kieracie nie uciekałem
bo ubecy nie jeździli na rowerach



kwaterowaliśmy w Wierchowiskach
 młody chłopak z Lublina nosił gamon
 to jak litrowa butelka trochę ścięta
 nakrętka była obluzowana
 poszedł do koni nachylił się
 chciał im nabrać zboża
 nakrętka wyskoczyła wybuch
 byłem na sąsiedniej kwaterze
 bieżnę rozerwało go na szczątki
 nie było co zbierać
 krwawe strzępy
 długo nie mogłem jeść mięsa

kwaterowaliśmy u „Spancera”
 na Kolonii Płouszowice jesień
 czterdziestego szóstego przyszedł
 Stacho Nóżka i Molesztak z Uniszowic
 poczęstowaliśmy ich wódką poszli
 niedługo wojsko idzie
 uciekamy za Wronę

przez wąwóz przez łąkę
 było nas ośmiu dziewięciu
 Stacho utopił się potem
 w studni na Woli na weselu
 chociaż różnie mówią

wpadałem do domu nawet nocować
 chłopaki ze wsi pogonili z zabawy
 mojego brata wstawiłem się za nim
 z Cześkiem to go pobili musiałem wiać
 wziąłem sobie dwóch kumpli
 pistolety w rękach byliśmy po kielichu
 nawet dobrym otłukliśmy ich Tosiek
 uciekł Roman dostał kolbą w zęby
 przyznaję koledzy przywłaszczyli sobie
 trochę ich rzeczy za dwa dni są po mnie
 ubecy przywiózł ich bryczką Antoni
 Wrona czterech spałem w stodole
 złapałem kłopotę drzwi od stodoły
 skrzypnęły w sad i w pole uciekam
 gonią mnie „stój bo strzelam” byłem

ze sto metrów gdyby mieli erkaem
to co innego a tak niech sobie
pukają gonili mnie aż na Barak
wpadam do Prokopa „dajcie mi
spodnie” dali byłem w samych
kalesonach przeskoczyłem szosę
warszawską aż na Natalin u Prokopa
szukali mnie ale bali się wejść
do piwnicy kazali Prokopowej

byłem spalony całkowicie wyjechałem
na ziemie zachodnie do brata mojej żony
za tydzień czasu w niedzielę dwudziestego
trzeciego maja czterdziestego ósmego
brat żony chociaż krzywo na mnie
patrzył postawił na stół całą litrę do picia
i czeka a tu wchodzi cywil z pistoletem
„który to Ostański?” buty oficerki
poznałem za nim dwóch mundurowych
z bronią „pod ścianę” mają mnie
obrewidowali i do sołtysa po podwodę
cała litra została nie mieli nawet kajdanek
sznurkami i powrozami związali mi
ręce do tyłu spętali nogi wrzucili
na bryczkę pod pierwsze siedzenie
i tak bym im nie uciekł jechaliśmy
dwadzieścia cztery kilometry do miasta
powiatowego Jawor nogi i ręce miałem
drętwe poobcierane do kości tutaj od razu
bicie gumy kije kabel „gdzie schowałeś
broń?” „mamy i tego drugiego”
złapali Miąca przetrzymali mnie dobę
i w wagon do Lublina na ulicę Szopena 7
na UB powiatowe Sadurskiego złapali
za dwa lata w Szczecinie w domu nic
nie wiedzieli na przesłuchaniu mówią „zaraz
będziesz telefonował do matki
i żony” uwierzyłem nie znałem się
na technice obwiązali mi nadgarstki
drucikiem od kabla zakręcili korbą
a przeze mnie leci prąd trzęsę się
telepię tracę przytomność leją wodą
i znów kręcą korbą zacząłem mówić
siedzieliśmy w piwnicy na węgiel
zakratowane okienka wychodziły na ulicę
Szopena cały czas paliła się żarówka
ktoś z ulicy zauważył „o mój Boże
tam siedzą ludzie” „nie rozmawiać” wpada
strażnik bije przesłuchiowano nas na
pierwszym albo drugim piętrze

w celi siedziało po czterech pięciu
albo sześciu nary parę desek albo
na cemencie jak bolało po biciu
codziennie brali wieczorem albo
nocą „tyś nosił erkaem zabiłeś naszego
Niewinnego” to był szef powiatówki
wiedziałem że sprzątnął go serią
od erkaemu „Renek” „nie byłem tam”
„podpisuj” nie rozmawialiśmy w piwnicy
pomagaliśmy opatrzyć się zmyć krew
klucznik z Leopoldówki spod Chodla
z butów obdarł mi podeszwy bił w pięty
grubą listwą drewnianą Gąsak Józef
po kilku latach spotkałem go w celi
„to ty Jasiu jeszcze żyjesz?” był w UB
zabił jakiegoś chłopca obrabował
i na trochę go wsadzili wystraszyłem się
a chłopaki z partyzantki do mnie „zawał mu
w łeb” krzyczą na całą salę podchodzę
oni po bokach dostał raz drugi w mordę
a tu drzwi otwierają się „wychodzić
po michę” a on kic na korytarz i w krzyk
kapralik po mnie Żyd Reszko spod
Kraśnika mówię „pożyczkę mu oddałem”
do karca a ubeka wzięli na inną salę
na Szopena 7 byłem od 26 maja do
15 lipca potem na Zamek na basztę
mówią „wejdiesz za progiem będzie
leżał biały ręcznik wytrzymaj o niego buty
zamelduj się komendantowi sali” wchodzi
na baszcie ciemno siedzi ze stu chłopca
leży ręcznik wycieram buty a za stołem
siedzi „Bór” był zastępcą salowego
zameldowałem się dowódcy mówił mi
że nie dostanę KaeS że przeżyję
co do siebie był pewny
advokat przyszedł w bramę „będzie sprawa
wyjazdowa w Jastkowie pokazówka tryb
doraźny będzie kara śmierci ale będziemy
starać się o ułaskawienie nie załamywać się”
dwudziestego czwartego sierpnia ładują nas
pięciu na amerykański studebacker
„Władek kochany” pożegnałem się z „Borem”
chłop tęgi z krótkim wąsikiem dwóch meliniarzy
z Tomaszowic Wójcik i Skątecki „wiedzieli
i nie powiedzieli” dostali po trzy lata Ciupa
z Moszenek u którego mieliśmy magazyn
broni wydał go „Ryś” albo „Bór” wywieźli
od niego furę erkaemów miał pretensję
że przez nas siedzi dostał dziesięć lat
przesiedział ze cztery do amnestii

w pięćdziesiątym drugim zmiana kodeksu „niewinny zmuszony” czwarty był Miąg piąty ja nas na podłogę dwudziestu ubeków na ławkach byliśmy bez kajdanek liczyłem że koledzy mnie odbiją godzina dziesiąta boisko szkolne w Jastkowie stół sędziowski nakryty czerwonym suknem spędzili ze sto osób była moja matka moja żona dzień był pogodny „siadać na ławce” samochodami osobowymi przyjechał sąd i prokurator w wojskowych mundurach sędzia major Ryszard Wiercioch tęgi wysoki byczysko prokurator kapitan Bolesław Kordasz adwokat Nosowski gruby mieszkał na Szopena miał przez Żyda dojsie do Bieruta poszło dużo pieniędzy dał też proboszcz Jastkowa dobrą gospodarke bym kupił adwokata do nas „przyznajcie się po co sobie szkodzić” sąd „czy przyznacie się do winy?” my „tak” potem wyrok rejonowy sąd wojskowy tryb doraźny paragrafy „za napad z bronią w rękę – kara śmierci za nielegalne posiadanie broni – kara śmierci za przynależność do tajnej organizacji i fałszywe ujawnienie – kara śmierci łącznie – kara śmierci” ludzie aż westchnęli potem widzenie z matką żoną bratem płacz adwokat „już jutro piszę podanie do Warszawy o ułaskawienie” ja też napisałem ołówkiem na zamek do separatki cęła śmierci stukaliśmy do siebie z „Borem” po dziesięciu dniach w dzień wchodzi klawisz na rozwałkę brali wieczorem „Ostański wychodzić” „co do domu?” „zostaliście ułaskawieni przez prezydenta na dożywocie” przenoszą mnie do celi ogólnej za tydzień może dwa zobaczyłem leżące na korytarzu buty i spodnie „Bora” z angielskiej wełny zabrali go na rozwałkę gdybym siedział dłużej w separatce chyba nie wytrzymałbym i popełnił samobójstwo na Zamku siedziałem do listopada strażnik Kulesza bił podobno też strzelał w piwnicy z Florem potem wywózka do Rawicza w więzieniu pracowałem w pięćdziesiątym „Ostański zbierać rzeczy

będziecie widzieć się z kolegą jedziecie do Lublina” w Szczecinie złapali Sadurskiego katowali go „gdzie schowałeś broń” nie powiedział bo nie wiedział zwałem wtedy na niego bo go nie złapali jechało nas dwóch więźniów jeden w cywilu i siedmiu żołnierzy KBW mieli nawet diegtirowa my w drewniakach ludzie patrzą bolą nogi zwałniam odpoczywam popędzają „idź bo strzelam” „to strzelaj” co mi mogli zrobić nie uciekam miałem dożycie konfrontacja Sadurski spuchnięty siny od bicia „Janek bierz na siebie bo ja ledwo żyję” wziętem „gdzie schowałeś broń?” „wyrzuciłem w pole” „nie znaleźliśmy” „to inni znaleźli” dostał tylko piętnaście lat znów biorą mnie na Zamek tutaj siedziałem jeszcze dwa lata w pięćdziesiątym drugim była amnestia dożycie zamieniono mi na dwanaście lat w pięćdziesiątym trzecim znów do Rawicza we wrześniu pięćdziesiątego czwartego dostałem warunkowe zwolnienie gruźlica płułem krwią dobre sprawowanie siedziałem sześć lat i cztery miesiące potem jeden klawisz poznał mnie na ulicy zlikwidowali więzienie był na emeryturze

STANISŁAW ŻUREK



JERZY
MICHAŁ
SOŁDEK

„Z pod komendy generała Bema...” O Franciszku Bagieńskim opowieść

„W DNIU 9-YM B.M. ZMARŁ W NAŁĘCZOWIE ŚP. FRANCISZEK BAGIEŃSKI – doniosła czytelnikom, 29 marca 1909 roku, „Ziemia Lubelska” Nr 88 – jeden z ostatnich legionistów polskich, tych, którzy przed 60-ciu laty walczyli o niepodległość Węgier...”

Na starym nałęczowskim cmentarzu parafialnym, przy drugiej alejce od głównej bramy – biegnącej w dół z zachodu na wschód – stoi na lewym jej skraju, jako drugi, wyniosły grobowiec. Napis na nim, wykuty w szarym marmurze, głosi, iż spoczął tu po śmierci: „Ś. P. Franciszek Bagieński. b. Oficer b. Wojsk Polskich. Ur. na Wołyniu 1830 r. Zm. w Nałęczowie d. 9 Marca 1909 r.”

Trzydzieści lat po śmierci legionisty Bagieńskiego pisał o tym cmentarzu i pochowanych na nim weteranach walk niepodległościowych Konrad Chmielewski [Junior] w artykule Mneme, w „Tygodniku Ilustrowanym”:

„Pozwólcie, że was zaprowadzę jeszcze na cmentarzyk i powiem wierszami z nagrobka Marii z Potockich Małachowskiej¹: «Stój – przechodniu – spocznij sobie, popatrz – kto tu leży w grobie!» Otóż leży tu moc sług wiernych roku pańskiego 1863-go², którzy przybyli tu na emeryturę, w cieniu tego ślicznego cmentarnego gaju i jego zacisza. A więc Henryk Rodkiewicz [...]; dr Wacław Lasocki [...]; dziadzio Morzycki [...]; Michał Elviro Andriolli [...]; Władysław Truszkowski [...]; Gustaw Jasiński [...]; dr Konrad Chmielewski [...]; zesłaniec dr Fortunat Nowicki; oficer piechoty węgierskiej, bił się pod Sybinem, Bagieński³ i inni. Nawet mogiłki chłopskie kryją tu szczątki powstańców”⁴

1 Marianna z Potockich Małachowska (1724–1772), pochowana w krypcie nałęczowskiego kościoła.

2 O powstańcach 1863 r. pochowanych na nałęczowskim cmentarzu zob.: Jerzy Michał Sołdek, Osobliwości, zagadki i tajemnice Nałęczowa. Nałęczowscy powstańcy sybiracy 1863, Nałęczów 2013, s. 161–206; także: Ten sam, Znaczenie powstania i powstańców styczniowych w dziejach Nałęczowa, „Głos Nałęczowa” 2013, s. 3–7.

3 Moje podkreślenie – JMS

4 Cyt. Konrad Chmielewski, Mneme, „Tygodnik Ilustrowany” 1939, Nr 7, s. 122.

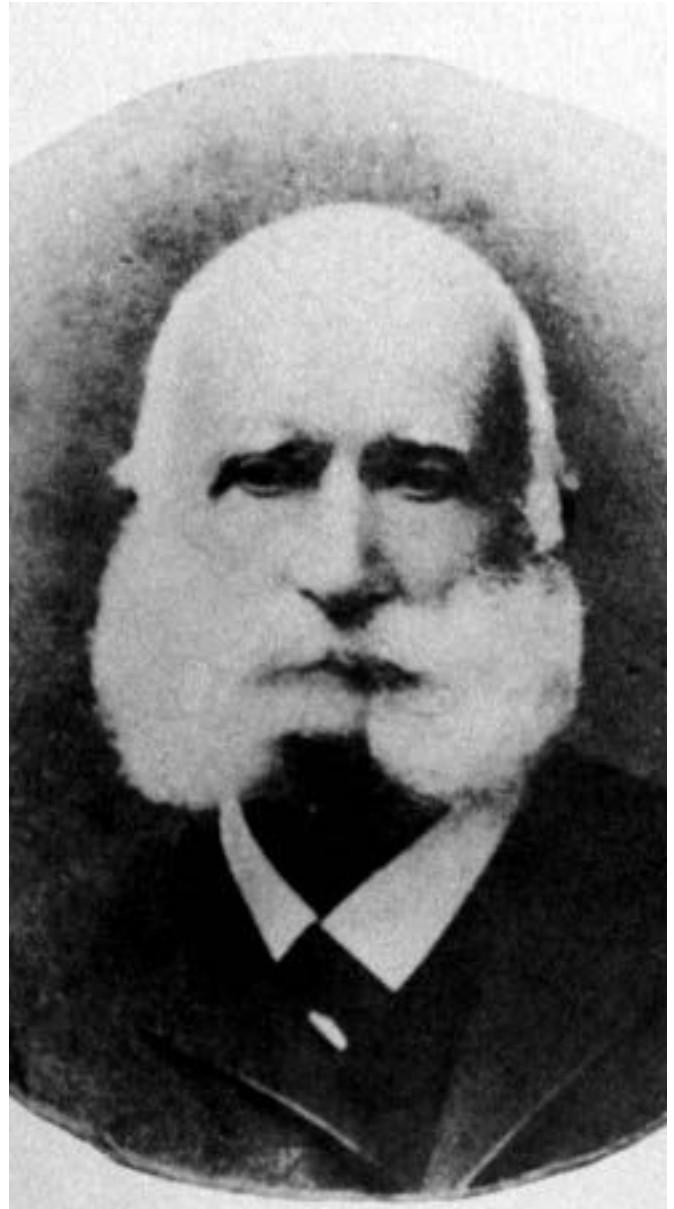


Pomnik nagrobny Franciszka Bagieńskiego w Nałęczowie, Fot. J. M. Sołdek

Józef Franciszek Bagiński – używający, jako pierwsze, drugiego imienia – urodził się w 1830 roku we wsi Pilipy⁵, w powiecie starokonstantynowskim, guberni wołyńskiej (dzisiaj Ukraina), z ojca Ignacego i matki Franciszki z Jaroszyńskich. Rodzina Bagińskich, herbu Ślepowron, pochodziła ze szlachty polskiej osiadłej od dawna na Wołyniu, przybyłej tu z Mazowsza. Dzieciństwo i młodość spędził we wsi Hrycyki (dziś Grytsiw), rodzinnej majątności Bagińskich, nad rzeką Ponorą (dziś Khomora). Wychowany przez rodziców w duchu patriotycznym, czekał sposobności do walki z rosyjskim zaborcą. Jak napisał po latach we *Wspomnieniach starego wołyniaka*: „Spróbowa[ć] wojaczki, o której całe dziecinne me lata marzyłem.”⁶ Gdy młodzieniec dorastał pełnoletności, w lutym 1848 roku wybuchła w Paryżu rewolucja. Wkrótce rewolucja, zwana Wiosną Ludów, wybuchła w Wiedniu, Budzie i Peszcie, Berlinie i rozlała się po Europie. W zaborze pruskim – w Wielkim Księstwie Poznańskim Polacy utworzyli Komitet Narodowy Centralny; powstają ochotnicze formacje wojskowe. W zaborze austriackim – w sąsiadującej z Wołyniem, za Zbruczem, Galicji polscy patrioci powołali w Krakowie Komitet Narodowy oraz Gwardię Narodową; podobnie w stolicy Galicji – Lwowie, gdzie austriacki gubernator hr. Franz von Stadion, pod presją polskich demonstrantów zgodził się wydać Gwardii kilkaset starych karabinów; 13 kwietnia utworzono Radę Narodową. W Krakowie doszło do walk ulicznych gwardzistów z wojskiem austriackim...

Odgłosy tych wydarzeń dotarły do dworu w Hrycykach. Osiemnastoletni Bagiński podjął wówczas decyzję, by przedostać się do Galicji i tam wstąpić do polskiej Gwardii Narodowej.

W maju 1848 roku, podczas nieobecności w domu rodziców (którzy prawdopodobnie opuścili chwilowo majątek, by dać synowi wolną rękę) Franciszek wraz z oficjalistą dworskim – „wiernym sługą Stefanem”, wyjechał, niby na jarmark, ku granicy austriackiej. Po drodze dołączyło do nich sześciu ochotników oraz umówiony przewodnik, by przeprowadzić, uzbrojonych w dubeltówki i pistolety, oddziałek przez granicę. Przy nocnym przekraczaniu granicy, celowo źle poprowadzeni przez przewodnika, zostali zauważeni i ostrzelani na moczarach (zapewne u źródeł Zbrucza), przez rosyjską straż graniczną. Na szczęście udało się, pod osłoną nocy, przebrnąć z końmi owe moczary. „Nie spotkawszy jakimś dziwnym



Franciszek Bagiński. Ilustracja ze *Wspomnień starego wołyniaka*

trafem straży pogranicznej austriackiej – pisał we *Wspomnieniach* Franciszek Bagiński – pędząc polami z pół godziny kłusem, ujrzeliśmy jakiś niewielki futerek,⁷ a dalej za nim wieś była widną...” I tak zaczęła się powstańcza epepeja Franciszka Bagińskiego.

Po kilkunastodniowym areszcie w tarnopolskim klasztorze pojezuickim, ośmiu zbiegłych z Wołynia poddanych cara Mikołaja I – dzięki interwencji wpływowych Polaków w wiedeńskim rządzie cesarza Ferdynanda I – zostało uwolnionych, otrzymali również paszporty austriackie. Bagiński, z kolegami, wstąpił w Tarnopolu niezwłocznie do miejscowego oddziału „konnej gwardii”, gdzie odbywał szkolenie – jak mniemał – do przyszłej

5 Zbigniew Sudolski, *Wstęp* [w:] Franciszek Bagiński, *Wspomnienia starego wołyniaka*, Warszawa 1987, s. 7; W akcie zgonu Franciszka Bagińskiego: Archiwum Państwowe w Lublinie, Akta USC Bochothnica [Nałęczów], Zgony, Nr 12: Józef Franciszek Bagiński, zm. 24.02./ 9.03. 1909. – pisany w obowiązującym wówczas języku rosyjskim – odnotowano, iż Józef Franciszek Bagiński urodził się we wsi Paszuteńcy (Paszutenci) ?

6 Cyt. Franciszek Bagiński, *Wspomnienia starego wołyniaka*, Warszawa 1987, s. 30.

7 Futur – samotne gospodarstwo na południowo-wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej (Ukrainie). →

walki z rosyjskim zaborcą. W tym czasie (i później) przedzierali się do Galicji przez rosyjską granicę, jak on, młodzi Polacy z Wołynia, Podola i pozostałych Ziem Zabranych, a także liczniejsze grupy z Królestwa Polskiego. Zaś w Tarnopolu: „Po kilku tygodniach naszej służby, przy mujstrze [musztrze] dowódca objawia – notował pamiętnikarz (str. 68) – iż za parę dni ma przybyć [...] znany ze swej waleczności z trzydziestego pierwszego roku, dawny polski generał [Józef] Dwernicki”. Bagieński, wraz z pięćdziesięciu kilku konnymi gwardzistami, uczestniczył w powitalnym honorowym poczcie generała Dwernickiego, a następnego dnia wziął udział w manewrach konnej i pieszej Gwardii na błoniach pod Tarnopolem. Po ich zakończeniu generał dokonał przeglądu obu oddziałów tarnopolskiej gwardii.

Z końcem października 1848 roku austriackie wojska generała Alfreda Windischgrätza zdobyły Wiedeń, tłumiąc tzw. trzecie powstanie wiedeńskich robotników i radykalnej inteligencji, którego obroną przez dwa tygodnie kierował polski generał Józef Bem – zastępca dowódcy obrony miasta. Fala reakcji narastała w całej Austrii. Po zduszeniu rewolucji wiedeńskiej przyszła kolej na zrewoltowany Lwów, gdzie solą w oku władz austriackich była polska Gwardia Narodowa i Legia Akademicka. 1 listopada wojska austriackie zaatakowały, strzelając do mieszkańców, śródmieście Lwowa. Jako pretekst posłużył, sprowokowany przez Austriaków, zatarg z gwardzistami lwowskimi. Na ulicach stanęły barykady, wówczas artyleria zbombardowała miasto. Gwardia Narodowa złożyła broń i została rozwiązana. Niebawem zamknięto polskie gazety i stowarzyszenia, wprowadzono cenzurę. Podobnie działo się w pozostałych miastach Galicji. Były już gwardzista Bagieński, nie czekając niechybnej „wizyty” żandarmów austriackich, posłuchał rady swojego gospodarza: „Obowiązkiem jest moim cię uprzedzić, choć z prawdziwą przykrością, iż twój wyjazd z Galicji jest niezbędnym, – (cyt. str. 72) – i to prędko. [...] Nie ma teraz innej rady dla ciebie, jak tylko uchodzić do Węgry, do formujących się tam legionów polskich”. Sprzedał konia, zabrał ze sobą broń, i podwożony *faetonami*⁸ od dworu do dworu, trzeciego lub czwartego dnia dojechał do wioski położonej u stóp Karpat.

„Tymczasem w Węgrzech poczęła się burza i grzmoty. – pisał w *Pamiętniku*, związany poniekąd z Nałęczowem, Seweryn Łusakowski – Co żyło uciekało z miasta [Lwowa, a także z innych galicyjskich miejscowości] [...]. Wszystka młodzież wyszła w Sanockie, przez Karpaty do

Węgier bić Niemców i wywalczyć Ojczyznę”.⁹ Należy wyjaśnić czytelnikom, iż Węgry – do wybuchu rewolucji zależne Królestwo Węgierskie w ramach Cesarstwa Austriackiego, pod berłem Habsburgów – żądały oddzielnego państwa z własną konstytucją, własnym wojskiem (honwedzi), a jedynie związanym z Austrią unią personalną. W pierwszym etapie rewolucji Ferdynand I przystał na te żądania, natomiast w miarę tłumienia rewolucji w monarchii habsburskiej, sytuacja się odmieniła; jesienią 1848 roku doszło do otwartej wojny Austrii z Węgrami. Do walki u boku Węgrów stanęli Polacy, których setki napływały z emigracji, uciekinierzy, jak Bagieński, z Galicji, także ochotnicy z Wielkopolski oraz zaboru rosyjskiego. Generał Józef Bem – który w przebraniu woźnicy wyjechał z krwawo pacyfikowanego Wiednia – przybył na Węgry, gdzie wkrótce przewodniczący Krajowego Komitetu Obrony Ojczyzny Lajos Kossuth, mianował go 29 listopada naczelnym wodzem armii siedmiogrodzkiej (faktycznie był to około dziesięcioletni korpus). W ramach armii – w której obok Węgrów walczyli tu tejsi mieszkańcy: Rumuni, stanowiący większość ludności w Księstwie Siedmiogrodzkim (zdecydowanie większa ich część walczyła po stronie austriackiej), Seklerzy (węgierscy górale), osadnicy niemieccy, tj. Sasi (również walczyli po obu stronach), Słowacy, Rusini, Ormianie i Żydzi – Bem utworzył siedmiogrodzki Legion Polski (zwany także Legionem Siedmiogrodzkim). Bagieński skorzystał z usług opłacanych przewodników i szczęśliwie przedarł się przez dobrze strzeżoną przez Austriaków granicę w Karpatach, dotarł na Węgry, potem zaś do Siedmiogrodu (dziś w Rumunii).

Miasto Bystrzyca (Beszterce, niemieckie Bistritz, dzisiaj Bistrita w Rumunii), gdzie Franciszek dojechał (w styczniu 1849 r.) z trzema, jak on polskimi ochotnikami, było miejscem – po przeniesieniu z Kolozsvár (dziś Cluj-Napoca) – wyznaczonym przez generała Bema na organizację Legionu. Na organizatora oddziału powołał pułkownika węgierskich honwedów (uczestnika powstania 1830–31 r.) Antoniego Rufina Piotrowskiego (Legion osiągnął, latem 1849 r., stan 900 żołnierzy). Do niego zgłosili się czterej ochotnicy z Galicji. Jak wspominał pamiętnikarz:

Nazajutrz [...] zostaliśmy wciągnięci do piechoty legionu. [...] Od tego dnia chodziliśmy dzień w dzień na mujstrę. [...] Dowiedziałem się [...], iż naszej piechoty jest około czterystu ludzi, to jest dwie kompanie. [...] Uzbrojenie naszej piechoty było dość niezłe, prawie połowa miała swą broń, podobną naszej, z podorabianymi lekkimi

8 Faeton, lekki, wysoki resorowy pojazd konny, otwarty, bez drzwiczek, z podnoszoną budą.

9 Cyt. Seweryn Łusakowski, *Pamiętnik zdeklasowanego szlachcica*, Warszawa 1952, s. 197



Józef Szymon Kurowski (1809–1851) rysunek, de Villain litografia, – J. Bem

bagnetami. Innym zaś, nie mającym swej broni, dano karabiny pistonowe. Pomimo niejednakowego uzbrojenia, w rozmaitych, cywilnych jeszcze ubraniach, tylko w pąsowych rogatywkach, batalion nasz dość dobrze się prezentował – (cyt. str. 87).

Po kilku tygodniach obozowania i musztry w Bystrzycy legioniści w sile batalionu wymaszerowali z miejsca postoju, by połączyć się z węgierskim wojskiem – dywizją bystrzycką, liczącą przeszło cztery tysiące ludzi: 4 bataliony regularnej piechoty, 6 dział, 2 szwadrony jazdy – huzarów i przeszło tysiąc osób pospolitego ruszenia, uzbrojonych w kosy, drągi z hakami, topory, stalowe widły; „ledwo dziesiąty z nich karabinem był uzbrojonym.” (str. 89). Węgrzy, na widok zbliżających się do obozu Polaków, sprezentowali broń i krzyknęli: *Éljen a Lengyel!* (Niech żyją Polacy!). Niemal na drugi dzień po przybyciu do obozu pod Bystrzycą, Bagieński wziął udział w swojej pierwszej bitwie (bitwy pod Bystrzycą 13–18

lutego) z austriackimi wojskami pułkownika Karla Urbana i wspomagającymi ich Wołochami (Rumunami). A oto fragmenty jej opisu:

„Po całej linii nieprzyjacielskiej i naszej ogień się rozchodzi coraz to większy. Z kilkunastu dział i kilku tysięcy karabinów huk ogromny rozlega się. Chmury dymu zakrywają obłoki. [...] rozchodzi się nasza komenda: «Bacność! Cel! Pal!» W pierwszym szeregu daliśmy ognia, przyklękawszy nabijamy wystrzelone lufy, drugi zaś szereg, tuż za nami stojący, toż samo pali. Po kilku takich naszych salwach nieprzyjaciel wstrzymał się ze swym posuwaniem się. Druga komenda: «Na bagnety marsz!»

Bębny biją do ataku, ściskamy nasze karabiny w dłoniach, [...] z okrzykiem: «Hurah, hurah!» wpadamy z bagnetami na nieprzyjaciela. [...] Z Aleksandrem jestem ciągle razem. Widzimy kilku Austriaków idących wprost na nas z bagnetami. Przy starciu się Aleksandrowi łamie się bagnet. Porywa z ziemi leżące wołoskie widła, broni się nimi. Będąc przy nim, a mając dubeltówkę wystrzelaną, porywam za pistolet, strzelam do najbliższego, którego mu bagnet złamał, z drugiego [pistoletu] do innego toż samo czynię. Me strzały chwilowo powstrzymały ich. [...] Nieprzyjacielska piechota z Wołochami, będąc silnie naciskana, zaczyna odstępować przed naszą kompanią [...] wypieramy ich z lasku, bierzem kilkudziesięciu jeńców Austriaków i Wołochów. Strzałami pędzimy uchodzących – (cyt. str. 91-94).

Na wieść o organizowaniu w Siedmiogrodzie polskiej kawalerii w Szomosújvár (dziś Gherla), Bagieński zwrócił się do swojego dowódcy o przeniesienie do formującego się w tym mieście 1. pułku kawalerii, gdzie po przybyciu (w połowie marca 1849 r.) został przydzielony do 1. szwadronu, zwanego „pąsowymi ułanami”. Dowódcą i organizatorem polskiej kawalerii – przewidywanej w przyszłości na dywizję, która razem z Legionem Polskim gen. Józefa Wysockiego, walczącym na Węgrzech, miała wkroczyć do Galicji – Bem mianował majora księcia Mieczysława Woronieckiego. Podczas jednej z musztr 1. i 2. szwadronów polskiej kawalerii, ułanów wizytował generał Józef Bem – Opromieniony na Węgrzech i Europie sławą kolejnych zwycięstw, a ostatnio znakomitym zwycięstwem (11 marca) nad austriackimi oddziałami generała Antona von Puchnera oraz rosyjskimi posiłkami, w sile korpusu, pułkownika Grigorija Skariatina (razem ponad 7 tysięcy żołnierzy) i zdobyciem miasta-twierdzy Sybin (Nagyszeben, dziś Sibiu). – Popisowa musztra obu szwadronów →

przed głównodowodzącym wojsk siedmiogrodzkich wypadła znakomicie; zadowolony był generał, a tym bardziej ułani, usłyszawszy pochwałę swojego wodza. Warto, w tym miejscu, przytoczyć charakterystykę generała, opisaną przez Bagieńskiego:

[Miał] lat około sześćdziesięciu, szczupły, małego wzrostu [...]. Był to oficer utrzymujący swych podwładnych w wielkiej subordynacji, służbista wielki, szalonej pracy, nadzwyczaj śmiały, [...] ryzykowny w boju, wielkiej przytomności umysłu [...]. W owych czasach wielki partyzant, sławny artylerzysta. [...]

W krytycznych chwilach nieraz zsiadał ze swej klaczy, mierzył sam z dział do szarżującej nieprzyjacielskiej kawalerii lub atakującej piechoty. Kartacząc, odpędzał ich z wielką stratą. Jako wódz, strategik, [za]razem wykonawca odznaczał się znakomitymi zdolnościami. Pomimo srogości z podwładnymi cieszył się wielką ich miłością, uwielbieniem i szacunkiem całego wojska – (cyt. str. 114).⁹

Należy dodać, iż Bem, dowódca o wyjątkowym talencie i odwadze – „zdobył na Węgrzech sławę europejską. [...] – jak pisze węgierski historyk István Kovács – jest przez dużą część węgierskiej opinii publicznej uważany za Węgra. Miał przecież wielki wpływ na kształt naszej nowożytnej historii”.¹⁰

Po bitwie pod Jád (dziś Livezile), 27 czerwca, Bagieński ranny w rękę, otrzymał, wraz z trzema ułanami, awans do stopnia podoficerskiego. W niedługim czasie został awansowany przez generała Bema do stopnia podchorążego ułanów: „Mianuję cię – rzekł przed frontem 1. szwadronu ułanów generał – boś zasłużył wypełnieniem otrzymanych rozkazów, jako też swą przytomnością i młodzieńczą odwagą”. (cyt. str. 154). Nieco wcześniej, w maju 1849 roku, wkroczył na Węgry rosyjski sojusznik młodego cesarza Austrii, Franciszka Józefa I, feldmarszałek, książę warszawski Iwan Paskiewicz, prowadząc 130 tysięcy żołnierzy. Połączone siły austriacko-rosyjskie posiadały wówczas ponad 370 tysięcy regularnych wojsk. Zwycięska dotąd armia węgierska, licząca 170 tysięcy ludzi (w tym sporą część stanowili ochotnicy) przeszła do defensywy, a wraz z nią ochotniczy Legion Polski (3 tysiące żołnierzy), walczący dotąd z dużymi sukcesami na historycznych ziemiach Węgier, pod dowództwem generała Józefa Wysockiego.

W Siedmiogrodzie – po klęsce pod Segesvárem (dziś Sighisoara), 31 lipca, gdzie 2400 Węgrów uległo

czterokrotnie silniejszym wojskom rosyjskim gen. Aleksandra Lüdersa (tam zginął śmiercią bohaterską poeta major Sándor Petőfi, adiutant Bema) – doszło 5 sierpnia do ostatniej zwycięskiej bitwy Bema, pod Sybinem (Nagyseben, dziś Sibiu). O nastrojach po zakończeniu bitwy, zwanej: Trzecią bitwą pod Wielkim Sybinem, podchorąży Bagieński napisał we *Wspomnieniach*:

Wróciwszy do obozu, zastaliśmy uszczęśliwionych Węgrów, jednych z odniesionego zwycięstwa, a drugich ze zdobyczy i różnych przejść w mieście [...]. Lecz niestety ani jedni, ani też drudzy wówczas nie przeczuwali, że nad nimi [...] zawitają wkrótce klęski, nieszczęścia, i że to jest ostatnie zwycięstwo Węgrów i generała Bema w Siedmiogrodzie [...], że za parę dni spotkać ich może kompletne zniszczenie połączone ze śmiercią tysięcy ludzi [...], kalectwem, więzieniem i niewolą gorszą poprzedniej, że z całej tej kilkunastotysięcznej armii nic się prawie w żywych nie pozostanie – (cyt. str. 197).

Dwa dni później doszło do Czwartej bitwy pod Wielkim Sybinem, zakończonej druzgocącą klęską (nie przybyły oczekiwane posiłki honwedów płk. Miksa Steina); tam też, podczas odwrotu, życie Bema dwukrotnie było w niebezpieczeństwie.¹¹ Cały Siedmiogród dostał się wkrótce w ręce nieprzyjaciela. Wówczas gubernator (prezydent) Lajos Kossuth wezwał Bema na Węgry i powierzył generałowi naczelne dowództwo, polecając jednocześnie stoczyć walną bitwę z nieprzyjacielską armią. Do bitwy doszło 9 sierpnia pod Temesvárem (dziś Timisoara), w Banacie (dzisiaj w Rumunii), gdzie wobec olbrzymiej przewagi wroga, 55. tysięczna południowa armia węgierska poniosła (głównie przez skuteczność austriackiej artylerii) całkowitą klęskę. Po tej klęsce, a następnie kapitulacji generała Artúra Görgeya 13 sierpnia 1849 roku – gdzie na polach pod Világos (dziś Siria) wojska węgierskie złożyły broń wobec feldmarszałka Paskiewicza – węgierscy patrioci wraz z Kossuthem oraz polskimi generałami: Józefem Bemem, Henrykiem Dembińskim, Józefem Wysockim i resztkami obu polskich legionów, przekroczyli granicę turecką; wśród nich był także podchorąży ułanów Franciszek Bagieński.¹²

11 István Kovács (*Józef Bem. Bohater wiecznych nadziei*, Warszawa 2002.), pisze: „Najpierw kula nieprzyjacielska zabiła jego (będącego przy nim) saskiego sekretarza, majora Antona Kurza, a następnie rosyjski ułan Longwinow próbował ściągnąć Bema z siodła, aby wziąć go do niewoli. [...] Zuchwalca zgładzili polscy ułani i węgierscy huzarzy, którzy zjawili się błyskawicznie”, cyt. s. 228.

12 O generale Bemie i Polakach walczących w węgierskiej Wiośnie Ludów, zob. także: Jadwiga Chudzikowska, *Generał Bem*, Warszawa 1990; Eligiusz Kozłowski, *Legion Polski na Węgrzech 1848–1849*, Warszawa 1983; [Józef Wysocki], *Pamiętnik generała Wysockiego z czasów kampanii węgierskiej*, Warszawa 1899; Marian Zgórniak, *Za waszą i naszą wolność* [w:] *Zrywy narodowe*, red. naukowy prof. Stanisław Sierpowski, Warszawa 2002; i inne.

10 Cyt. István Kovács, *Nieznani polscy bohaterowie powstania węgierskiego 1848–1849*, Warszawa 2010, s. 10 i 16.



Bitwa pod Sybinem (Hermannstadt), 19 VII 1849, rycina, 2 poł. XIX w., zbiory POLONA

Węgierscy, polscy i włoscy uchodźcy zostali internowani przez Turków w obozie w mieście Widyniu (dziś Vidin w Bułgarii), gdzie, jak pisał Bagiński:

„[W] obozie rozchodziły się zatrważające wieści, zaniepokajając nas bardzo [dotyczące] żądania państw sprzymierzonych Rosji i Austrii od Turcji naszego wydania na powrót do kraju. [...] [Jednocześnie] [d]ziesiątkowaniem naszych cholerą i niepewnością o przyszłości kompletnie byliśmy zgnębieni, pragnąc przy tym jak najprędzej z tego zarażonego, zohydzonego do obrzydzenia miejsca oddalić się – (cyt. str. 210)”.

30 października 1849 roku Polacy z Widynia zostali deportowani do Szumli (dziś Szumen w Bułgarii). Tutaj internowano ich w koszarach miejscowej twierdzy, gdzie Franciszek otrzymał – za pośrednictwem tutejszego banku – 200 rubli z dołączonym listem (pierwszym od wyjazdu z kraju) od rodziców i rodzeństwa. Wiosną 1850 roku wyruszył z kolegami, pod konwojem „ledwo [...] kilkudziesięciu tureckich kawalerzystów z oficerem”, do

Konstantynopola (dziś Istanbul), poprzez Warnę, skąd statkiem dopłynęli do celu podróży. Rząd turecki – na podstawie ugody Rosji z Turcją, dotyczącej m.in. wydalenia polskich emigrantów pochodzących z terenów rosyjskich – sfinansował wyjazd grupy Polaków (około trzystu kilkudziesięciu ludzi – jak pisał pamiętnikarz) do Anglii. Liczba emigrantów osiągnęła wówczas w Turcji stan 1034 byłych polskich żołnierzy węgierskiej Wiosny Ludów. Do tej grupy „angielskiej” przyłączył, jeszcze w Szumli, Franciszek Bagiński. 18 czerwca Wypłynęli z Dardaneli wynajętym żaglowcem, by 6 lipca zawinąć do portu w Southampton.

Po przybyciu do Anglii, emigranci otrzymali opiekę miejscowej Polonii i wsparcie materialne angielskiego Towarzystwa Pomocy Wychodźcom Polskim. Bagiński, razem z dużą grupą Polaków zamieszkał w Liverpoolu. Tutaj podjął pracę – on, polski szlachcic – jako pomocnik introligatora (sic!). Z Liverpoolu część emigrantów wyjechała do Stanów Zjednoczonych, bądź Australii, zaś pozostali osiedlili się w różnych miastach Anglii. Bagiński, wraz z kilkoma kolegami, wyjechał do Leeds, gdzie →



Widok Wołynia na XIX-wiecznej rycinie

pracował, jako robotnik w „fabryce żelaznej wyrobów maszyn przędzalni u Ferbensa. [...] [A] włada[jąc] dość nieźle francuszczyzną”, wieczorami, zaczął uczyć się (ze słownika polsko-angielskiego) z powodzeniem języka angielskiego. Niebawem – wskutek znaczącego spadku zamówień na przędzalnię – został wraz z wielu innymi robotnikami zwolniony z pracy. Przed niemal całkowitym ubóstwem ratowali Franciszka, przyjaciel Emeryk Boberski i gospodarz domu Roberts, a przede wszystkim niespodziewana przesyłka 300 rubli, otrzymana od rodziców. Nieco wcześniej, w pobliskim miasteczku Bingley poznał urodziwą pannę, Elżbietę Sharp (ur. ok. 1832 r.), córkę miejscowego fabrykanta i właściciela ziemskiego. Zakochany, z wzajemnością, postanowił, wbrew sprzeciwu rodziny Sharpów, poślubić Elżbietę. 11 maja 1853 roku pastor anglikański udzielił obojgu młodym ślubu. Gdy trudna sytuacja materialna Franciszka i Elżbiety Bagieńskich znacznie się poprawiła, i prowadzili już swój dochodowy sklep tytoniowy w mieście Bradford, nadszedł długo oczekiwany dzień – 27 maja 1856 roku nowy car Rosji Aleksander II ogłosił amnestię dla polskich wychodźców z lat 1831 i 1848–1849. Mimo tego Franciszek Bagieński, zwracając się do ambasady rosyjskiej w Londynie o paszport, nie otrzymał zgody na powrót do kraju. Dopiero po wysłaniu pisma z prośbą o amnestię, adresowanego bezpośrednio do cesarza Aleksandra II, po kilku miesiącach otrzymał list od ojca, w którym:

„Ojciec donosił, iż na moją prośbę wysłaną na imię Cesarza otrzymałem amnestię, i że wkrótce powinienem być o niej uwiadomionym ambasadą

rosyjską z Londynu. Z radości pomieszało mi się w głowie. Biegałem po sklepie, nie wiedząc sam, co czynię – (cyt. str. 291)”.

Oboje Bagieńscy, z dwojgiem małych dzieci, pod koniec kwietnia 1857 roku udali się do Londynu, skąd czekała ich podróż na kontynent, i dalej – na ojczysty Franciszka, Wołyń. Pozostały jeszcze ostatnie formalności i pożegnanie małżonków z bratem Elżbiety. I to są końcowe zdania zapisane w memuarze autora *Wspomnień starego wołyniaka*:

„Kazano mi w dniu następnym przybyć po paszport [do ambasady rosyjskiej]. Otrzymałszy go, jako też zmieniawszy czek, zabawiliśmy jeszcze z parę dni [w Londynie]. [...] Pożegnanie Jamesa [Sharp’a] z Elżbietą było czułe. Oboje rozplakali się. James ściskając moją dłoń prosił, bym był dla jego siostry dobrym i wyrozumiałym mężem, nie mającą nikogo z rodziny, ani ze znajomych, będącą w obcym dla niej kraju – (cyt. str. 295)”.

Jak potoczyły się dalsze dzieje Franciszka Bagieńskiego i jego rodziny?

Po przyjeździe na Wołyń Bagieńscy osiadli w odziedziczonym przez Franciszka majątku Kotcierzynka, skąd przenieśli się do Mierzwiny (dziś Mierwin), w powiecie lipowieckim, w guberni kijowskiej. Dwoje najstarszych dzieci Franciszka i Elżbiety: Aleksander i Franciszka, urodziło się w Anglii (1854 i 1857 r.), zaś kolejnych pięcioro: Jan, Alfred, Konstanty, Karol i Helena w Rosji, w guberni wołyńskiej i kijowskiej (dziś Ukraina). Po śmierci

żony, około 1902 roku, Franciszek sprzedał majątek na Kijowszczyźnie i przeniósł się do Nałęczowa, uzdrowska w guberni lubelskiej, gdzie kupił willę „Pod Kraszewskim”, przy alei Lipowej.¹³

Spróbujmy, w oparciu o nieliczne, fragmentaryczne źródła, do których dotarł autor, odtworzyć ostatnie lata życia weterana polskiej i węgierskiej Wiosny Ludów, spędzone w Nałęczowie.

W świetle dokumentów z 1899 roku, dotyczących składki na budowę gminnej szkoły elementarnej we wsi Bochothnica-Kościelna (dzisiaj w granicach Nałęczowa), właścicielem posesji willi „Pod Kraszewskim” był [Franciszek] Bagieński.¹⁴ Poprzednia właścicielka Zenona Nowicka opuściła w 1896 roku Nałęczów, przenosząc się ze swoją wychowanką Faustyną Morzycką do Warszawy, gdzie wkrótce zmarła.¹⁵ Stąd sądzić należy, że Bagieński już wówczas nabył tę posesję z willą, gdzie zapewne przyjeżdżał na letni wypoczynek i kurację, jak inni właściciele willi w uzdrowisku. Po śmierci małżonki osiadł w Nałęczowie na stałe. W opinii nałęczowskiego establishmentu Bagieński był raczej odludkiem: „sam sobie usługujący – jak pisał Konrad Chmielewski – i nie szukający towarzystwa [...]. Prus go odwiedzał”.¹⁶ Odwiedziny pisarza u Bagieńskiego i wspomnienia byłego legionisty, zaowocowały w twórczości Bolesława Prusa, w *Lalce*, wątkiem opowiadań subiekta Rzeckiego o rewolucji węgierskiej. Ponieważ *Lalka* ukazywała się, w odcinkach, w „Kurierze Codziennym” w latach 1887–1889, stąd należy przyjąć, iż Bagieński już w tych latach przyjeżdżał na wypoczynek do Nałęczowa, gdzie wynajmował pokój u Zenony Nowickiej (wdowy po zmarłym w 1885 r. doktorze Fortunacie Nowickim) w willi „Pod Kraszewskim”, i tam „Prus go odwiedzał”.

W 1906 roku, z inicjatywy grona działaczy spośród kierownictwa Nałęczowskiego Towarzystwa Kredytowego, podjęto budowę Domu Ludowego w Nałęczowie. Plac pod budowę gmachu (wschodnią część posesji willi „Pod Kraszewskim”) ofiarował, za symboliczną kwotę 50 rubli, Franciszek Bagieński.¹⁷ Także Bagieński był fundatorem ogrodzenia nowej części (2 morgi), o którą powiększono miejscowy cmentarz parafialny w 1907 roku.

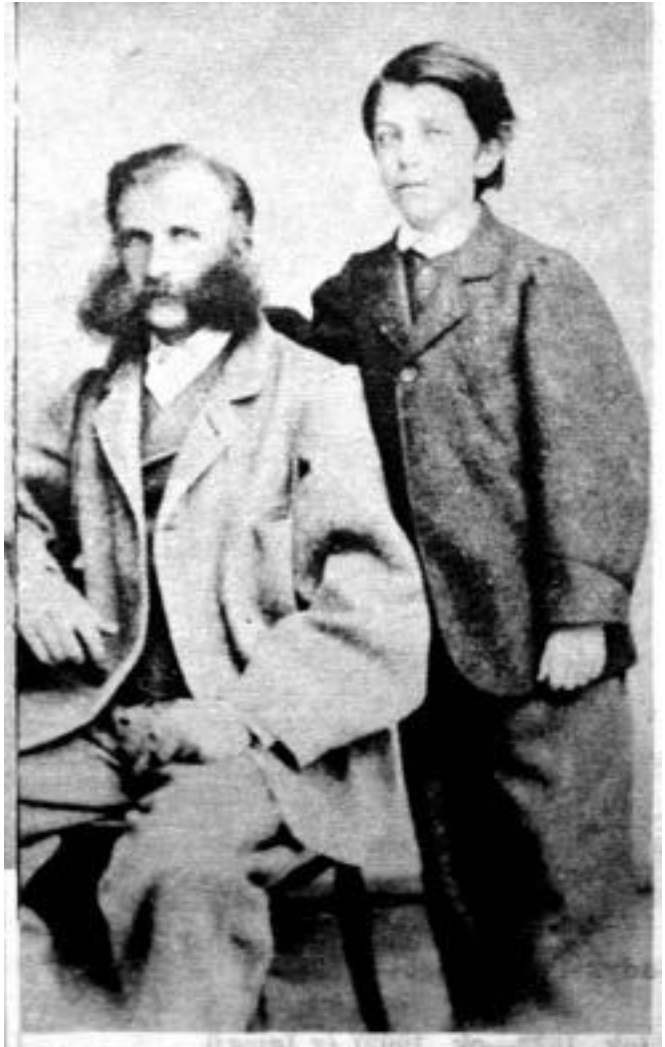
13 Zbigniew Sudolski, opracowanie, przy współpracy Grażyny Góralewskiej, oraz *Wstęp* [w:] Franciszek Bagieński, *Wspomnienia starego wołyniaka*, Warszawa 1987, s. 9 i 24 (przypisy do wstępu).

14 Archiwum Państwowe w Lublinie, Zespół akt: Dyrekcje Szkolne, Nr 3118, lata 1899–1906, str. 3.

15 Jerzy Michał Soldek, *Faustyna Morzycka – Siłaczka Żeromskiego*, Nałęczów 2010, s. 33.

16 Konrad Chmielewski, Mneme; O „milczącym odludku” Bagieńskim wspominał również „Leszczyc” [Zygmunt Nagórski] w artykule *Nałęczów dzisiejszy i jego znaczenie* (cz.1.) [w:] „Ziemia”, Nr 19, z 11 maja 1912 r.

17 Jerzy Michał Soldek, *Wpisany w dzieje uzdrowiska. 100 lat Banku Spółdzielczego w Nałęczowie (1903–2003)*, Nałęczów 2003, s. 37.



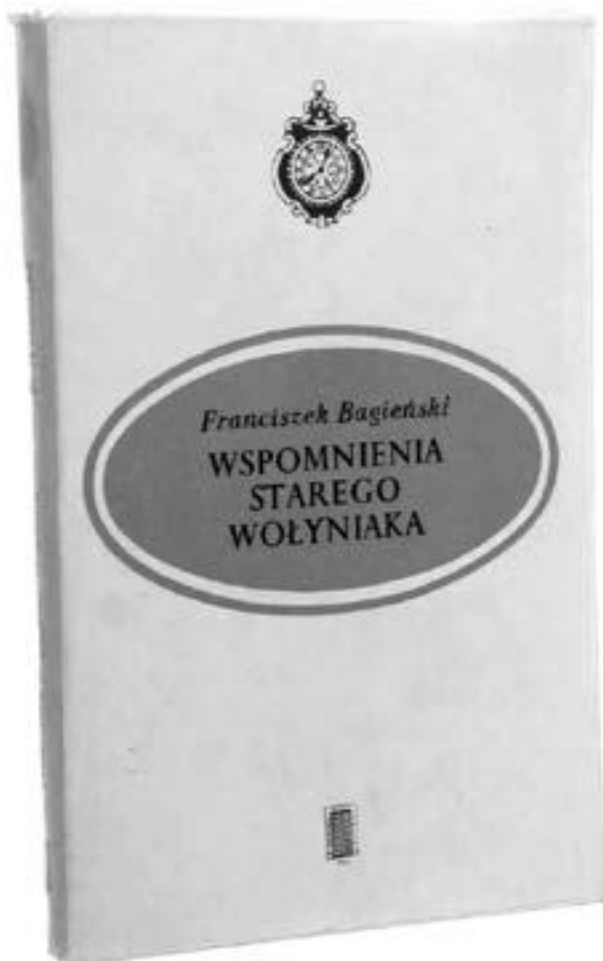
Franciszek Bagieński z synem Aleksandrem, Ilustracja z: F. Bagieński: „Wspomnienia starego wołyniaka”

Jak pisał w raporcie, z 13 maja 1909 roku, naczelnik powiatu nowoaleksandryjskiego (puławskiego) do Rządu Gubernialnego Lubelskiego: „Ogrodzono [...], drewnianym parkanem ten kawałek ziemi ze środków właściciela willi w Nałęczowie Franciszka Bagieńskiego, obecnie już nieżyjącego. Ogrodzenie postawiono solidne i może stać 15–20 lat”.¹⁸ W nekrologu zamieszczonym po śmierci Bagieńskiego w, cytowanej wyżej, „Ziemi Lubelskiej”, pisząc o jego drodze życiowej, podkreślono, iż w Nałęczowie „zjednał [...] sobie wśród sąsiadów powszechną miłość i szacunek; niejeden dobry uczynek dokonał w cichości...”. Natomiast Henryk Wiercieński, w pośmiertnym wspomnieniu o Franciszku Bagieńskim: Jeden z ostatnich, opublikowanym w „Tygodniku Ilustrowanym” (Nr 14 z 3 kwietnia 1909 r.), pisał: „Z pod komendy generała Bema dwóch ich [legionistów] do niedawna pozostało przy życiu, a ze śmiercią Franciszka Bagieńskiego, pozostał jeden tylko jeszcze [...]”.

18 Archiwum Państwowe w Lublinie, Zespół akt: Rząd Gubernialny Lubelski – A. IV, 1902:92, k. 44.



Nałęczów. Willa Pod Kraszewskim, fot. J. M. Sołdek, 2017



A w końcowych słowach zanotował: „Przeniósł się do Nałęczowa [...], gdzie spisywał pamiętniki pełnego przygód życia, w czasie kampanii węgierskiej i na tułaczce. O ile wiemy, pozostała rodzina zamierza pamiętniki te ogłosić drukiem”.

Już gwoli pełnej informacji wypada dopisać, iż po śmierci ojca, w willi „Pod Kraszewskim” zamieszkiwała jego najmłodsza córka, Helena Bagińska, po mężu Brylińska (ok. 1863–1931) – będąca w separacji z małżonkiem Bronisławem – matka czterech córek i syna Stanisława (1890–1953). Onże Stanisław Bryliński, już jako osiemnastoletni młodzieniec, dzięki protekcji Stefana Żeromskiego (wówczas mieszkańca Nałęczowa), dostał się latem 1908 roku do teatru krakowskiego; w latach późniejszych pracował jako aktor i reżyser w teatrach Łodzi, Warszawy, Wilna, Poznania oraz kilku innych miast.¹⁹

JERZY MICHAŁ SOŁDEK

POSTSCRIPTUM

Bracia Węgrzy pamiętają o generale Bemie i 4 tysiącach polskich żołnierzy walczących o niepodległość Węgier w 1848–1849 roku; pamiętajcie również, iż w szeregach węgierskich honwedów, oprócz wielu innych narodowości, walczyli także Ukraińcy.

¹⁹ Zdzisław Jerzy Adamczyk, Opracował (przypisy do: list Stefana Żeromskiego do Stanisława Brylińskiego [Warszawa, 15 października 1908]) [w:] Stefan Żeromski, *Listy. 1905–1912*, Warszawa 2006, s. 123–124.

KAZIMIERZ
PARFIANOWICZ

Czy pusta kolumna domu gotyckiego w Puławach to ukryty symbol z biblijnej Księgi Jeremiasza?

Latem 2021 roku upadające drzewo, rosnące przed Domem Gotyckim w Puławach, przewróciło pierwszą od lewej kolumnę, należącą do siedmiokolumnowego portyku przed wejściem głównym do Domu Gotyckiego.

Niespodziewanie okazało się, że ta kolumna jest pusta i że nie jest kamiennym monolitem, choć takie sprawiała wrażenie.

Dlaczego jeden z najważniejszych obiektów Puław nie został opatrzony pełną kolumną, ale jakby jej atrapą o pustym trzonie?

W tak ważnym i reprezentacyjnym dziele architektonicznym, przyczyną nie mogły być względy finansowe. Owa kolumna musiała otrzymać taką konstrukcję nie z powodów oszczędnościowych ale z jakichś innych względów.

Skoro Dom Gotycki reprezentuje symbolikę masonską (węgielnicy korpus budowli, dwie kolumny pokoju zielonego na piętrze, odnoszące się do kolumn Świątyni Jerozolimskiej o nazwach Jakin i Booz, wywiedzionych z Biblii, to i owa kolumna powinna mieć źródło biblijne. Kolumnę taką znajdujemy w Księdze proroka Jeremiasza,

której Dodatek Historyczny (Jr 52, 1-34) wymienia straty Świątyni Jerozolimskiej spowodowane najazdem wojennym i grabieżą w roku 586 przed Chrystusem, dokonaną przez króla Nabuchodonozora II, władcę babilońskiego [605-562 przed Chr].

Spośród zniszczonych przedmiotów świątynnych, odlanych ze spiżu – brązu, najeźdźcy połamali kolumny spiżowe, które były w świątyni (Jr 52, 17) [...] a cały spiż wywieźli i wszystkie przedmioty spiżowe (Jr 52, 18), a cały spiż wywieźli do Babilonu. (Jr 52, 17).

Wśród zrabowanych przedmiotów jakie kazał dla świątyni zrobić król Salomon (Jr 52, 20), były kolumny [...] miały osiemnaście łokci wysokości każda, a sznur dwunastolokciowy ją opasywał; gruba na cztery palce (w środku) była pusta (Jr 52, 21). Ideę pustej kolumny Świątyni Jerozolimskiej mogła wyrażać pusta kolumna portyku kolumnowego puławskiego Domu Gotyckiego.

Przewrócona kolumna puławska ujawniła także swoją strukturę materiałową: okazało się, że jej trzon nie był wykuty w kamieniu, choć takie sprawiała wrażenie, ale,



że był wykonany z jakiegoś rodzaju sztucznego kamienia (tzw. sztuczny kamień był stosowany w sztuce od czasu średniowiecza).

Tu pojawia się pytanie: czy tylko ta kolumna portyku jest pusta, jako nawiązująca do tekstu biblijnego, czy też taką strukturę otrzymały wszystkie kolumny portykowe Domu Gotyckiego?

Odpowiedź jest ukryta w każdej z nich. Jeżeli jest to technicznie możliwe, to należałoby pod tym kątem zbadać wszystkie kolumny obu portyków Domu (a także kolumnę w sali pod herbami na parterze), choć ze względów symbolicznych wystarczyłaby jedna pusta kolumna; niewykluczone jednak, że i pozostałe kolumny mogły być włączone do tej symboliki.

W puławskiej pustej kolumnie, zapewne z biblijnej Księgi Jeremiasza, zdaje się pobrzmiewać Koheletowa Marność nad marnościami. Wszystko marność (księga Koheleta czyli Eklezjastesa [1–12, 1, 2], będąca przewodnią refleksją tej Księgi, choć być może, że w Puławach mogła być zadumą nad losem rezydencji zniszczonej przez Rosjan w 1794 roku.

Na zakończenie tej części rozważań przywołajmy przedstawiony wyżej wiersz 21 rozdziału 52 Księgi Jeremiasza w przekładzie księdza Jakuba Wujka [„Biblia to jest księgi Starego i Nowego Testamentu z łacińskiego na język polski przełożone przez ks. D. Jakóba Wujka. dosłowny przedruk z edycji krakowskiej z r. 1599. Brytyjskie

i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1960, s. 743], a to ze względu na pełną uroku staropolszczyznę:

„A słupów łokci ośmnaście było wżwyż słupa jednego, a sznur dwunaście łokci opasał go, a miąższość zaś jego na cztery palce. A wewnątrz dęty był”

W kontekście najazdu, rabunku i spustoszeń dokonanych w Świątyni Jerozolimskiej przez wojska Nabuchodonozora II w r. 586 przed Chr., pusta kolumna Świątyni Jerozolimskiej mogła w Puławach wyrażać nastroje po niedawnym Powstaniu Kościuszkowskim – wojnie – najeździe rosyjskim, ograbieniu i zniszczeniu rezydencji puławskiej w 1794 roku i refleksję nad aktualną wojną z Austrią upamiętnioną rokiem 1809 na tablicy u szczytu ściany północnej Domu Gotyckiego i nadzieją wyrażoną inskrypcją nad wejściem głównym:

„OBY ODTĄD ZWYCIĘSTWA NASZE
ZATRZEĆ MOGŁY PAMIĘĆ KLĘSK DOZNANYCH”,
klęsk, być może, wyrażonych pustą kolumną z biblijnej Księgi Jeremiasza.

KAZIMIERZ PARFIANOWICZ

Szczegółowe omówienie symboliki Domu Gotyckiego, obiektów architektonicznych założenia rezydencjonalnego Puław w:

KAZIMIERZ PARFIANOWICZ, „Według liczby”, *Masoński duch symboliki puławskiej kaplicy pałacowej*, Kazimierz Dolny–Puławy 1993: Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza Dolnego – Towarzystwo Przyjaciół Puław, (na s. 22–28) .

Heinrich Vogtherr Młodszy (1513–1568) lub Hans Burgkmair der Jüngere, *Wizja Jeremiasza*, Augsburgers Wunderzeichenbuch, około 1552, Wikimedia



• Na stronie poprzedniej: rycina tytułowa, *Święte Księgi, Księga Jeremiasza...*, Druck und Verlag des M. I. Landau, Prag 1836, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu

Obcy u siebie.

Europa przyszłości?

SŁOWO „OBCY” NIEKONIECZNIE KOJARZY SIĘ Z treścią negatywną, zależnie jakie pod nie podkładamy znaczenie, a jest ich sporo: cudzoziemiec, ktoś spoza określonego środowiska, ale także gość w rozumieniu przyjaznej gościnności, a wreszcie wróg, ktoś kto komuś lub czemuś zagraża.

Godnym zauważenia znakiem czasu jest obecnie bardzo częste skojarzenie słowa *obcy* – *xenos* ze słowem *phobia* – *fobia*, co tłumaczone na polski oznacza chorobliwy lęk. Gdybyśmy sięgnęli po znaczenia w innych językach, zwłaszcza angielskim, to schodzą się owe określenia z definicją dr Howarda E. LeWine, szefa harwardzkiego wydawnictwa Harvard Health Publishing, który określa fobię jako „a persistent, excessive, unrealistic fear of an object, person, animal, activity or situation. It is a type of anxiety disorder” (stały i przesadny, sprzeczny z rzeczywistością strach przed jakimś przedmiotem, osobą, zwierzęciem, aktywnością lub sytuacją. Jest to rodzaj zaburzenia w dziedzinie strachu).

W obecnym słownictwie, zwłaszcza dominującym w tzw. języku nienawiści, często używanym jako rzekomy sposób walki z nienawiścią – co jest paradoksem powoli nabierającym kształtów normalności – dwa wyżej zdefiniowane słowa zlewają się w jedno – *xenofobia*. *Ortograf. pl* definiuje je jako postawę charakteryzującą się niechęcią lub wrogością w stosunku do cudzoziemców i wszystkiego, co z nimi związane. Wydaje się, że mimo pewnych mankamentów, ta definicja oddaje lepiej znaczenie tego pojęcia niż inne, według których ksenofob, to po prostu przeciwnik. Czego? Rzecz jasna, tego co jego przeciwnik chce zwalczać. Może to być czyjś światopogląd, wyznanie, poglądy itp.

Nadużywanie pojęcia ksenofobia w dowolny sposób aplikowanego aktualnemu przeciwnikowi spycha je w przestrzeń negatywnych reakcji i czyni, nolens volens, maczugą mającą stanowić argument aplikowany przeciwnikowi. Jeśli komuś przykleja się taką etykietkę, można zrezygnować z argumentów rzeczowych, zazwyczaj zresztą nie istniejących. Sprawa tej „obcości” ma się inaczej w państwach europejskich, ongiś będących potęgami kolonialnymi, a inaczej w krajach, które z napływem

ludności z innych kontynentów stykają się praktycznie gdzieś od połowy XX wieku – Niemcy z tureckimi *gastarbeitern* w dużej części osiadłymi tam na stałe, ale dalekimi od asymilacji, a nawet od integracji. Maturzysta – Turek w wywiadzie dla radia w Niemczech, przyznawał, że językiem jego jest niemiecki i w Niemczech widzi swój *Sitz im Leben*, ale Niemcem nie jest. Czuje się Turkiem. Dziennikarz prowadzący wywiad w żaden sposób nie potrafił go przekonać, że powinien uznać Niemcy za swą ojczyznę. Było to o tyle bardziej zdumiewające, że Niemka z Nadrenii uważała przybyszów z dawnego NRD za „obcych”. Byłem tego świadkiem.

Z kolei w Wielkiej Brytanii obcymi nie są ludzie o oliwkowej karnacji, z dawnych kolonii brytyjskich. Obecny premier jest przecież jednym z nich. Pozostawiam poza nawiasem tych rozważań Francję, gdzie sytuacja jest bardziej skomplikowana, ale wielu Marokańczyków, czy Algierczyków uważa się za Francuzów i trudno im tego odmówić.

Problemem, który wisi nad Europą są imigranci, zwłaszcza z krajów muzułmańskich, którzy w niczym nie są podobni do „obcych” w krajach postkolonialnych. To ludzie, którzy najczęściej z motywów bytowych szukają łatwego życia. Wątpliwa pod każdym względem teoria i praktyka tzw. multikulti, to obecność wielu różnorodnych kultur w obrębie jednego państwa lub polityka państwa wobec różnorodności kulturowej. Mylnie jednak bywa multikulti nazywana wielokulturowością. O niej możemy mówić w takich krajach jak np. Kanada, gdzie w jednym organizmie państwowym i społecznym spotykają się kultura anglosaska, francuska, tubylcza i one tworzą konstruktywną całość. Ich zrastanie ma za sobą stulecia. Z kolei multikulti to bynajmniej nie jakiś sztucznie stworzony *melting pot*, czyli po naszymu tygiel, gdzie składniki w nim obecne stapiają się w coś nowego. Otóż w Europie Zachodniej jeszcze do niedawna naiwnie sądzono, że ci wszyscy szukający swego miejsca na ziemi stworzą wraz z tubylcami jeden zwarty organizm bez względu na odrębności cywilizacyjne, religijne, i ten trudny do zdefiniowania bagaż, jaki człowiek przynosi na

świat. Nie na darmo mówi się o *native language* – języku „wrodzonym”, w przeciwieństwie do języka nabytego. Zatem nawet, jeśli przyjmujemy, że wraz z imigrantami nie przeniknie do Europy radykalizm widzący jedyną drogę do osiągnięcia celu w terroryzmie, a przecież jest to z wielu względów niewykluczone, oczekiwanie, iż wtopią się oni w zastane społeczeństwo jest iluzoryczne. Gdy chodzi o środowiska muzułmańskie, gdzie walka z niewiernymi i zdominowanie ich pod własnym panowaniem jest zarazem nakazem religijnym, łudzenie się, że środowiska te nie sięgną po coś więcej aniżeli tylko materialne dobra jest wprost samobójcze.

Wyznawcy zasad multikulti nie biorą pod uwagę struktur społecznych, a ściśle mówiąc, religijno-społecznych, w myśl których mniejszość muzułmańska osiągając odpowiedni udział w danym społeczeństwie organizuje się na bazie szariatu. Jest to prawo regulujące życie wyznawców islamu zarówno w dziedzinie świeckiej jak i religijnej, ingerując także w codzienne życie wszystkich, temu prawu podległych. Mowa o państwie, ale może się to odnosić także do społeczności muzułmańskiej funkcjonującej w innym państwie.

Powstaje więc pytanie, kto staje się „obcym” tam gdzie prawo szariatu obowiązuje społeczność muzułmańską zamieszkałą w państwie pod względem wyznaniowym neutralnym? Takimi państwami są kraje Europy Zachodniej. Nawet tożsamość kulturowa jest tam raczej teoretyczna, o ile w ogóle można jeszcze o niej mówić?

Tymczasem społeczność muzułmańska, nawet zakładając istniejące w niej przeciwieństwa społeczne i różnicowanie wynikające z – jakby powiedział marksista – rozwarstwienia klasowego czy statusu materialnego, jest zwarta poprzez sam charakter islamu, w którym zasady religijne i normy życia świeckiego tworzą płaszczyznę, na której funkcjonuje nie tylko rodzina, instytucje i jednostki niezależnie od ich rzeczywistego stosunku do religii w ogóle, ale wszystkie struktury życia publicznego. Tak zuniformizowana społeczność ma w Europie już obecnie silny przyczółek, a rozrasta się on w miarę jak depopuluje się Europa. W liczbach na koniec lat 20. tego wieku wygląda to następująco: *na kontynencie w 28 ośmiu krajach UE oraz w Szwajcarii i Norwegii mieszka prawie 26 mln muzułmanów, czyli 4,9 proc. populacji. Najwięcej we Francji – 5,7 mln, w Niemczech – 4,9 mln i Wielkiej Brytanii – 4,1 mln. Jeszcze w 2010 r. było ich niecałe 20 mln.* W przeciwieństwie do rodzin Europejczyków o nielicznym potomstwie, rodziny islamskie są wielodzietne. Nadto w Europie nie ma widoków na poprawę, gdyż małżeństwo i rodzina przeżywają kryzys, ulegając dekadentckim tendencjom wolnych, często czasowych związków partnerskich. Nawet takie pojęcia jak mąż, żona, małżeństwo

są wypierane przez nazwy: partner, partnerka, związek itp. W perspektywie zatem pokoleń dominacja społeczności islamskich w Europie będzie rosła, a ponieważ Europejczycy odrzucili fundament, na którym Europa się ukształtowała, przybysze osadzą ją na swoim fundamencie. Z „obcych” staną się gospodarzami, a tamci staną się „obcymi”, gdyż obcy w tym układzie jest każdy, kto jest poza prawem szariatu.

Proces taki nie jest czymś zaskakującym ani dziwnym. Natura horret vacuum. Pustka może być różnego rodzaju. Tutaj jest to pustka, którą trudno nawet odpowiednio nazwać, bo tu nie chodzi tylko o jakiś brak samookreślenia, ale o coś znacznie więcej, o zagubienie dorobku stuleci, który o ile w ogóle przetrwa, będzie taki jak ruiny na Forum Romanum, jak wyposażenie muzeum. Wszystko to jest cenne, ale już nie jest w stanie kształtować życia. Jest martwe.

Zjawiskiem, nad którym warto się zastanowić, jest wzmagająca się w zachodniej Europie niechęć do Żydów. Trudno nazywać Żydów w Europie „obcymi”. Wrastali oni w Europę wraz z jej kształtowaniem się i czynnie w nim uczestniczyli. Ich „inność” wyznaczało przywiązanie do religii mozaistycznej i kształtowany zgodnie z tym obyczaj. W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej mieli swoje prawa i byli społecznie bardziej rozwarstwieni aniżeli w państwach zachodnich, gdzie ich status materialny sytuował ich głównie w klasie średniej, a niektórych zbliżał do obszarów władzy. Prześladowania następowały głównie z powodu zbytniego rozrostu znaczenia społeczności żydowskiej, zatem w obawie przed stratami, jakie mogło to pociągać dla ludności chrześcijańskiej i tubylczej, co trudno kojarzyć z antysemityzmem w obecnym znaczeniu. Żydzi zatem byli składową ówczesnych społeczeństw, mającą wśród nich swój własny status. „Obcość” byłaby w tej sytuacji pojęciem nieadekwatnym do ich sytuacji.

W Niemczech w XIX wieku i aż do powstania III Rzeszy Żydzi, stanowiący tam ok. 0.6% populacji, należeli raczej do warstwy uprzywilejowanej, nie wyłączając obszaru polityki. W czasie I wojny światowej podobno to oni najczęściej odznaczani byli Żelaznym Krzyżem. Żydzi dysponowali tam bodajże czy nie największym kapitałem. Wielu zresztą konwertowało, głównie na protestantyzm. W czasach III Rzeszy zwrot przeciw Żydom w społeczeństwie niemieckim nie tyle miał podłoże ideologiczne, co był wynikiem hitlerowskiego terroru i tradycyjnej uległości wobec władzy. Po wojnie przez długie lata nawet krytyczne wypowiedzi wobec Żydów były zagrożone w RFN surowymi karami. Z kolei zdarzali się Żydzi, którzy swe miejsce widzieli tylko w Niemczech. Spotkałem starszego Żyda, który ucieszył się, że możemy rozmawiać po niemiecku. Wraciał właśnie z Niemiec do



Nicolas de Launay (1739–1792), *La ruine romaine*, 1768, rycina, zbiory POLONA

Izraela, gdzie mieszkał. Powiedział, że musi co najmniej 2 miesiące co roku przebywać w Niemczech, bo to jest jego ojczyzna, gdzie może się zregenerować.

Skąd więc bierze się w ostatnich czasach tyle agresji przeciw Żydom właśnie w Niemczech? Z raportu dotyczącego tego zagadnienia wynika, że „w 2017 r. w Niemczech według oficjalnych danych doszło do 1 504 »przestępstw o podłożu politycznym z motywem antysemitycznym«. Była to najwyższa liczba od 2014 roku. We Francji z kolei według oficjalnych danych zanotowano 311 incydentów antysemitycznych i ta liczba znacznie spadła od 2015 roku, gdy miało miejsce 808 takich przypadków. Zjawisko to nie wykazuje w Europie zachodniej tendencji spadkowej, gdyż statystyki są nieubłagane. W 2018 r. we Francji liczba ataków antysemitycznych wzrosła o 74 proc. Z kolei w Niemczech w ubiegłym roku odnotowano najwyższą od lat liczbę przestępstw przeciwko Żydom – było ich ponad 1600. Dane potwierdzają wyniki trzech ostatnich sondaży. A te pokazują jednoznacznie, że obywatele żydowscy czują się coraz bardziej zagrożeni agresją”.

Zadziwiające jest to, że Polska atakowana najbardziej przez niektóre koła żydowskie na świecie jest daleko w tyle za tym, co charakteryzuje niektóre społeczeństwa zachodnie. „W 2017 r. w Polsce po raz kolejny zanotowano spadek liczby incydentów antysemitycznych. Doszło do 73 takich przypadków, podczas gdy w 2016 r. było ich 101, a w 2015 roku 167 – wynika z opublikowanego w piątek raportu Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej”. Ważne jest też to, że wystąpienia antyżydowskie w Polsce miały przeważnie charakter aktów chuligańskich nie zdradzających bynajmniej tendencji politycznych czy światopoglądowych. Bowiern „73 incydenty zarejestrowane w Polsce w ub.r. to w znacznej większości różne formy mowy nienawiści, graffiti i napisy, także w sieci. W 12 przypadkach chodziło o obelgi i groźby przeciw osobom pochodzenia żydowskiego. Trzy sprawy dotyczyły fizycznych ataków, a w przypadku dwóch doszło do uszkodzenia mienia”.

„Z badania Europejskiej Agencji ds. Praw Fundamentalnych, które objęło 16 tys. Żydów z 12 krajów Europy →

wynika, że 90 proc. ankietowanych uważa, iż antysemityzm rośnie w kraju, w którym mieszkają, a 30 proc. doświadczyło nękania z tego powodu. Tymczasem ponad 1/3 ze względów bezpieczeństwa unika miejsc związanych z kulturą żydowską i myśli o emigracji”. Nie ulega też wątpliwości, że nasilenie wystąpień antyżydowskich, często na podłożu antysemityzmu występuje w krajach, gdzie w ostatnich dziesięcioleciach nastąpił znaczący przyrwyłw imigrantów z terenów, gdzie animozje arabsko-żydowskie są chlebem powszednim. Pytanie, na ile wpływ tej nowej populacji Europy zachodniej oddziałuje na tamtejsze społeczeństwa tubylcze, i w tym przypadku sprzyja wzmagającym się nastrojom antyżydowskim?

W perspektywie, być może nie tak bliskiej przyszłości, może się też pojawić inne pytanie: kto, gdzie jest „obcym”. Problem taki pojawił się już czasie rekonkwisty w Hiszpanii i w czasie opanowania terenów obu Ameryk przez Europejczyków. Pojęcie *cuius regio eius religio* niesłusznie kojarzy się tylko z reformacją. Mutatis mutandis obowiązywało ono wszędzie tam, gdzie władza sięga po całego człowieka. Także po jego wnętrze. W Europie to wnętrze jest dziś w rozsypce. Brak idei, która mogłaby jednoczyć Europejczyków pod hasłem zobowiązujących wartości. Taką

wartością przestaje być nawet instykt samozachowawczy. Zastępuje go złudne zaufanie do wartości wymiernych i geniuszu człowieka bez odniesienia do jego źródła. Rzeczywistość europejska staje się coraz bardziej wirtualna. Natomiast nowi przybysze, podobnie jak kiedyś ci podczas Wędrówek Ludów, dokładnie wiedzą po co przychodzą i coraz bardziej będą się czuli u siebie.

Powolne umieranie Europy chrześcijańskiej, zbudowanej na fundamencie, ale zarazem na gruzach Rzymu następuje na jej własne życzenie. Jest to odchodzenie w luksusie. Ale właśnie on jest źródłem niemocy.

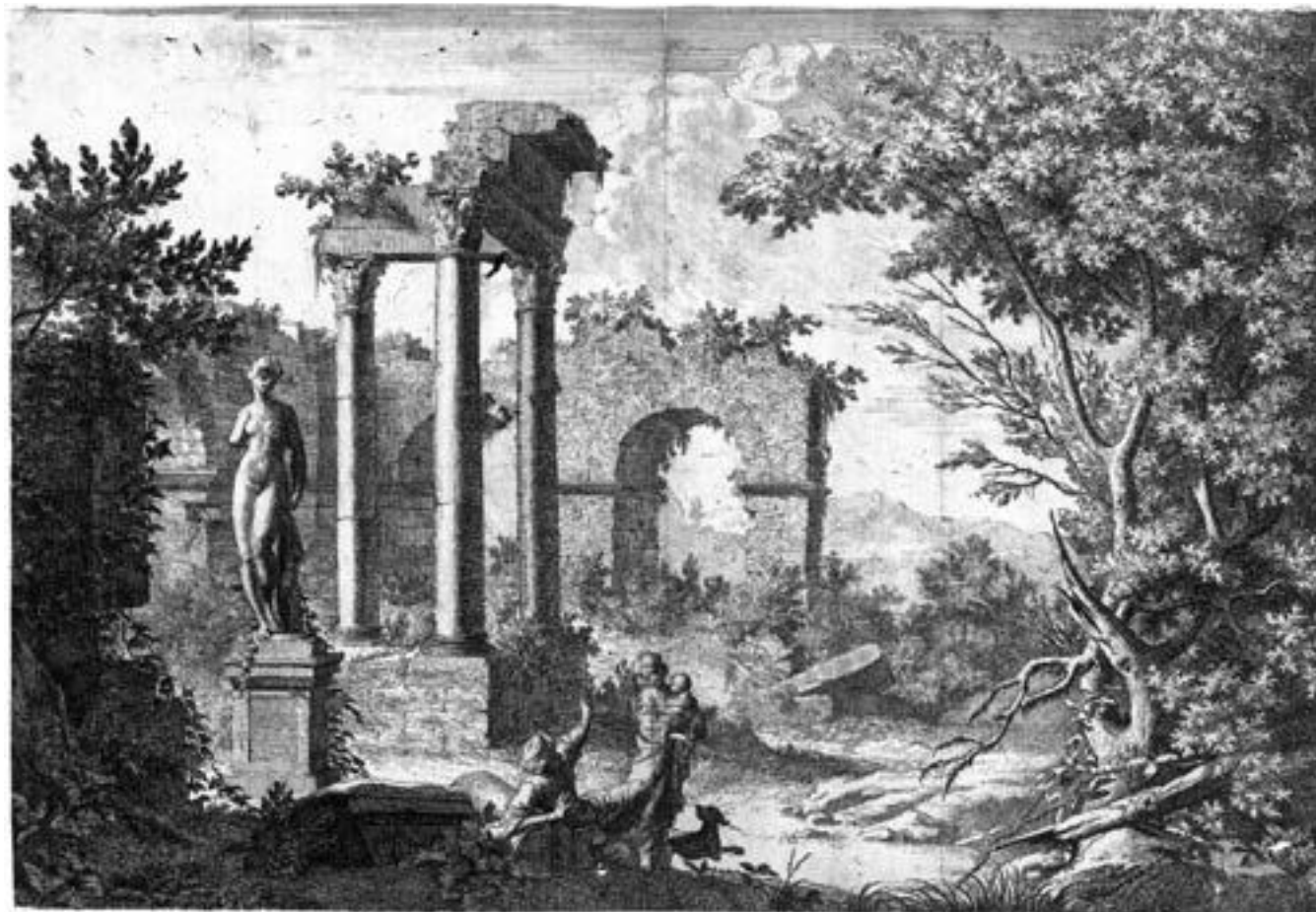
O Janie Chrzcicielu Chrystus powiedział:

„Coście wyszli oglądać na pustyni? Trzcinę kołyszącą się na wietrze? Ale coście wyszli zobaczyć? Człowieka w miękkie szaty ubranego? Oto w domach królewskich są ci, którzy miękkie szaty noszą”. (Mt 11, 7–8).

Ale domy królewskie mają najczęściej krótką historię, bo płytki jest ich fundament. Fundament Europy jest głęboko osadzony w prawdzie bożej i ludzkim wysiłku. Ale też tylko człowiek może go rozkruszyć. Dzieje się to na naszych oczach, czy także z naszym udziałem?

ZYGMUNT ZIELIŃSKI

Krajobraz z antycznymi ruinami i posągiem, rycina, net



BARTOSZ
STARĘGOWSKI

Polska tarcza przeciwko bolszewickiej rewolucji.

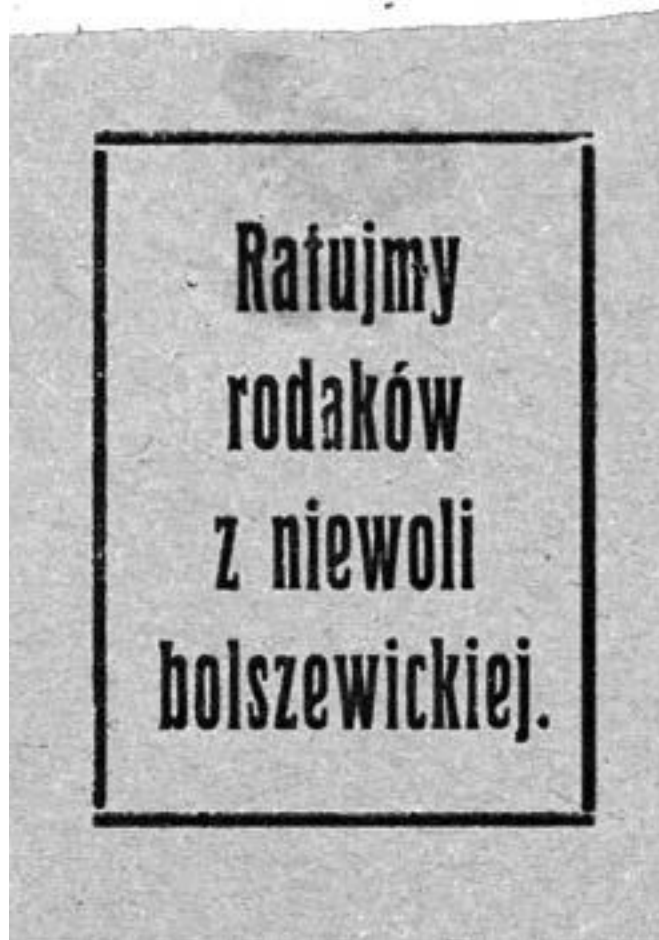
Bitwa Warszawska i jej znaczenie

PROCES ODBUDOWY POLSKI PO 123 LATACH ZABORÓW okazał się niezwykle mozolny i trudny. Problemem była nierównomiernie rozwinięta gospodarka i infrastruktura oraz nieujednolicona administracja, prawo a nawet przepisy ruchu drogowego. Spory wywoływał również przebieg granicy nowo odrodzonego państwa. O jej kształt toczono boje dyplomatyczne podczas konferencji w Wersalu, a w przyszłości były to również boje z bronią w rękę. O ile na zachodzie ukształtowano ją według ustaleń traktatowych, o tyle na wschodzie państwa zachodnie chciały wymusić na Polsce przebieg granicy na linii Curzona czyli wzdłuż rzeki Bug, co było niekorzystne dla strony polskiej i całkowicie nieakceptowane przez władze w Warszawie.

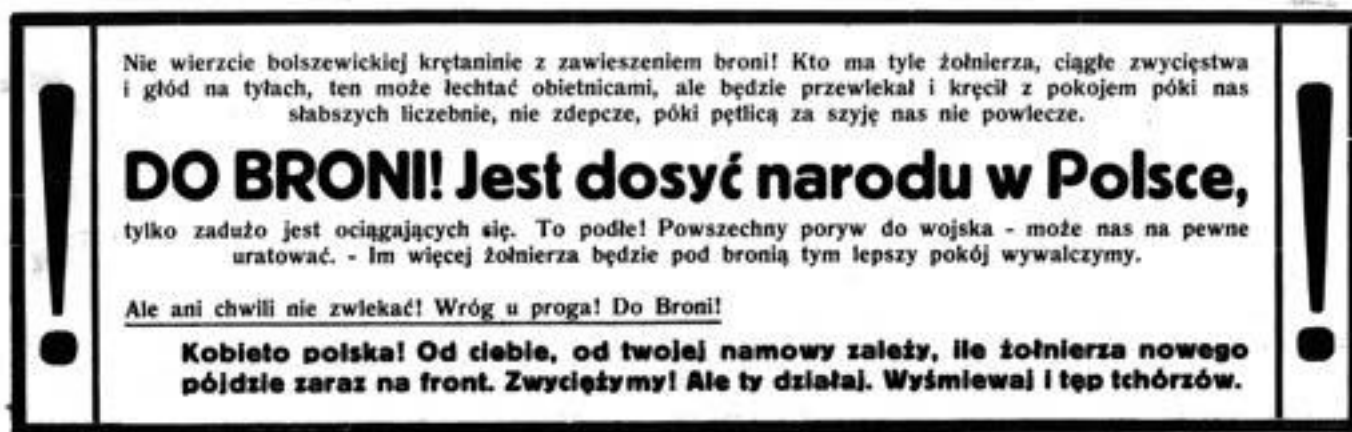
Sytuacja polskiej granicy wschodniej całkowicie zmieniła się, gdy władzę w Rosji przejęły komunistyczne siły rewolucyjne. Choć Rada Komisarzy Ludowych z Włodzimierzem Leninem na czele początkowo wycofała Rosję z wojny i rozpoczęła zarządzanie na nowo państwa według prawideł rewolucji komunistycznej, to w przyszłości planowano nie ograniczanie się tylko do obszaru jednego kraju, ale rozciągnięcie rewolucji na Europę, a następnie cały świat. Na drodze tym zamierzeniom stała znienawidzona przez bolszewików „wielkopańska” Polska. Pierwsze próby rozszerzenia rewolucji nastąpiły już pod koniec 1918 r.

Pierwsze walki z Armią Czerwoną

Józef Piłsudski dostrzegając zagrożenie ze strony posuwającej się na zachód rewolucji nakazał mobilizację. Polacy, posiadając doświadczenie walk na frontach I wojny światowej mogli przeprowadzić ją dość sprawnie i stanowić dla wroga trudny orzech do zgryzienia. Chcąc uprzedzić atak bolszewicki Piłsudski nakazał zajęcie Wilna, jednakże z uwagi na przytłaczającą przewagę liczebną czerwonooarmistów polskie wojsko zmuszone było opuścić miasto z początkiem stycznia 1919 r. Regularne walki zaczęły się 14 lutego. Do licznych starć dochodziło w rejonie przeprawy nad Niemnem i w okolicy Berezny Kartuskiej.



Pod koniec czerwca 1919 r., Naczelnny Wódz podjął decyzję o przeprowadzeniu szeroko zakrojonej ofensywy na terenie Galicji. W jej wyniku udało się zająć tereny aż po rzekę Zbrucz. Mniej więcej w tym samym czasie, na początku lipca generał Stanisław Szeptycki poprowadził ofensywę na tereny białoruskie, zajmując Mińsk i Bobrujsk. Bolszewicy ponieśli poważne straty i chwilowo zostali zmuszeni do wycofania się, a linia polskich terenów zdobytych na wschodzie przebiegała wzdłuż rzek Dźwiny, Berezyny, Oressy, Słucza, Smotrycza i Zbruczu. Bolszewicy wycofali się z uwagi na wciąż trwającą wojnę domową z obrońcami dawnego systemu i wrogami rewolucji zwanych „białymi” oraz nieodpowiednie →



przygotowanie do prowadzenia dłuższych działań zbrojnych. Jak się później okazało było to jednak chwilowe.

W międzyczasie piłsudscy rozpoczęli rozmowy z przywódcą ukraińskim Semenem Petlurą, co zaowocowało podpisaniem dwóch układów: o zawieszeniu broni 11 października 1919 r. oraz układu sojuszniczego 21 kwietnia 1920 r. Polskie wojsko we współpracy z ukraińskim wojskiem Petlury rozpoczęło ofensywę i 7 maja zajęło Kijów. Niestety był to koniec sukcesów sił sprzymierzonych i początek wielkiego kontrataku bolszewików.

Czerwone imperium kontratakuje

Po zakończeniu wojny domowej i uporaniu się z „białymi”, Armia Czerwona rozpoczęła nową ofensywę. Na początku bolszewicy pokonując siły Petlury zajęli Ukrainę, a następnie okazały obszary Białorusi. Tym samym ukształtowały się dwa fronty: zachodni na Białorusi i południowo-wschodni na Ukrainie. Czerwonoarmiści zyskali dogodnie pozycje do przeprowadzenia ataku w kierunku Polski. Aby przekonać do siebie niższe warstwy społeczne, rozpoczęli szeroko zakrojoną akcję agitacyjną i propagandową, obiecując zniesienie panujących do tej pory stosunków klasowych oraz zahamowanie wyzysku przez rzekomo polskich „panów”. Dodatkowo rozmowy prowadzono z Niemcami, a ich celem było przywrócenie granicy niemiecko-rosyjskiej z 1914 r. Chciano w ten sposób przekonać Niemców do wsparcia sprawy bolszewickiej.

W czerwcu 1920 r. niebezpieczeństwo stało się coraz bardziej realne. W reakcji na to ogłoszono powszechną mobilizację, nie tylko w zakresie wojska ale również obiegu informacji, tak by zatrzymać komunistyczną propagandę i pobudzić całe społeczeństwo do stawienia oporu. Pierwszego lipca ukonstytuowała się Rada Obrony Państwa, w skład której wszedł Naczelnik Państwa, marszałek sejmu, prezes rady ministrów, trzech wskazanych ministrów, trzech przedstawicieli armii oraz dziesięciu delegatów reprezentujących partie polityczne. Rozpoczęto

silną ofensywę dyplomatyczną i zaapelowano do państw zachodnich o pomoc, argumentując to obroną nie tylko Polski, ale i całej Europy. Niestety, na konferencji w Spa premier Władysław Grabski uzyskał jedynie mgliste zapewnienia, a główne postanowienia o wsparciu uzależniono od zgody na niekorzystne dla Polski decyzje w sprawie granic. Po nieudanej konferencji w Spa Grabski podał się do dymisji, a na jego miejsce powołano jako premiera przywódcę ludowców Wincentego Witosa. Wicepremierem i jednym z ministrów został socjalista Ignacy Daszyński. Zabieg taki był konieczny, gdyż chciano w ten sposób wyrwać chłopów i robotników spod władzy chwyliwych haseł bolszewickich. Rząd ten przeszedł do historii pod nazwą Rządu Obrony Narodowej. Inspektorem armii ochotniczej został generał Józef Haller. Już w pierwszych dniach mobilizacji do organizowanych przez niego wojsk zgłosiło się 104 000 ochotników. Szefem sztabu generalnego został generał Tadeusz Jordan Rozwadowski, a tworzeniem jednostek kawaleryjskich miał zająć się Kazimierz Sosnkowski. Latem 1920 r. armia polska, poszerzona o ochotników, liczyła już ok. 1 000 000 ludzi.

Cud nad Wisłą

Plan walki miał dwa główne założenia: po pierwsze obronę linii Wisły i stolicy, po drugie przeprowadzenie kontrofensywy, która miała doprowadzić do okrążenia sił nieprzyjaciela. Front został podzielony na trzy odcinki: komendę nad północnym objął generał Józef Haller, nad środkowym generał Edward Rydz-Śmigły, a nad południowym Waław Iwaszkiewicz. Bitwa Warszawska to nie jedna wielka batalia na przedpolach stolicy, lecz szereg potyczek na dość długim odcinku od Działdowa na północy, aż po Włodawę na południu oraz odpieranie kolejnych ataków na miasto.

Kulminacja walk nastąpiła w dniach 12–14 sierpnia. Gdy od północy odpierały ataki wojska generała Hallera, 1. Armia generała Franciszka Latinika toczyła zacięty bój

Polska była i jest krajem wolności. Rosja, carska czy bolszewicka, była i jest wielkim więzieniem!

z bolszewikami pod Radzyminem. Choć żołnierze bronili się dzielnie, musieli się wycofać w stronę drugiej linii obrony w rejonie Nieporętu i Rembertowa, a następnie znowu cofnąć się i bronić przedmieść Warszawy. Żołnierze Latinika stawili zacięty opór broniąc dostępu do miasta. 14 sierpnia 5. Armia dowodzona przez generała Władysława Sikorskiego podjęła działania ofensywne przeciwko bolszewikom na odcinku rzeki Wkry. Zacięte walki trwały również pod Ossowem. Przełom nastąpił 15 sierpnia, kiedy to ofensywa bolszewicka wyhamowała. Powodem takiego stanu rzeczy był sukces manewru, który przeszedł do historii wojskości pod nazwą „Kontrofensywa znad Wieprza”.

Kontrofensywa znad Wieprza

Jednym z głównych założeń planu wojennego było przeprowadzenia natarcia od południa, na lewe skrzydło wojsk bolszewickich dowodzone przez Michaiła Tuchaczewskiego. Plan zakładał przeprowadzenie błyskawicznego uderzenia na tyły sowieckiego frontu zachodniego w kierunku Mińska Mazowieckiego, Siedlec i Garwolina, następnie przebicie się, wejście na tyły bolszewików i połączenie z broniącym przedmieść Warszawy Latinikiem. Zbieranie wojsk trwało do 16 sierpnia. Wcześniej jednak należało wyczyścić przedpole do kontrofensywy, co okazało się nie lada wyzwaniem z uwagi na wciąż potężne siły bolszewickie zgromadzone za linią rzeki Bug. Największe zagrożenie stanowiła Konna Armia Siemiona Budionnego, a to ze względu na ogromną liczebność i szybkość manewrową. Obrona miejsca koncentracji wojsk mających przeprowadzić kontrofensywę, wymusiła stoczenie kilku poważnych walk w rejonie Kocka, Chełma, Hrubieszowa, Cycowa, Białej Podlaski i Brześcia. Kluczem było utrzymanie bolszewików za linią Bugu i nie dopuszczenie ich do ataku na przegrupowujące się polskie wojska.

Gdy kontrofensywa ruszyła, w dość szybkim czasie obito Mińsk Mazowiecki, Siedlce i Międzyrzec Podlaski.

Wojsko polskie parło na północ, spychając bolszewików do defensywy. Warszawa wciąż się broniła, a 15 sierpnia doszło do znacznego przełomu, co w historii uzyskało określenie „Cudu nad Wisłą”. Uderzenie znad Wieprza, poważnie wsparło obrońców stolicy i zadało znaczne straty Armii Czerwonej. Mimo to bolszewicy wciąż pozostawali groźni, z uwagi na duże zdolności mobilizacyjne i pozostającą w gotowości Armię Konną Budionnego.

Bitwa pod Komarowem i klęska Armii Konnej

Kres niebezpieczeństwa ze strony Armii Konnej Budionnego położyła batalia stoczona 31 sierpnia 1920 r. pod miejscowością Komarów niedaleko Zamościa. Wówczas doszło do największej bitwy kawaleryjskiej całej wojny. Naprzeciwko Budionnego stanęli Marek Bezruczko, dowodzący obroną miasta oraz 1. Dywizja Jazdy pod komendą pułkownika Juliusza Rómmla. Siłom Bezruczki udało się odpierać ataki na miasto, a w tym samym czasie pułkownik Rómmel raz po raz przeprowadzał szarże kawaleryjskie na siły Budionnego. Punkt przełomu w bitwie nastąpił wówczas gdy 8. Pułk Ułanów rotmistrza Kornela Krzeczunowicza zaszarżował z takim impetem, że wdarł się głęboko na pozycje wroga docierając do samochodu samego Siemiona Budionnego. Wyczyn 8. Pułku zmobilizował pozostałych żołnierzy, którzy przystąpili do natarcia, ostatecznie likwidując zagrożenie ze strony Kon-armii. W bitwie zasłużył się również batalion piechoty kapitana Stanisława Maczka, późniejszego dowódcy polskich sił pancernych podczas II wojny światowej. Armia Konna poniosła straty wynoszące aż 4000 żołnierzy i tym samym przestała być poważnym zagrożeniem. Jej upadek doprowadził do całkowitego zalamania się sił nieprzyjacielskich i zmusił je do odwrotu.

Pomyślne zakończenie

We wrześniu i październiku stoczono ostatnie zwycięskie batalie z wojskiem bolszewickim pod Grodnem, Wołkowyskiem, Druskiennikami i Równem. Polscy →



Patriotyczny plakat propagandowy,
po 1919, zbiory POLONA.

żołnierze nacierali na wycofujących się w pośpiechu bolszewików na całej osi frontu, biorąc do niewoli tysiące z nich. Ostateczny cios Armii Czerwonej polscy żołnierze zadali w trwającej 6 dni (od 20 września do 26 września) bitwie nad Niemnem.

W obliczu całkowitej klęski strona bolszewicka rozpoczęła rozmowy. Odbywały się one początkowo w Mińsku, a później w Rydze. Ostatecznie 18 marca 1921 r. polska delegacja w osobach Jana Dąbskiego, Leona Wasilewskiego i Henryka Strasburgera podpisała traktat pokojowy. Według jego zapisów granica wschodnia miała przebiegać wzdłuż linii

Dzisiaj–Doksyce–Stucz–Korzec–Osroń–Zbrucz. Zobowiązano się do zwrócenia zagrabionych dzieł sztuki, archiwów, bibliotek, udzielenia amnestii jeńcom oraz gwarancji poszanowania dla języka, kultury i mniejszości narodowych. Wznowiono relacje handlowe i dyplomatyczne. Polska miała również otrzymać odszkodowanie w wysokości 30 mln rubli. Takimi to postanowieniami kończono konflikt, który zagrażał nie tylko polskiemu państwu, ale i całej Europie, a być może i całemu światu. Polska stała się tarczą, która obroniła swoją młodą państwowość, ale i Europejczyków przed groźbą powszechnego komunizmu.

BARTOSZ STARĘGOWSKI

Aleksander Onoszko (1910–1994) – pilot sportowy, doświadczalny i wojskowy

WOJCIECH
CZARNIAWSKI,
LUDMIŁA
WOŁOCZKO

W OPRACOWANIU *Chełmianie w siłach lotniczych Rzeczypospolitej*, którego drugie wydanie ukazało się w 2022 roku, znalazła się krótka, zaledwie 4-zdaniowa notka poświęcona majorowi Aleksandrowi Onoszce, znanemu przed II wojną światową pilotowi sportowemu i doświadczalnemu, a następnie żołnierzowi polskich sił zbrojnych na Zachodzie¹. Warto więc nieco szerzej przypomnieć czytelnikom tę ciekawą postać, w latach młodości związaną z naszym regionem.

Aleksander Romuald Onoszko pochodził ze starej, kresowej rodziny szlacheckiej herbu Jacyna, osiadłej w okolicach Bychowa i Mohylewa w Wielkim Księstwie Litewskim (obecnie Białoruś), blisko spokrewnionej z kniaziami Czetwertyńskimi. Przyszły pilot urodził się 7 lutego 1910 w Chełmie Lubelskim. Jego chrzest odbył się w tutejszym katolickim kościele parafialnym pw. Rozesłania św. Apostołów dnia 13 tegoż miesiąca. Ojciec Aleksandra, Grzegorz (ur. 1870 w Popławszczyźnie w powiecie bychowskim, zm. 1935 w Warszawie), zawodowy wojskowy armii carskiej, w r. 1910 służył w stopniu sztabkapitana w 65 Moskiewskim Pułku Piechoty im. Cara Mikołaja II, stacjonującym w Chełmie Lubelskim. Matka, Zofia Lucyna z Pelszyńskich (1879–1932) była córką lekarza wojskowego, doktora nauk medycznych Aleksandra Pelszyńskiego i Kamili Aleksandry z Gardockich (rodziny pochodzącej z Podlasia). Po wybuchu I wojny światowej Onoszkowie zostali ewakuowani w głąb Rosji, tymczasowo zamieszkując w Samarze. Po rewolucji październikowej, ewakuując się poprzez Jałtę trafili do Odessy. Tam w 1919 r. Grzegorzowi Onoszko udało się zaciągnąć w charakterze palacza na włoskim statku handlowym i przedostać do Wenecji, skąd ostatecznie trafił do Polski. Tu jako wykwalifikowany oficer armii carskiej podjął służbę w odradzającym się Wojsku Polskim. W 1920 r. mianowany został dowódcą Głównej Stacji Zbornej DOG (Dowództwa Okręgu Generalnego) na wschód od Wisły. Brał udział w sławnej wyprawie „formacji” gen. Żeligowskiego, która przywróciła Wilno



ojczyźnie. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej kontynuował służbę w garnizonie lubelskim.

Aleksander wraz z matką dotarł do kraju - poprzez Rumunię - dopiero w 1921 roku i trafił do Lublina, gdzie rodzina osiedliła się na dłużej. Przyszły pilot rozpoczął tu naukę, zdając w 1929 roku maturę w gimnazjum zwanym wówczas „Szkolą Lubelską” (później noszącą imię króla Stefana Batorego). W czasie nauki w gimnazjum zajmował się sportem, należał m.in. do Wojskowego Klubu Sportowego w Lublinie. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości Aleksander podjął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Już w tym okresie pasjonował się lotnictwem, a w 1931 r. ukończył kurs pilotażu na Obozie Przystosowania Wojskowego Lotniczego w Nowym Targu. Służbę wojskową rozpoczął w Szkole

¹ Świstowski F., *Chełmianie w siłach lotniczych Rzeczypospolitej*, wyd. 2 poprawione i rozszerzone, Chełm 2022.

Poświęcenie sztandaru Hallerczyków w Lublinie.



General broni. Józef Haller przybył umyślnie do Lublina na uroczyste poświęcenie sztandaru tamtejszego Związku Hallerczyków. Nasze zdjęcie przedstawia chwilę, gdy general J. Haller, witając Hallerczyków, podaje rękę pułkownikowi Grzegorzowi Onoszko, komendantowi Chorągwi Lubelskiej. Fot. Z. Drozdowski.

Grzegorz Onoszko ojciec Aleksandra Lublin marzec 1925

Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie. Po ukończeniu rocznej służby, jesienią 1932 r. podjął pracę w warszawskim aeroklubie w charakterze instruktora pilotażu, zaś rok później zatrudniony został jako inspektor stołecznego oddziału Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Lata 30. ubiegłego wieku były dla większości państw okresem wielkiego zainteresowania lotnictwem i fascynacji jego możliwościami militarnymi. Obowiązująca wówczas doktryna „panowania w powietrzu”, opracowana przez włoskiego generała lotnictwa Giulio Douheta, zakładała konieczność tworzenia silnych powietrznych flot cywilnych oraz wojskowych. Również w naszym kraju, który dźwigał się ze skutków długotrwałej niewoli i szkód poniesionych w okresie I wojny światowej i wojny bolszewicko-polskiej, władze zdawały sobie sprawę z konieczności stworzenia sił powietrznych, mogących konkurować z niebezpiecznymi sąsiadami. Społeczeństwo polskie z dumą obserwowało rozwój naszego lotnictwa, zasłużeni piloci zdobywali ogromną popularność i status niemalże „bohaterów narodowych”. Z drugiej strony, był to okres

wzmoczonego wysiłku przemysłu lotniczego i intensywnej pracy biur konstrukcyjnych, opracowujących plany nowoczesnych maszyn.

„Wielka przygoda” lotnicza Aleksandra Onoszki, która przyniosła mu sławę i popularność, rozpoczęła się jesienią roku 1934 – został wówczas pilotem doświadczalnym w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych (DWL) w Warszawie, zastępując rezygnującego z tego stanowiska ze względu na stan zdrowia poprzedniego pilota-oblatywacza Wytworni, Kazimierza Chorzewskiego. Jako pilot-oblatywacz, Aleksander Onoszko brał udział w testowaniu i pierwszych oblotach najbardziej znanych przedwojennych polskich konstrukcji lotniczych: motoszybowca AMA, samolotów RWD-11, RWD-14 Czaplą, RWD-15, RWD-17 i RWD-20. Dokonywał również oblotów samolotów seryjnych produkowanych w RWD. W tym okresie życia popularność przyniosły mu loty wykonywane na licznych mityngach lotniczych i zawodach, na których prezentował polskie samoloty w kraju i za granicą. Wykonał m.in. brawurowy pokaz wszechstronnych

możliwości samolotu RWD-13 w Sztokholmie w czerwcu 1936 roku. Udowodnił doskonale parametry aerodynamiczne prototypu samolotu RWD-11, uzyskując w locie nurkowym szybkość 374 km/h, a więc większą, niż były w stanie osiągać wojskowe myśliwce PZL-P.7.

Jesienią 1937 roku Aleksander Onoszko rozpoczął pracę jako kapitan samolotów pasażerskich Polskich Linii Lotniczych LOT, gdzie zatrudniony był do połowy września 1939 r. Wykonywał loty na samolotach Lockheed L-10 Electra oraz Fokker F.VIIB.

Zofia Onoszko, matka pilota, umarła w Warszawie w 1932 r. W styczniu 1935 r. w I Okręgowym Szpitalu im. Marszałka Piłsudskiego w Warszawie zmarł po ciężkiej chorobie Grzegorz Onoszko, ojciec Aleksandra, pułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Jego pogrzeb odbył się na Cmentarzu Powązkowskim. W latach 30. Aleksander początkowo wynajmował w stolicy małe, jednopokojowe mieszkanie przy ul. Lwowskiej. Później, razem z nowoposiłubioną żoną Stanisławą Brodzic-Bonikowską (1918-1999), zamieszkał w wybudowanej w latach 1936/37, istniejącej do dziś charakterystycznej modernistycznej kamienicy przy ul. Kieleckiej 16 na Mokotowie. Ślub pilota odbył się w dość niezwykłych okolicznościach i stał się jednym z najbardziej znanych

epizodów jego barwnego życiorysu. Zawarty został dnia 26 stycznia 1936 roku. Mimo, iż narzeczeni należeli do warszawskiej parafii św. Zbawiciela (i tam spisana została formalna metryka ślubu), ze względów religijnych i przywiązania do „tradycji sienkiewiczowskiej” postanowili związać się węzłem małżeńskim w najważniejszym sanktuarium Polski - na Jasnej Górze. Państwo młodzi udali się tam stanowiącym własność warszawskiego aeroklubu samolotem RWD, zaś drugim, wypożyczonym z fabryki RWD kierował znany pilot i automobilista Witold Rychter, który pełnił odpowiedzialną funkcję świadka. Lotnisko aeroklubu częstochowskiego znajdowało się wówczas w dzielnicy Kucelin (na terenie tym wybudowano po II wojnie światowej hale huty im. Bolesława Bieruta, jednak w ostatnich latach miejsce to upamiętnione zostało rondem, noszącym nazwę Skweru Lotników Polskich). Po wylądowaniu na mało uczęszczanym lotnisku okazało się, że jego dozorca mieszkał w Piotrkowie Trybunalskim, zaś klucz do hangaru przechowywano w Tomaszowie Mazowieckim. Po pokonaniu zaistniałych trudności, odnalezieniu świadka, który postanowił zwiedzić miasto i wędrując przez nie zabłądził i spóźnił się na uroczystość, oraz po uzyskaniu zgody proboszcza parafii Św. Barbary (do której jak się okazało formalnie



Piloci Onoszko i Łuczynski przy samolocie RWD-5 (Warszawa 1934)

należał jasnogórski klasztor) doszło wreszcie do zawarcia związku małżeńskiego. Po starcie w drogę powrotną samoloty kilkakrotnie przeleciały po obu stronach wysokiej wieży klasztornej, wzbudzając niemalą sensację wśród wiernych licznie zgromadzonych na niedzielnych nabożeństwach. Nad warszawskim lotniskiem obaj piloci, niezupełnie „legalnie” wykonali tzw. lustrzaną półakrobację, której jednak, na szczęście, nikt z miejscowych władz nie zauważył...

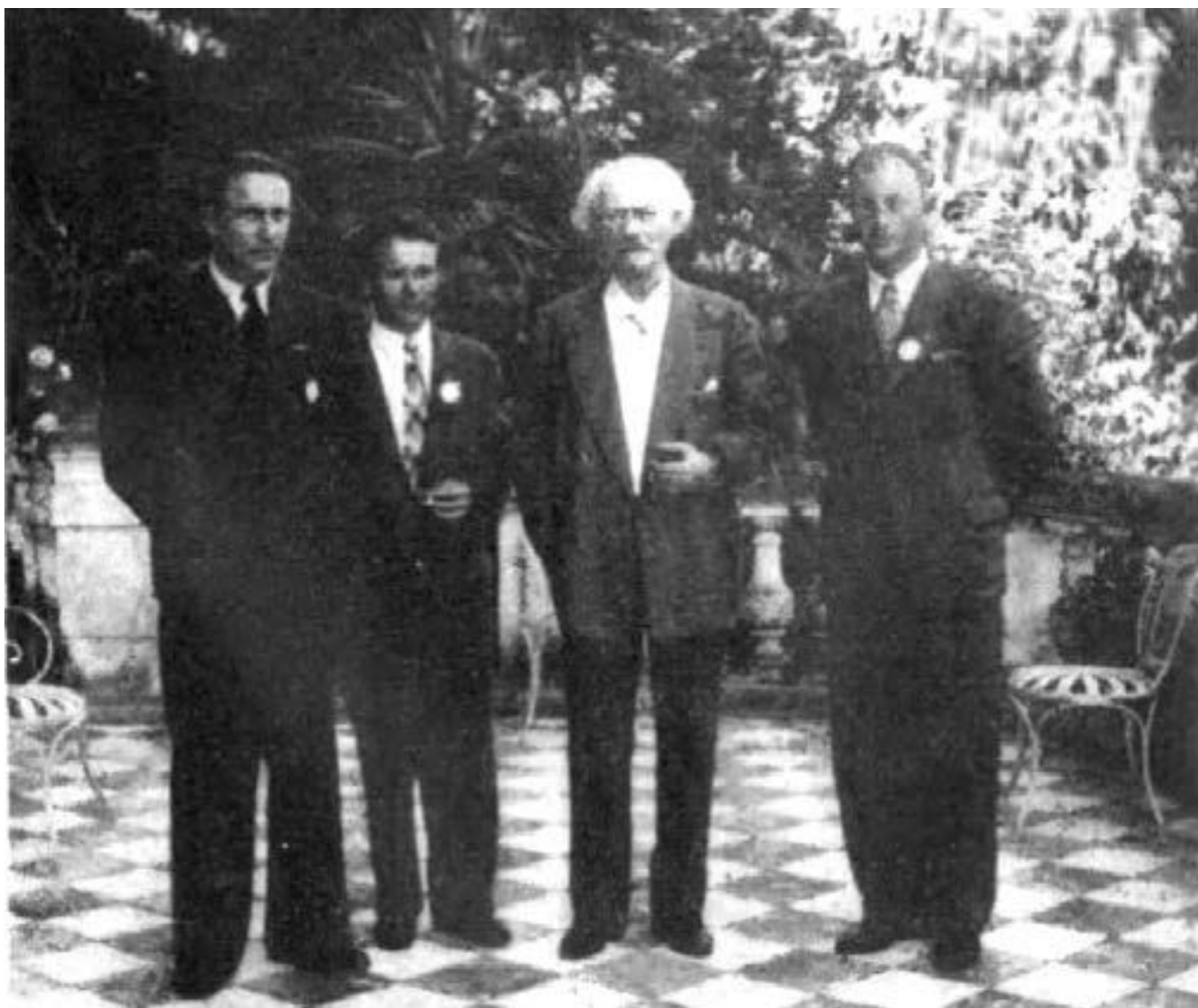
Pamiętnym epizodem w życiu naszego bohatera była jego wizyta w Szwajcarii u ex-premiera Ignacego Paderewskiego. W lipcu 1937 dwie polskie maszyny RWD-13 wzięły udział w IV Międzynarodowym Mityngu Lotniczym w Zurychu; pierwsze miejsce zajął pilot Eugeniusz Przysiecki, natomiast RWD pilotowany przez Aleksandra Onoszko uzyskał siódmą lokatę. Korzystając z pobytu w Szwajcarii Onoszko postanowił odwiedzić przebywającego, w Morges pod Lozanną, wybitnego polityka,

działacza społecznego i sławnego pianistę. Opis tego wydarzenia Onoszko zamieścił w „Kurierze Warszawskim” z dnia 22 sierpnia 1937 r. Oto fragment tego artykułu:

„Kiedy mieliśmy zamiar lądować w Lozannie, jeden z moich towarzyszy powiedział: *pod Lozanną mieszka Paderewski*. Nic też dziwnego, że postanowiliśmy od razu odnaleźć willę Wielkiego Rodaka i ewentualnie sfotografować z powietrza (...). Co do położenia willi, to jeden z nas wiedział, że jest koło Morges, drugi, że jest otoczona dużym parkiem, trzeci, że leży nad jeziorem. Z tymi wiadomościami zamiast lądować w Lozannie dodaliśmy gazu i poleciliśmy do Morges (...). Przelatujemy koło domu. Chyba tu, a możeby tak wylądować i spytać się (...). Tymczasem dookoła maszyny pełno osób (...). Pytamy o Paderewskiego – mieszka tu obok w willi, nad którą ostatnio krążyliśmy. Stamtąd też jedzie samochód. Sekretarz Paderewskiego wita się z nami i zaprasza (...). Zostajemy przedstawieni Paderewskiemu, przepraszamy



Aleksander Onoszko – trzeci z prawej – wśród kolegów w Anglii



Wizyta polskich pilotów u Ignacego Paderewskiego, rok 1937

za niezapowiedzianą wizytę. Wspólnie siadamy do śniadania. Paderewski i wszyscy bardzo żywo interesują się lotnictwem i udziałem Polaków w Zurychu. Dziwią się, czemu tak rzadko się zdarza, aby do Szwajcarii nasze samoloty zawitały (...). Po śniadaniu proszę Paderewskiego o wspólną fotografię. Paderewski mimo swego wieku wygląda doskonale, co dzień od czterech do pięciu godzin spędza przy fortepianie. Otoczony jest wielką troską i szacunkiem domowników. Zresztą, jak stwierdziliśmy potem, zna go cała okolica i Lozanna, każde dziecko umie określić gdzie mieszka i jak wygląda (...).

Paderewski gotował się do wyjazdu do Lozanny i my też nie przedłużaliśmy naszego pobytu. Pożegnał nas słowami: *Dziękuję panom za miłą rozmowę i pierwszą wizytę samolotem.*

W tym samym roku Onoszko stał się obiektem podziwu polskich gazet dzięki uratowaniu życia chorej na nowotwór przysadki mózgowej pacjentki, której operacja ze względu na remont kliniki uniwersyteckiej nie mogła

odbyć się w kraju. Po 10-godzinnym locie nowym sanitarnym samolotem RWD-13 kobieta dotarła do Francuskiego Centrum Medycyny i Chirurgii w Paryżu. Tam „dzielny pilot i znakomity chirurg podali sobie ręce ratując życie ludzkie”².

Kariera wojskowa Aleksandra po ukończeniu szkoły podchorążych przebiegała zgodnie z zasadami przyjętymi w polskich siłach lotniczych. W 1935 został mianowany na stopień podporucznika (ze starszeństwem od 1 stycznia 1934 r. i 68. lokatą w korpusie oficerów rezerwy aeronautyki), a następnie na stopień porucznika ze starszeństwem od 1 stycznia 1938 r. i 21. lokatą w korpusie oficerów rezerwy³. W kampanii wrześniowej Aleksander Onoszko nie brał bezpośredniego udziału i nie ewakuował się wraz z personelem LOT-u. W grudniu 1939 r. przedostał się przez Słowację, Węgry i Jugosławię do

2 Dziennik Poznański, nr 153, 7 lipiec 2037.

3 Ryszard Rybka R., Stepan K. *Awanse oficerskie w Wojsku Polskim 1935-1939*. Kraków: Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, 2004. →



Dom Onoszków przy ul. Kieleckiej 16 w Warszawie

Francji, gdzie wstąpił do polskiego lotnictwa wojskowego w bazie Lyon-Bron jako instruktor samolotów dwusilnikowych. Po ataku niemieckim na Francję ewakuowano jednostkę drogą morską, przez Gibraltar do Anglii. Tam Onoszko w sierpniu 1940 roku rozpoczął służbę w 304 Dywizjonie Bombowym im. Ziemi Śląskiej jako pilot i instruktor lotniczy. Dywizjon uczestniczył w nalotach nocnych na niemieckie miasta (m.in. na Hamburg, Kolonię, Bremę, Emden, Essen, Mannheim, Rostock i Szczecin) oraz niszczył niemiecką infrastrukturę w portach na terenie okupowanej Francji. Na początku 1942 r. wzmocniono intensywność działań, ponosząc jednak duże straty w ludziach i sprzęcie; tylko w kwietniu utracono 6 załóg, których nie można było uzupełnić. Ogółem Dywizjon wykonał 488 misji bojowych w czasie 2481 godzin, zrzucając około 800 ton bomb i tracąc 102 lotników poległych lub rannych oraz 35 wziętych do niewoli.

W tej krytycznej sytuacji w maju 1942 r. zdecydowano o włączeniu Dywizjonu w skład tzw. Grupy Dowództwa Obrony Wybrzeża (*RAF Coastal Command*). Stacjonował odtąd w bazie na wyspach Hebrydach, następnie przeniesiony został do Południowej Walii. Głównym zadaniem Dywizjonu w składzie nowej formacji było patrolowanie akwenów morskich i niszczenie niemieckich łodzi podwodnych. Jednostka wciąż jednak brała udział w nalotach, m.in. w czerwcu 1942 r. w wielkim nalocie 1000 samolotów na Bremę.

W czasie służby w tych jednostkach Aleksander Onoszko wykonał łącznie 43 loty bojowe na samolotach *Vickers Wellington*. Następnie odkomenderowany został do tzw. OTU (*Operational Training Unit*) pełniąc w stopniu kapitana obowiązki dowódcy Eskadry Szkolnej. Służył również w dywizjonach ochrony wybrzeża oraz w 461 Dywizjonie Australijskim, gdzie zapoznał się z pilotażem wodnosamolotów *Sunderland*. W 1943 r. Onoszko odkomenderowany został do brytyjskich transatlantyckich

Linii BOAC, gdzie pracował do 1948 roku. Wykonał za sterami samolotów B-24 11 lotów przez Atlantyk. Latał też na samolotach transportowych DC-3. W 1944 r. awansowany został do stopnia majora. W późniejszych latach obsługiwał linie *Anglia-Lizbona* i trasy położone w Afryce. W 1949 objął stanowisko przedstawiciela Linii na kraje Ameryki Południowej. Podsumowując karierę lotniczą Aleksandra Onoszki można w przybliżeniu ocenić, że latał na 60 typach samolotów sportowych, wojskowych, transportowych i komunikacyjnych.

Tuż po wojnie Onoszko przebywał w Londynie, dokąd udało mu się sprowadzić żonę. Do 1953 roku mieszkał w Wielkiej Brytanii, a następnie osiedlił się w Kanadzie. Miał dwoje dzieci: córki Martynę i Elżbietę. W Ameryce Onoszko zaczął intensywnie doksztalcać się i realizować nową pasję – oczywiście, związaną z lotnictwem. Była to fotografia lotnicza i fotogrametria, pilot opanował jednak również tajniki pracy laboratoryjnej związanej z obróbką materiałów fotograficznych. Dzięki znajomości tej dziedziny od 1953 r. Onoszko realizował prace na kilku kontynentach, wykonując zdjęcia potrzebne do opracowywania map, stosowanych m.in. do celów militarnych, ale także map drzewostanu niezbędnych dla potrzeb gospodarki leśnej. Liczne podróże odbywane w związku z obowiązkami służbowymi wzbudziły w Onoszce pasję fotografowania nie tylko lotniczego; został cenionym fotografikiem przyrodniczym, dokumentującym piękno krajobrazu i świata zwierząt. Część jego dorobku z tej dziedziny – filmy poświęcone przyrodzie wyspy Borneo – autor przekazał do Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Jeszcze w końcu lat 30. Aleksander napisał dwa podręczniki lotnicze: *Wiraż na ślepo* (1938) i *Latanie na przyrządy przy użyciu pomocy radiowych*. Niestety, do druku drugiej książki nie doszło ze względu na wybuch wojny. Po 1945 r. w prasie polonijnej, argentyńskiej i kanadyjskiej Onoszko opublikował wiele reportaży, artykułów podróżniczych i wspomnień. Był także autorem niezmiernie interesującej i popularnej wśród miłośników polskiego lotnictwa książki wspomnieniowej *Mimo wszystko latać*⁴.

Za swe zasługi Aleksander Onoszko odznaczony został m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu *Virtuti Militari*, czterokrotnie Krzyżem *Walecznych* oraz *Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami*.

Zmarł w Toronto 8 lipca 1994. Spoczywa wraz z małżonką w grobie rodzinnym umieszczonym w murze kwatery 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie (kwatery C30-K1-III-10).

WOJCIECH CZARNIAWSKI, LUDMIŁA WOŁOZCZKO

⁴ Onoszko A. *Mimo wszystko latać*, wyd. Agencja Lotnicza Altair, str. 140, Warszawa, 1993.

Nowy sukces samolotów R. W. D.

Chora w ciągu 10 godzin dostarczona została maszyną sanitarną z Warszawy do Paryża

Lotnictwo polskie poszczycić się może ponownie wyczynem dzielności pilota i doskonałości samolotu.

Przed kilku dniami prof. dr Orzechowski podczas badania żony jednego z lotników stwierdził u niej guz na mózgu, który trzeba było prawie natychmiast operować, gdy tymczasem klinika uniwersytecka akurat remontowała salę operacyjną.

Dowiedziawszy się o tym znany pilot Onoszko, „oblatywacz“ aparatów RWD, zaoferował się przewieźć chorą do Paryża, ponieważ poza Warszawą tego rodzaju operacje można przeprowadzić jedynie w Sztokholmie lub Paryżu.

Lotu Warszawa — Paryż pilot Onoszko dokonał na nowym samolocie sanitarnym RWD13 w ciągu 10-ciu godzin pomimo bardzo trudnych warunków. Wystartowawszy o godz. 11-ej w nocy, leciał pełne 4 godziny do Berlina spowodu silnego wiatru zachodniego, przy czym musiał mijać strefy objęte nowym niemieckim zakazem przelotu.

W Berlinie chorej nie ruszano z samolotu, ponieważ zbiorniki w tym samolocie są wmontowane w skrzydła, dzięki czemu można nabrać benzyny nie otwierając kabin. W dwie godziny samolot osiągnął Dusseldorf, po 3-ch godzinach lotu dotarł do lotniska paryskiego Le Bourget. Stąd jednak jest dość daleko do Paryża, wobec czego przewieziono chorą na jeszcze bliższe lotnisko w Villancoubly.

Chora zniosła całą drogę bardzo dobrze. Samolot zaopatrzony w silnik P. Z. Inż. „Major“, działał bez zarzutu. Najbardziej niebezpieczne dla chorej były wstrząsy przy lądowaniu. Ponieważ jednak pilot Onoszko był o tym uprzedzony, podchodził do lądowania niezwykle ostrożnie, tak że chorej podróż ta nie zaszkodziła zupełnie.

Operacji podjął się prof. Vincent w klinice „Centre Française de Medecine et de Chirurgie“. Diagnoza profesora Vincent zgo dna była z diagnozą prof. Orzechowskiego. Badanie stwierdziło mianowicie guz na przysadce mózgowej. Operacja udała się całkowicie, oczywiście dzięki błyskawicznemu dostarczeniu chorej na stół operacyjny przy pomocy samolotu. Dzielny pilot i znakomity chirurg podali sobie ręce ratując życie ludzkie.

Jedna godzina w perspektywie wydarzeń świata

Jedna godzina w życiu jednego człowieka częstokroć przynosi tyle wydarzeń, czy zmian, ile minut liczy, a cóż dopiero mówić, gdy weźmiemy pod uwagę jedną godzinę w perspektywie całego świata.

Według ostatnich danych statystycznych w ciągu godziny na świecie rodzi się 5.440 dzieci i umiera 4.630 osób; 1.200 par wstępuje w związki małżeńskie, a 85 par rozwodzi się. Jedna godzina pociąga za sobą śmierć 15 osób, ginących od noża lub kuli i to tylko w państwach „cywilizowanych“. Przestępczości z „dzikich“ krajów nie mamy, z powodu braku odpowiedniej statystyki o takich wypadkach. W ciągu jednej godziny przerabia się na tkaniny 10.000 centnarów bawełny i 3.000 centnarów wełny, produkuje się 99.600 ton cukru, z których w ciągu godziny zjadamy 98.000 ton. Przerabia się 176.000 ton tytoniu na papierosy i cygara, a w 1 godzinę ludzkość wypala tytoniu i wyrobów tytoniowych za 1½ miliona dolarów. Wypija się 1½ miliona litrów wina, około półtora miliona litrów piwa, przy najmniej 50 milionów filiżanek kawy. Zjada się 3,6 milionów ton mięsa, 30 milionów bochenków chleba i 2,4 milionów sztuk jaj.

W ciągu godziny wydobywa się z wnętrza ziemi 122.000 ton węgla kamiennego. Na powierzchni ziemi zabija się 35.000 zwierząt. Wydobywa się 156.420 beczek nafty, z których ponad ⅓ zostaje przetworzona na benzynę do samochodów. W ciągu 60 minut zakłady automobilowe wypuszczają 700 nowych samochodów.

W ciągu jednej godziny nadaje się 114 000 telegramów. Na sprawy handlowe przypada zaledwie połowa, deprese są natury często prywatnej. W tymże czasie poczta przesyła 1.141,6 mil. listów i kart, których porto wynosi 25 milionów dolarów.

BERNARD
NOWAK

Prawdziwe dzieje Judasza

CZEŚĆ PIERWSZA

...TEN ANIOŁ, KTÓRY STAŁ SIĘ
DIABŁEM,
JEST ZE MNĄ SZCZEGÓLNIIE
ZAPRZYJAŻNIONY.
CZĘSTO CZYTAMY BIBLIĘ W JEJ
PIEKIELNYM
CZY TEŻ DIABOLICZNYM
ZNACZENIU. KTÓRE POZNA ŚWIAT.
JEŚLI NA NIE ZASŁUŻY.
William Blake

FRAGMENT DZIEWIĄTY

**O tym, jak kedesza Tamar wypędziła
zelotę Barabasza ze swego łóża**

Zeloci rozeszli się, w domu kedeszy pozostał tylko Barabasza. Siedzieli przy ciągle zastawionym stole, w skąpym świetle migocącego kaganka. Milczeli. Mężczyzna skubał okrawek placka, kobieta patrzyła przed siebie.

Teraz, gdy jeden za drugim poznawali, serce Barabasza wypełnił wymieszany z rezygnacją smutek. Oto sprzysiężenie rozsypywało się niczym budowla z piasku, otoczona piaskowymi murami. Spisek zakładany z pomocą faryzeuszy, to prawda, za ich denary, ale budowany przez niego. Zawsze myślał, że rebelianci są jego żołnierzami, teraz zaś zdał sobie sprawę, że byli jeszcze kimś więcej. To była jego rodzina. Jedyna, jaką miał. Mówił w ten wieczór do bojowników jak do uczniów a zarazem przyjaciół



José Ferraz de Almeida Júnior, *Wyrzut sumienia Judasza*, 209 × 163, 1880,
Museu Nacional de Belas Artes, Rio de Janeiro, Brazil

– i rozsyłał niczym uczniów. Znajdował słowa, których dawno był zapomniawszy. Słał na cztery strony nie jak emisariuszy, lecz siewca rzucający ziarno, który wie, że nie od niego zależy, gdzie padnie oraz co z niego wyrośnie. Pójdą i rozproszą się niczym owce bez pasterza, jeśli zaś kiedykolwiek wrócą, to którzy – i jakimi wrócą – czy takimi, którzy na nowo zechcą podjąć obronę świętej ziemi Abrahama, Izaaka i Jakuba? Tej ziemi, do której w tyleż bezbrzeżnym co niezasłużonym akcie miłowania wezwał onegdaj dostojnych patriarchów Nieogarniony, a której oni stali się niegodnymi dziedzicami.

„Dobrze, że pomyślałem o Nachacie. Bo kto, jeśli mi się coś stanie, weźmie ten ciężar? Zcharia i bez ciężaru chyli się ku ziemi.”

Oto rozproszy się gromadka, pójdą między obce narody i będą musieli sobie radzić. Wyrzucał sobie, że nie przewidział tej sytuacji – choć jako przywódca powinien. Nie przygotował ich na taką drogę, żadnego z zelotów – i w ostatniej chwili, po niewczasie, pozostawało mu żałować, jak wiele z tego, co powinien był przekazać, nie przekazał. Tego wieczoru starał się jak umiał, używając słów, o których przebywając między nimi zapomniawszy, ale jedna mowa to nazbyt skąpy posiew. Nie do każdego uszu trafi, zaś jeśli, nikt nie może zapewnić, czy dostawszy się jednym nie wyleci drugim niczym plewy na wiatr.

Jak dadzą sobie radę Niemówiący od Urodzenia? Olbrzymi jak goliaci i silni jak tamten, byli niekiedy jak dzieci. Nie zdążył im napomknąć, żeby trzymali się razem, teraz pozostawała tylko nadzieja, że właśnie tak będzie. Ufał, że bracia sami wiedzą, a jeszcze w większym stopniu prawem bliźniaków czują, że nie powinni się rozdzielać.

Zbliżał się świt, kaganek chybotął się i skwierczał. Tamar siedziała bez słowa, w jej oczach przyczało się czekanie. Powinien się zbierać, musiał jednak porozmawiać z kedeszą o Zuzannie. To była dla niego ostatnia, zaś w porządku serca pierwsza ze spraw. Był zmuszony ją prosić, by wzięła dziewczynę pod opiekę na czas, w którym go w Jeruzalem nie będzie. Miał nadzieję, że się Tamar na to zgodzi. Nie było innego miejsca ani domu, gdzie mogłaby Zuzanna pozostać. Ten też nie był rozwiązaniem, jakiego by sobie życzył – jakiego przede wszystkim życzył Zuzannie, miękkiej ciągle jak wosk i słabej słabością lodygi, na której unosi się wodna lilia. On był dotąd jej bezpieczeństwem, co jednak stanie się, gdy młodziutki pęd znajdzie się w rękach kedeszki? Najgorsze, co mogłoby się przydarzyć, to że zamiast ją chronić jako lilię, zajmie się chutliwa pandokita wpajaniem dziewczynie zasad, którymi sama się kieruje. Po prawdzie nie musi nawet czegokolwiek wpajać, wystarczy, że będzie dla niej stałym przykładem, a przecież innego nie będzie Zuzanna

miała. Albo zdarzy się jeszcze inaczej. Zazdrosna o młodszą, przemieni Tamar z lubością stręczycielki bezbronny dziewczęcy kwiat w dziewczkę. Skaże na zmarnowanie. Na początek będzie tylko posługiwać odwiedzającym kedeszę przy stole, potem przyuczy ją do pozostałych usług. Tak może się zdarzyć, jednak nie widział innego rozwiązania. Nie było w całym Jeruzalem miejsca, do którego mógłby oblubienicę ze spokojem oddać. Takie myśli przepełniały jego duszę, zaś świadomość, że postawił dziewczynę w godnym ubolewania położeniu, przyprawiała go o przygnębienie.

Mogłaby Zuzanna powrócić do ojca, ten zamysł też błąkał się Barabaszowi w myślach jako wyjście. Zapewne przepełniony goryczą Chilkiasz przyjąłby marnotrawną córkę z otwartymi ramionami, czy jednak starczy na to dziewczynie odwagi? Bo jeśli ją ojciec i matka przytulą, to nie uchronią przed pręgiem spojrzeń domowników i służby, pod którym niechybnie się znajdzie.

Miał Barabasz i następny powód do zgryzoty. Dobrze wiedział, że jeżeli odważy się Zuzanna zjawić w domu ojca, on sam utraci ją na zawsze. Bo wtedy prędzej czy później stanie się to, o czym wiele razy rozmawiali – i z czego się chętnie śmiali, także tego wieczora. Ojciec odda jego oblubienicę w starcze ręce bogatego, przepełnionego poządliwością Joakima, zaś ten dopilnuje, by żadne drzwi ogrodu nie pozostawały niedomknięte.

– Idź już – powiedziała Tamar. Jej dłonie opierały się o blat, oczy spoglądały w stronę Barabasza. – Twoja Dalila czeka.

– Wystarczy i dla niej – odrzekł, wyrwany z tamtych myśli. Potem, wskazując na leżący na blacie woreczek, rzekł: – To pieniądze dla ciebie. – I dodał: – Dolej wina.

Kobieta napełniła kubek i przesunęła go w stronę Barabasza. Napój okazał się kwaskowaty i cierpki. „Lepsze zachowuje dla rzymian...”, pomyślał zelota, przetykając.

– Nalej sobie też.

– Już nie.

– Usiądź.

Usiadła za stołem. Jej palce sięgnęły po placek, odłamały kęs i przeniosły do ust.

– Koło mnie.

– Po co?

– Usiądź.

– A co z pieskiem? – Będzie patrzył?

Barabasz spojrział w stronę szczenięcia, które rozłożyło się przy palenisku.

– Niech patrzy – zaśmiał się zelota. – Położył dłoń na ręce Tamar, przyciągnął je do siebie.

– Poczekaj – powiedziała kobieta i wstała.

Wstała i poszła do komory. Wróciła w przezroczyściej podomce. Podeszła do zeloty, objęła go za głowę. Jej ciało →

pachniało wonnościami arabskiego specyfiku, silnymi tak, że Barabasz omalże kichnął. „Wie, co lubię, suka...”

– Lubię twoje kudły, Bar... – szepnęła. – Są jak zapach bryzy.

– Ładnie to powiedziałaś.

– Bar...

– Tak?

– Ty wiesz...

– Wiem?

– A nie wiesz?

– Wiem.

Potem zaprowadził ją do łoża i obcował z nią jak mąż z żoną.

Potem kedessa wstała, zarzuciła na ramiona różowe nakrycie i przeszła po omacku do spiżarni. Słyszał stuknięcie, jedno i drugie, wróciła niosąc lampę. Trzy płomyki z trzech knotów rozjaśniały jej twarz. Była uśmiechnięta, światło lampki spływało z obojczyków na piersi. Były to piersi dojrzalej kobiety, ciężkie i pełne jak grona, które czekają już na rękę winiarza.

Postawiła lampkę obok łoża.

– Pójdiesz do Egiptu? – spytała.

– Czemu tak myślisz?

Kobieta uśmiechała się, gładząc zelotę po szyi.

– Słyszałam rozmowę z Abdonem.

– Abdon chce za dużo wiedzieć.

– W Aleksandrii mieszka wielu braci.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, mów.

– Znam miejsce, gdzie mógłbyś się ukryć.

– Tak?

– Tu, w Jeruzalem.

– Jeśli byś mnie odwiedzała...

Tamar zaśmiała się.

– Znam kryjówkę.

– Bracia Kajfy też znają? – spytał. – Mogą ukryć, potem wydać.

– Tak o mnie myślisz?

– Nie, Tamar. Ty chronisz Jeruzalem lepiej niż sikkar.

– Ładnie to powiedziałaś.

– Zasługujesz na ładne słowa. Jesteś nie tylko piękna, ale i mądra. Szczęśliwy, kto posmakuje miąższ twojego granatu.

Tamar zdumiała się, potem zaśmiała.

– No, no... Kto cię uczy układania zdań? Przystąpiłeś do uczonych w piśmie?

Barabasz nie odpowiedział.

– Wiesz, jak nazywają mnie Rzymianie? – dopytywała dalej kobieta.

– Jak?

– Pandokita. Albo wesoła westalka.

– Bo bardzo gościnna.

– Jestem.

– Mają u ciebie wygodę.

– Bez nich nie miałabym z czego żyć.

– Masz posag po Tytusie.

– To pieniądze Tytusa – obruszyła się.

– Tytus nie żyje.

– Żyje. Widziano go w Rzymie.

– Znalaziono go przy drodze.

– To nie on.

– On. To Tytus.

– Aha.

– Gdyby żył, odnalazłby się.

– Aha.

– Jesteś wolna, możesz przyjmować wielu – powtórzył.

– Mogę, kogo zechcę.

W izbie zaległa cisza.

– Nalej wina – powiedział Barabasz.

Kobieta napełniła kubki.

– Bar...

– Tak?

– Ty wiesz, że pragnę...

– Czego?

– Pragnę tylko...

– Tak? – zaśmiał się.

– Ten twój śmiech...

– Lubię, jak się ze mną zbliżasz.

– A wiesz, czemu?

– Bo lubisz. To twoje powołanie.

Tamar odwróciła się do niego plecami. Chwilę milczała, potem rzekła:

– Zbliżam się ze wszystkimi. Powołaniem kobiety jest być świętą kurwą.

– Wiem.

– Gorliwy Nachat nazywa mnie królową królowych – dodała.

– To lepsze, niżby chodził do oślic.

– Jeśli zażądam, przyniesie mi sto napletków Filistynów.

– Niech im jeszcze poodgryza uszy.

Uśmiechnęła się i dodała:

– Zbliżam się też z legionistami, nie dalej jak wczoraj był tu młody setnik.

Barabasz podniósł się z posłania.

– Ubolewasz, że skończyła się twoja władza, prawda? Rozumiem... Dawał ci posłuch nawet Zcharia, teraz nie masz nikogo, kto podda się twojej zwierzchności. Tylko ta smarkata, którą wykradłeś ojcu. Której ustami zaspokajasz chuć.

Zdawało się, że podniesie na nią rękę. Opanował się wszakże, zaś dłoń, nim zdążyła uderzyć, sięgnęła po płaszcz.

– Wynoś się – powiedziała cicho, szeptem syczącego węża.

Drzwi się domknęły, Barabaszowe kroki zaczęły się oddalać. Wtedy Tamar wstała z posłania, wzięła ze stołu na pół ogryzioną gic i, otworzywszy na oścież drzwi, z rozmachem rzuciła gnat w ciemność.

– Wynoś się do swojej oślicy, satyrze! – zawołała na cały głos. Piesek, który kręcił się koło stołu, wyskoczył za ością, nie zważając na deszcz. „A idźże i ty, choćby do diabła”, pomyślała, złoścąc się i na niego. Po czym zarygłowała drzwi.

Chwilę chodziła po izbie, przemierzając ją wszerz, niczym w nagle podjętym, wypełnionym chaosem, tańcu. Chybotliwe światło kaganka zdawało się tańczyć razem z nią. Znalazłszy się blisko stołu, jednym dmuchnięciem zgasła wszystkie trzy płomyki.

FRAGMENT DZIESIĄTY

O tym, jak Stary Zcharia udał się na poszukiwanie lewity Malchosa.

Nim Zcharia dotarł na plac, krążył po ulicach Jeruzalem, rozglądając się, czy nikt za nim nie podąża. Mijane patrole nie zwracały na starca uwagi. W zniszczonym płaszczu wyglądał jak jeden z nazirejczyków, których wielu kręciło się po dzielnicy. Koło świątyni wmieszał się w tłum zdążających na modły pielgrzymów.

– Znasz, bracie, sługę Malchosa? – spytał przechodzącego lewitę.

– Nie znam, ojcze.

Zapytał następnego:

– Bracie, znasz sługę Malchosa?

Zagadnięty zatrzymał się.

– Może znam... – rzekł z ociąganiem. – A kto pyta?

– Nazywają mnie Zcharia. Stary Zcharia. Przekaż mu, że czekam – dodał i wcisnął w dłoń lewity denara.

Ten zerknął na monetę.

– Niebawem go znajdę.

Zcharia usiadł na stopniu. Powieki kleiły mu się i z trudem otwierały, coraz bardziej odczuwał trudy niedospanej nocy. Podpierając brodę kufakiem, przyglądał się kłębiącemu wokół tarasu tłumowi. Zdawać się mogło, że zeszło się tu całe Jeruzalem. Próbował rozumieć rozmawiających, lecz w panującym zgiełku trudno było cokolwiek usłyszeć. Zaraz obok wyklócali się trzej uczeni w Piśmie, mówiący jednocześnie i szybko, ich słowa nakładały się na siebie jak brzęczenie pszczół. Choć dobrze znał to miejsce, nigdy nie mógł się do niego przyzwyczaić. To było dla niego zbyt wiele, zaś teraz, gdy się zestarzał, wręcz nie do wytrzymania. Z nieodległego placu docierały do niego nawoływania

handlarzy synogarlic, gruchało i ćwierkało ptactwo, tam i sam kręcili się ozdrowieńcy zachwalający maści, nad ich głowami bankierzy wykrzykiwali kursy czystych monet. Ponad całym harmidrem płynęło do niego pobekiwanie ofiarnych zwierząt.

Zelota czekał, powieki opadały mu coraz częściej. Monotonny tumult dziedzińca owijał mu głowę niczym kokon. Gdy się ocknął, słońce przesunęło się za wieżę Antonia. Obudziła starca mucha, a razem z nią zapach wnętrzości i swąd palonego tłuszczu. „Przyleciała z rzeźni” – pomyślał. Wtedy otrząsnął się zupełnie. Malchosa nigdzie nie było. Zcharia zdał sobie sprawę, że lewita go oszukał. Wstał ze schodka i ruszył w stronę domu. Postanowił wrócić na plac po południu. Po kilku krokach zatrzymał się. Wówczas spostrzegł lewitę.

– Malchosie – zawołał stłumionym głosem, dając znak ręką. Tamten zatrzymał się. Gdy się zrównali, Zcharia spytał: – Ty, bracie, jesteś Malchos?

Lewita zmierzył go od stóp do głów.

– A ktoś ty, bo cię nie znam.

– Nazywają mnie Zcharia, szukam cię od rana, mam do ciebie sprawę.

– Do mnie?

– Do ciebie, ale dla uszu arcykapłana. – rzekł. Po czym, zniżając głos: – Przekaż kohenowi, że Barabasz wyruszy z miasta tej nocy.

Malchos zdziwił się jeszcze bardziej.

– To taka wielka wiadomość?

– Nie wielka, ale obiecałem.

– Dobrze, uczynię jak prosisz. – Sługa świątyni rozejrzał się, po czym i on zniżył głos. – To... ten Barabasz? – zapytał szeptem.

– Tenże.

– A ciebie jak nazywają?

– Zcharia. Stary Zcharia.

FRAGMENT JEDENASTY

Opowiemy o tym, jak oblubieniec Barabasz wrócił do oblubienicy Zuzanny oraz co z tego wynikło.

Było widno i pierwsi robotnicy spieszyli ulicami, gdy Barabasz wsunął się do mieszkania. Stuknęły drzwi, Zuzanna ocknęła się.

– Jesteś... – szepnęła przecierając oczy. Usiadła na posłaniu. Dziewczęce piersi rozbiegły się na boki niczym dwie kozice. W odruchu młodej kobietki przykryła je włosami. – Dobrze, że jesteś. Spałam...

Barabasz zzuwał przemoczone do ostatniego rzemienia sandały.

– Przyjdź do mnie, Bar.

Podszedł z ociąganiem i pochylił się nad dziewczyną. Pierwsze, co poczuła, było piżmowym zapachem innej kobiety. Przymknęła oczy i zacisnęła zęby.

– Ładnie pachniesz – odezwał się Barabasz.

– To nard. Twój ulubiony.

– Poznałem. Czuję także zapach mojego ulubionego wina.

– Przez całą noc rozmawiałam z tobą... – szepnęła i oparła głowę o jego pierś.

– O czym, Zuzanno?

– Mówiłam o naszej miłości. O tym, jak cię miłuję.

I jak ty miłujesz mnie – dodała.

– Miłuję, Zuzanno.

– Jesteś moim panem panów.

– Tak, Zuzanno.

Ręka dziewczyny wsunęła się pod tunikę zeloty.

– Przytul mnie.

Objął jej ramiona.

– Mocno.

Przyciągnął ją do siebie.

– Mocniej – szepnęła. – Aż zaboli.

Barabasz otoczył dziewczynę ramionami. Zuzanna przyłgnęła do niego.

– Czujesz?...

– Co, Zuzanno?...

– No... jak się otwieram. Nie czujesz, jak rozchylają się płatki mojego kwiatu?

– Płatki kwiatu?

Gładził dłonią jej brzusek. Dziewczyna uśmiechała się.

– Lubisz go?

– Kogo, Zuzanno?

– Mój brzusek. Kobieta powinna mieć brzusek.

– Tak – odpowiedział Barabasz i pocałował ją w czoło. Dziewczyna podniosła głowę, a dłoń wsunęła pod pod jego przepaskę.

– Uda twoje...

– Tak, Zuzanno?

– ...jak kolumny z marmuru.

Uśmiechnął się.

– A owoc twojego żywota słodki... – odpowiedział jak echo.

Zdjął z bioder przepaskę i wsunął się pod koc. Woń nardu, wymieszana z kwiatem łona, wypełniała namiot. Zapach kwiatu był świeży i silny.

– Był tu ktoś? – zapytał Barabasz, wychylając głowę spod koca.

– Tylko ja.

– Ty?

– Tak.

– To dlaczego...?

– Ja sama... – powiedziała, a jej policzki pokrył rumieniec.

– Ach!... – zachnął się. Potem nastroszył brwi, jakby próbował się złościć.

– Tak długo cię nie było... – przepraszała, zawstydzona.

– Aż tak długo, że musiałaś?

– Tak długo, Bar.

– Co robiłaś?

– Myślałam o tobie.

– I co jeszcze?

– Nie gniewaj się.

– Nie gniewam się, Zuzanno. Co jeszcze robiłaś?

– Wykapałam się i czekałam na ciebie.

– I co potem?

– Myślałam o tobie.

– O tobie?

– O tobie, Bar.

– Co myślałaś?

– Myślałam o nas. Że jesteśmy oblubieńcami. Śpiewałam...

– Śpiewałaś?

– Tak. Różne pieśni.

– Pieśni?

– Stare, weselne. O oblubieńcach.

– Głośno?

– Chyba nie.

– Chyba?

– Niegłośno.

– Wypiłaś pół dzbana.

– Bo cię nie było.

Barabasz wsunął się na powrót pod koc.

– Czujesz? – szepnęła dziewczyna.

– Co, Zuzanno?

– Nard.

– Dużo go zużyłaś.

– Bar...

– Tak, Zuzanno?

– Nie mów już o nardzie, mój panie.

– Ładnie pachniesz – poprawił się.

– Jak ładnie?

– Jak zapach porannej fali o wschodzie słońca.

– Pięknie to nazwał mój oblubieniec...

Barabasz przymknął oczy.

– Bar, powiedz...

– Tak?

– Dotykałeś się kiedyś z Rzymianką?

– Nie kalam nimi rąk.

– To dobrze. Bo się bałam...

– Niemądra jesteś.

– Chcę być twoją Sulamitką, a ty bądź Salomonem – powiedziała dziewczyna na jednym oddechu.

– Tak, Sulamitko. Będzie, jak chcesz.
 – Królu mój.
 Drgnęła, gdy jego dłoń dotarła do pagórka.
 – Ostrożnie, królu. Słyszysz z pardesu, że twój aprión jest dla mnie za duży.

„Źródło radości i zdroj wody żywej – przemknęło ob-
 lubieńcowi przez głowę. – Która tak mówi? Rzymianka?
 Nie, to Tamar”.

– Mój umiłowany należy do mnie, a ja do niego –
 szepnęła dziewczyna. Westchnęła i ułożyła uda w ocze-
 kiwaniu. – Pragnę już, mój najmilszy, wspiąć się na two-
 ją palmę...

– Odwróć się, Zuzo, chcę cię widzieć.

Dziewczyna obróciła się.

– Uważaj, proszę...

– Piękna jesteś...

Potem pasterz przechadzał się po wzgórzach Libanu,
 zaś królestwo Salomona stawało się jednym.

FRAGMENT DWUNASTY

**Czytelnik poznaje rabbana Gamaliela, z którym bardzo
 lubi rozmawiać archiereus Kajfasz.**

– Ty go przecież znasz, Gamalielu...

Słońce stało na wprost okien, promienie padały na
 posadzkę komnaty, w której kończyli śniadanie. Rab-
 ban Gamaliel zwany Roztropnym (złośliwi mówili, że
 jest tylko rozmowny) patrzył spokojnie w twarz ka-
 płana. Wiedział, że z ludźmi Sanhedrynu, szczególnie
 z Kajfaszem, powinien zawsze mieć się na baczności,
 bowiem ich słowa bywają jak miękka wargą złośliwe-
 go wielbłąda.

Dotknął ręką poduszki, nawinał frędzle na palec i nie
 spiesząc się odpowiedział:

– Znałem go wiele lat temu. Nie wiem, kim jest dziś.

– Trzeba, aby go ktoś uprzedził – westchnął arcyka-
 płan. – Powinniśmy go zawrócić, to według ciała jeden
 z nas – dodał i zamilkł.

– Masz rację, Kajfo, według ciała jeden z nas – przy-
 wtórzył rabbi Gamaliel, po czym długo patrzył przed
 siebie.

Kajfasz milczał. Przyglądał się światłu na posadzce.

– Jeśli nie zdąży się go ostrzec – zaczął i znów zrobił
 przerwę – Herod zetnie mu głowę. Zrobi to tym rychlej,
 im większe rzesze będą przychodziły go słuchać.

Gamaliel milczał. Kapłan ciągnął dalej:

– Po co on poszedł do pogan? Nie są warci jego sło-
 wa. Poddają obrzezaniu ciało, ale nigdy duszę. – I dorzu-
 cił zdanie, które zabrzmiało jak wyrok: – Tłum, który nie
 zna Prawa, jest przeklęty.

– Tu, byśmy go uchronili... – Gamaliel rzucił krótkie
 spojrzenie. – Ale Perea jest daleko.

– Jeśli wystąpiłby przeciw Piłatowi, ten uwięzi go jesz-
 cze szybciej niż Herod. I – kapłan rozłożył ręce – nie bę-
 dziemy mogli nic zrobić. Prędyj czy później, tak się sta-
 nie, bo tacy zawsze tu przychodzą. – Zaśmiał się krótko
 i od razu spoważniał. – Znasz Prawo. Bluźnierców naka-
 zuje się kamienować. Jeśli zajdzie potrzeba, uczynimy to
 bez wahania.

Gamaliel zamyślił się.

– Byłeś kiedyś przy kamienowaniu, Kajfaszu?

Arcykapłan sięgnął po dzban.

– To mój obowiązek.

– Wiele razy?

– Musimy o tym rozmawiać? – zapytał, podając Gama-
 lielowi kielich z winem.

– W niewoli wielu jest przestępcami, a bardzo niedo-
 brze, gdy giną nasi ludzie.

– Najgorsze – westchnął arcykapłan – że nie tylko
 z ręki Rzymian. Rozumiesz, rabbi, że my także musimy
 być bezwzględni. Tak czasem musi być.

– Chcesz powiedzieć – podjął rabin – że byliśmy jak
 stado w okólniku, wokół którego krążą wilki, a teraz wilk
 jest w środku. – Zatrzymał się, zamyślił, potem mówił da-
 lej. – Nieraz dochodzisz do miejsca, w którym albo sprze-
 ciwiasz się literze Prawa, albo Rzymowi. Mamy dwóch
 panów i podwójne prawo.

– Pan jest jeden i On wskaże nam drogę – przerwał ar-
 cykapłan. Jednak Gamaliel mówił dalej tak, jakby tego
 nie słyszał.

– Lud jest mądry, co jednak głosić tym, którym nie zo-
 stał dany dar rozumienia? – Po czym dodał: – Nie sądzisz,
 że być może wyjściem jest dziś odstąpić od litery, a doło-
 żyć starań, aby lepiej rozumiał i przestrzegał samego du-
 cha Prawa? Pilnować tego, co głębsze. Co jest tam, gdzie
 niczyja z ziemskich władz nie sięga?

Teraz arcykapłan udawał, że nie rozumie albo postano-
 wił go pouczyć, bo gdy rabban kończył, rzekł:

– Masz w tym rację, rabbi. Trzeba wymagać przestrze-
 gania każdej litery. Więcej, każdej joty. Nie możemy po-
 zwolić sobie na fałszywy krok. Rzymianie natychmiast
 to wykorzystają. – Wypił łyk i spytał: – Jakim był wtedy,
 gdy go znałeś?

Rabbi zamyślił się.

– Był z nas najlepszy. Z całego bet midrasz. Hillel bar-
 dzo go lubił.

– To musiało być dla ciebie nieprzyjemne.

Gamaliel zbył uwagę milczeniem. Wziął ze stołu figę,
 sięgnął po kielich.

– Zawsze trzymał się na boku. Łatwo wybuchał. Dzi-
 siał widzę, że to było dziwne, bo najpierw bił się z kimś →

do upadłego, a potem modlił i płakał. Już wówczas chodził na pustynię. W dni postu można było policzyć mu żebra. – Znów wypił łyk wina. – Bardzo kochał matkę.

– Bo miała tylko jego?

Rabban przytaknął skinieniem głowy.

– Kiedyś, w przypiływie dobrego humoru Hillel powiedział, że będzie nowym Jakubem.

– I że – prychnął Kajfasz – odnowi oblicze Izraela?

– Tak – potwierdził Gamaliel. – My także śmialiśmy się. Dokuczaliśmy mu mówiąc, że on nie Jakub, a Ezaw. Był tak samo porośnięty, wstydił się przy nas rozbierać.

Usta Kajfasza znów rozciągnął uśmiech.

– Akurat to mu się udało...

Rabbi wydawał się być zdezorientowany.

– Został Ezawem – wyjaśnił Kajfasz. – Podobno wygląda jak nazirejczyk.

Gamaliel zamyślił się:

– Był inny – odezwał się bardziej do siebie, niż kapłana.

– Od Aleksandra też? – zaśmiał się Kajfasz.

– Aleksander tylko chce być inny, Sanhedryn posiada lepszych. A on się o to nie starał. Hillel zachęcał, by został uczonym w Piśmie. Widać pisana mu była ścieżka inna.

– Teraz – westchnął arcykapłan – czyni nad Jordanem chrzest. Dziwne są te jego kąpiele. Mówią o nim – Kajfasz nawet nie starał się ukryć kpiny – „Zanurzyciel”.

– Wielu za nim idzie.

Kajfasz pokiwał głową.

– Gdyby dotarł tutaj, mógłby to być dla wszystkich kłopot. Lepiej, jeśli przez najbliższe miesiące pozostanie w tym pogańskim Galil. Trzeba, ażeby ktoś mu to przekazał.

– Tacy jak Johanan – odrzekł Gamaliel – chcą głosić także w Jeruzalem – Wypowiedział te słowa i wstał. Kajfasz podniósł się także i powoli odprowadził gościa do wyjścia.

W drodze z pałacu rabban Gamaliel skierował kroki w uliczkę prowadzącą na bazar. Lubił robić zakupy sam. Były to jedne z nielicznych chwil, gdy mógł rozmawiać z ludźmi innego pokroju niż uczeni w Piśmie. Po śniadaniu z arcykapłanem miał też ochotę przygotować sobie prostą kolację. Kupił garść pieczonych pistacji i kilka ciasteczek z miodem. Kupiec o wyglądzie starej ryby patrzył na niego znużonym wzrokiem. Potem Gamaliel poszedł w zacieniony róg placu – tam, gdzie nubijscy kupcy sprzedawali zioła i przyprawy. Było to jedno z jego ulubionych miejsc. Mawiał, że chodzi tam, by wdychać zapachy dalekich krajów. Jego uwagę pochłaniało dziś jednak to, co usłyszał w pałacu. Kończył w myślach rozmowę z arcykapłanem. Był zły – wpiersz na niego, potem także na siebie.

„Czego on się spodziewa – złościł się, krążąc wśród stołów. – Aby ostrzegł Jana? Mają szpiegów i gońców,

a w Kwarnachum synagogę – nie mogą znaleźć kogoś, kto by do niego dotarł? Przecież nie wyślę któregoś z uczniów.

Czemu nie powiedziałem tego Kajfaszowi? I dlaczego udawałem, że nic o nim nie wiem – zastanawiał się, stojąc przed straganem pełnym mis z przyprawami. – Czemu chcę coś przed nim ukrywać? Czy to znaczy, że grozi mu coś także ze strony saduceuszy?” Nie był zadowolony ze swojego milczenia, a myśl, że może arcykapłan od dawna o wszystkim wie, wcale go nie uspokajała. „Jeśli wie, to tym gorzej”.

Już tam, w pałacu zrozumiał, że Kajfasz i ci z Sanhedrynu nie kiwną w sprawie Johanaana palcem. „Ta jego zatroskana mina... Był wręcz zmartwiony. Udaje, tylko udaje!... Już umywają ręce – myślał. – Chcą się go pozbyć rękami Heroda. Będą zadowoleni, gdy tak się stanie”.

Przekładał owoc do sakwy, gdy jego oczy natknęły się na idącego przez bazar Szaula ha Tarsi. Ten spostrzegł go także. Szli prosto na siebie, nie mogli się już wyminąć.

W tej samej chwili ktoś dotknął jego ramienia. Stuknął w nie kilka razy, bardzo lekko, jakby mimo natarczywości chciał pozostawać delikatny. Rabban Gamaliel odwrócił się i ujrzał przed sobą męża lat około trzydziestu. Jeśli sądzić z wyglądu, mógł być nazirejczykiem albo – jeśli powiodło mu się gorzej – włóczęgą.

– Kyrie – odezwał się mąż, jego ciepłe oczy uśmiechnęły się. – Kyrie, chodź ze mną. Koniec czasów jest bliski.

– A gdzie pójdziemy, bracie?

– Anioł objawił mi, gdym spał w Dolinie Gichon, byśmy tej nocy całą noc czuwali. Bo wnet przybędzie Pan Zastępów – mówił z pełnym życzliwości uśmiechem.

Nauczyciel ujął jego dłoń w swoje ręce, rozglądając się za Szaulem. Bordowa tunika młodego adepta faryzeuszy była już u wyjścia z bazaru.

– Dobrze, bracie, zaraz tam podążymy, wrócę tylko do domu po płaszcz. Jeśli możesz, poczekaj tu na mnie, dobrze? – zakończył rozmowę z natchnionym mężem. Ten skinął głową, a nauczyciel, uściśnawszy jego rękę, ruszył ku drugiemu z wyjść.

Nie lubił Szaula, choć ten należał do najzdolniejszych. Nie lubił go od pierwszego dnia, w którym młodzian pojawił się w jego korytarzu. Próbował to ukrywać, ale były to wysiłki daremne. Tamten wyczuwał to także. Ten drobny młodzieniec z przedwczesną łysiną i długą jak u starców brodą, z nieodłącznym zwojem pod pachą, miał w sobie coś odpychającego. Nie raziło go, że popisывał się wiedzą o greckich mędrkach, bo słuchał tego ciekaw, tym bardziej nie jego pamięć do midraszy, które przywoływał z wielką łatwością. Drażniły go długie wywody ucznia, a przede wszystkim to, że zestawiał słowa z różnych miejsc Tory w taki sposób, by wspierały jego z góry przyjęty wywód.

Myślał o nim często, bo był mu Szaul jak kamyczek uwierający w sandały. Jego zdolności nie stanowiły dla nauczyciela źródła dumy, lecz budziły niepokój. Drażniło Gamaliela jego podejście do świętych tekstów. Znał je Szaul ha Tarsi na wylot, zaś gdy o nich mówił, nie było w tym, co mówił, żadnych wątpliwości. On po prostu wiedział – i to wiedział wszystko. Prawie jakby dowiedział się jakimś sposobem, kim jest Przedwieczny. Wiedział, że ma rację i niecierpliwił się, gdy ktoś mu jej zbyt długo nie przyznawał. Niemal zmuszał, by ją przyznać. Z niecierpliwości miał mały krok do złośliwych uwag. Szybko stawał się Szaul zajadły, przez co dysputa zamieniała się w to, co jej nie przystoi. W walkę. „Chyba idzie do Kajfy, pomyślał. Dać takiemu miecz, to będzie ścinał.”

Rozważał słowa kohena, wypowiedziane z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. „Nie chce żadnych zmian. Ani on, ani pozostali. Nazwą je odstępstwem i szybciej będą kamienować niżli ustąpią. Miast otworzyć drzwi, zebrali takich jak Szaul, by tropić każdego, kto odważy się głosić inaczej. A ten zdaje się tylko na to czekać.”

Zamyślony, dotarł do miejsca, które zazwyczaj zwykł był omijać szerokim łukiem. „Święty fetor” – pomyślał, zerkając na stoły ze świeżo porąbanym mięsem. Zakaszłał. Duszny smród był dla niego nie do zniesienia. Krztusił się przy nim od dziecka. „Gdyby nie odór świętości, zostałbym kapłanem...” Niemal skulony przemknął dalej, jednak słodkawy wiatr roznosił fetor po całej okolicy. „Byłbym jednym z nich – myślał – i jak oni, stawiał strażę u bram Tory. Mógłbym udawać, że chodzi o Prawo. Rację miał Izajasz: to lud o nieczystych wargach.

Boją się. Ale to nie wszystko. Próżność. Zawsze próżność. Chodzi o to, by stać przy ołtarzu. Za to oddadzą duszę. Biedny Mojżesz, nie mógł liczyć nawet na brata – myślał Gamaliel wchodząc po stopniach do swojego domu. – Nie o cielca poszło ani złoto. Najważniejsze to być kapłanem – choćby i cielca. – Wszedł do środka i zawarł drzwi. – Muszę znaleźć sposób, żeby ostrzec Jana”.

Po modlitwach i czytaniu rozmyślał o przyjaciołach z młodzieńczych lat. Pamięć przywoływała tych, którzy jak on przychodzili do domu Zachariasza, by posłuchać starego kapłana, a jeszcze bardziej – z czego nie zdawali sobie sprawy – dwóch chłopców, których żywioł umysłów intrygowała ich i zachwycała, pobudzając do odpowiedzi i poszukiwań tak samo, jak oścień popycha do przodu wołu. Nieraz zdawało się słuchającym, że pytania przychodziły do chłopców same, niczym pies, który szuka pana, a oni drażnią się z nim jak bawili się ze szczeniakami. W tych latach ani on, ani Jan nie mieli pojęcia, że dorośli rozmówcy używają ich

potem w dyskusjach toczonych na placu Świątyni, nie powołując się, jak przystało mądrym nauczycielom, na młodocianych mędrków. Gdy wiele lat później on sam, już jako rabbi, przyłapał się na podobnym procederze, postanowił, że zawsze będzie wymieniał z imienia tych, co pomogli mu dotrzeć do miejsca, które z lekką przesadą nazywano mądrością, zupełnie przy tym zapominając, że jedyną mądrością jest Najwyższy, zaś człowiek może zaledwie – i to tylko wtedy, gdy nie zrezygnuje z nieustannych starań – pójść z Nim kilka kroków, bo na pewno nie wiorstę. Tak Gamaliel rozumiał nauczanie – i tak też traktował swoje wykłady. Był zadowolony, jeżeli zdarzało mu się wyłuskać zdanie przybliżające wszystkich choć na jotę do Przedwiecznej Mądrości, nigdy jednak nie popadał w tak miłe uczynom w Piśmie samouwieślenie. Podobnie, pełen pokory, nie ukrywał radości, jeśli któreś ze sformułowań wracało do niego, zaś im mniej spodziewane były usta, które je powtarzały, tym większa radość. Jak każdy rabbi, miał ulubione powiedzenia; w takich przypadkach przywoływał słowa z Bemidbar: „Jeśli nie potrafi przemówić Baalam, niech przemawia jego oślica”. Może właśnie to, że wyżej nauczyciela stawiał ucznia powodowało, że poczytywano mu za słabowanie skłonność do wracania w szczeniące lata życia.

Czasu, który spędzał na dysputach z Johananiem i jego ojcem, nie uznawał rabban za stracony. Ich rozmowy nie były to głębokie rozważania, słusznie więc myślał dzisiaj o nich z pobłażliwością, na którą zasługują młodzieńcze wynurzenia, jednak nie można im było odmówić uroku, jaki towarzyszy odkryciom czynionym przez chłopięce, żywe i ciekawe świata umysły. Gamaliel pamiętał nie tyle rozmowy, co ich ton. Pamiętał też wrażenie, że Johanen był z jednego kruszcu. Zauważali to wszyscy. Chłopiec znał Prawo ponad wiek i potrafił zbijać argumenty niczym Samson, unicestwiający uderzeniem szczęki, jednak dysputy nie interesowały go w stopniu, w jakim pochłaniały – szczególnie po szabatowej strawie – rodzinę Gamaliela. Johanen nigdy nie zamierzał zostać uczonym, a zawsze nauczycielem. Ale nie w bet midrasz.

Rozmyślał o przyjaźni, która urwała się nagle, bez powodu i wyjaśnień. Któregoś dnia Johanen opuścił Jerozolimę i zniknął bez śladu. Ta nagłość dotknęła nie tylko jego, także dziada Hillela. Johanen nie wyjaśnił też nic matce. Minęło kilka lat, nim dane mu było o nim usłyszeć. Powiedziano mu, że był w Qumran. „A teraz żyje jak pustelnik”.

Ostatnie wieści, mówiły że naucza w Kwarnachum. „Johanen zanurza w Jordanie”.

KRZYSZTOF
STANKIEWICZ

Ludzie i ich pasje

Inżynierska twórczość

IRENEUSZ TARGOŃSKI nie ma wykształcenia plastycznego. Z zawodu jest inżynierem, ale twórcą czy też artystą w jakimś wymiarze też. A bardziej szczegółowo wygląda to tak. Ukończył Państwowe Szkoły Budownictwa w Lublinie z tytułem technika budownictwa ogólnego, potem Wyższą Szkołę Inżynierską w Lublinie jako inżynier urządzeń sanitarnych. Jest też absolwentem Politechniki Lubelskiej z tytułem mgr inż. organizacji przemysłu oraz Lubelskiej Szkoły Biznesu (handel zagraniczny). W 1977 roku zdobył uprawnienia budowlane. Jest też porucznikiem wojsk samochodowych. Ale, jak się już rzekło, jest też twórcą z dużym dorobkiem artystycznym i licznymi wystawami swoich prac. O sobie mówi tak;

– Pierwszy kontakt z profesjonalnym rysowaniem miałem w szkole średniej, w ukochanej „Budowlance”. Miałem szczęście do nauczycieli. Rysunku odręcznego uczył

nas Władysław Jagiełło. Z dziesiątków rysunków wykonanych na jego lekcjach, do dnia dzisiejszego zachowało mi się kilka datowanych na 1963 rok – to równo sześćdziesiąt lat temu! Architektury uczył nas Kazimierz Lipiński – absolwent Politechniki Petersburskiej. Projektowania architektonicznego nauczał Jerzy Lipiński, a ustrojów budowlanych Walerian Oleszczuk. To na ich zajęciach wykonałem dziesiątki rysunków technicznych grafionem, grafosem oraz tzw. piórkiem technicznym w drewnianej obsadce. Ich wykonanie zawsze wymagało ogromu czasu i cierpliwości. Ta cierpliwość, dokładność, precyzja, pozostały mi do dziś.

Zanim jednak przyszły tego efekty w postaci prac artystycznych, młody Ireneusz po ukończeniu studiów rozpoczął pracę zawodową w Lubelskim Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych w Lublinie jako kierownik obiektów





Ireneusz Targoński, *Cmentarz w Michowie*, linoryt

w budowie na Osiedlach Mieszkaniowych „Motor” i „Tatary”. Następnie pracował jako kierownik robót instalacyjnych podczas renowacji Zamku Lubelskiego. Jednocześnie pracował jako nauczyciel przedmiotów zawodowych (min. budownictwa ogólnego, technologii robót instalacyjnych) w szkole „Instalu” przy ulicy Pogodnej w Lublinie.

W 1975 roku został kierownikiem KGR (Kierownictwa Grupy Robót), któremu podlegały budowy: osiedla górniczego w Łęcznej, osiedli mieszkaniowych w Lubartowie, Radzynie Podlaskim, Łukowie i Białej Podlaskiej oraz w Zakładach Mięsnych w Sokołowie Podlaskim (gdzie technologię realizowała amerykańska firma „Epstein”). Kolejne etapy pracy zawodowej to budowy osiedli mieszkaniowych w Biłgoraju oraz Tomaszowie Lubelskim, szpital w Janowie Lubelskim. W 1977 roku został inspektorem nadzoru robót instalacyjnych w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie z oddelegowaniem na budowę Nowej Odlewni Żeliwa URSUS. Potem pracował jeszcze w Prefabecie Lublin, gdzie był kierownikiem zakładu, kierownikiem działu technologicznego i zastępcą dyrektora ds. produkcji. W 1994 roku, po wygraniu konkursu – został dyrektorem Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego „Lublin”. Po przekształceniach własnościowych w 1996 roku został prezesem zarządu tych

zakładów funkcjonujących jako spółka z o.o. Przez 4 lata pracował także na UMCS jako starszy inspektor nadzoru inwestycyjnego przy budowie Centrum Analityczno-Programowego dla Zaawansowanych Technologii Przyjaznych Środowisku ECOTECH-COMPLEX. Był też prezesem zarządu Lubelskiego Domu Technika NOT sp. z o.o. oraz przewodniczącym Wspólnoty Lokalowej „Skłodowska 3” w Lublinie. Aż wreszcie znajomy lekarz powiedział mu któregoś dnia:

– Irku, skończ wreszcie z tą pracą, idź na emeryturę. Rób to, co lubisz.

I tak zrobił. Przeszedł na emeryturę i zajął się tym, co lubi najbardziej czyli... rysowaniem.

Tak to obecnie podsumowuje:

– Okres aktywności zawodowej był dla mnie czasem bardzo ciężkiej pracy, najczęściej w rozjazdach. To w żaden sposób nie sprzyjało rozwijaniu mojej życiowej pasji, jaką było rysowanie. Na tworzenie rysunków i grafik po prostu nie wystarczało czasu. Miałem za to szczęście w tym okresie poznać wspaniałych lubelskich artystów, których prace do tej pory mnie inspirują: Józefa Tarłowskiego (rysownika, grafika, karykaturzystę), który przez wiele lat pracował z moją żoną Haliną w Zespole Szkół Usług Gospodarczych, moich

Ireneusz Targoński, *Rozlewiska Wieprza* z, rysunekIreneusz Targoński, *Kazimierz Dolny*, linoryt

przyjaciół: Dominika Opolskiego (poety, grafika), Fryderyka Edmunda Tracza (znanego lubelskiego malarza – autora wielu portretów rektorów UMCS), Zbigniewa Józwika (znanego w Polsce i za granicą twórcy linorytów, ekslibrisów, uczestnika licznych wypraw naukowych na Spitsbergen). Dopiero na emeryturze znalazłem czas, by powrócić do młodzieńczej pasji tworzenia rysunków piórkiem (rapidografem) oraz linorytów wykonywanych dłutkiem w linoleum (płytką PVC kiedyś zwana PCV). Materiały budowlane towarzyszą mi, jak widać, przez całe życie.

Pierwszy wernisaż Ireneusza Targońskiego pod tytułem „Piórkiem i dłutkiem” odbył się w czerwcu 2019 roku w dużej sali konferencyjnej Lubelskiego Domu Technika NOT w Lublinie. Relacja z wystawy ukazała się w „Zielonym Biuletynie” (czasopiśmie Ligi Ochrony Przyrody). W artykule „Przyroda Polska zapisana piórkiem i dłutkiem Ireneusza Targońskiego” przeczytać możemy: „Na wystawie zaprezentowane zostały rysunki i pięknie wykonane grafiki elementów polskiego krajobrazu przyrodniczo-kulturowego”. Prezentowane prace przedstawiały strony rodzinne autora – Michów i jego okolice.



Ireneusz Targoński, *Chaty*, rysunek

Druga wystawa pt. „Piórkiem i dłutkiem – kolejne spotkanie” miała miejsce w ECOTECH-COMPLEX UMCS w lipcu 2019. Prezentowane prace przedstawiały m.in. obiekty zabudowy drewnianej w Michowie, Kazimierzu Dolnym oraz piękno żeglarstwa (to kolejna pasja inżyniera-artysty).

Po pandemicznej przerwie, w roku bieżącym, udało się zorganizować autorowi następne wystawy. Kolejna, trzecia w dorobku, miała miejsce wiosną br. (kwiecień–maj) w „Bibliotece. Centrum Spotkań w Jeziorzanach”. Relacja z wernisażu ukazała się we „Wspólnocie Lubartowskiej”. W artykule pt. „Piórkiem i dłutkiem w Jeziorzanach” autorstwa Dominika Smagały możemy przeczytać wypowiedź Małgorzaty Szabelskiej – dyrektor Centrum Spotkań w Jeziorzanach: „Zaprosiłam uczniów z klasy siódmej i ósmej Szkoły Podstawowej w Przytocznie. Uczniowie dostali wartościową lekcję o sztuce i kulturze. Dla nas ten wernisaż to nobilitacja. Takie wydarzenia nie zdarzają się zbyt często”.

Czwarta wystawa odbyła się w ramach XX edycji Ogólnopolskiego Tygodnia Bibliotek w Miejskiej Bibliotece Publicznej nr 31 w Lublinie przy ulicy Nałkowskich 104 w dniach 10 maja–16 czerwca br., a piąta w Gminnym Ośrodku Kultury w Ułężu w dniach 19 czerwca–20 lipca br. W planach są kolejne wystawy i to jeszcze w tym roku.



Ireneusz Targoński, *Kazimierz Dolny*, rysunek



Wystawa: Biblioteka Centrum Spotkań w Jezioranach



Wystawa: Lubelski Dom Technika Naczelna Organizacja Techniczna



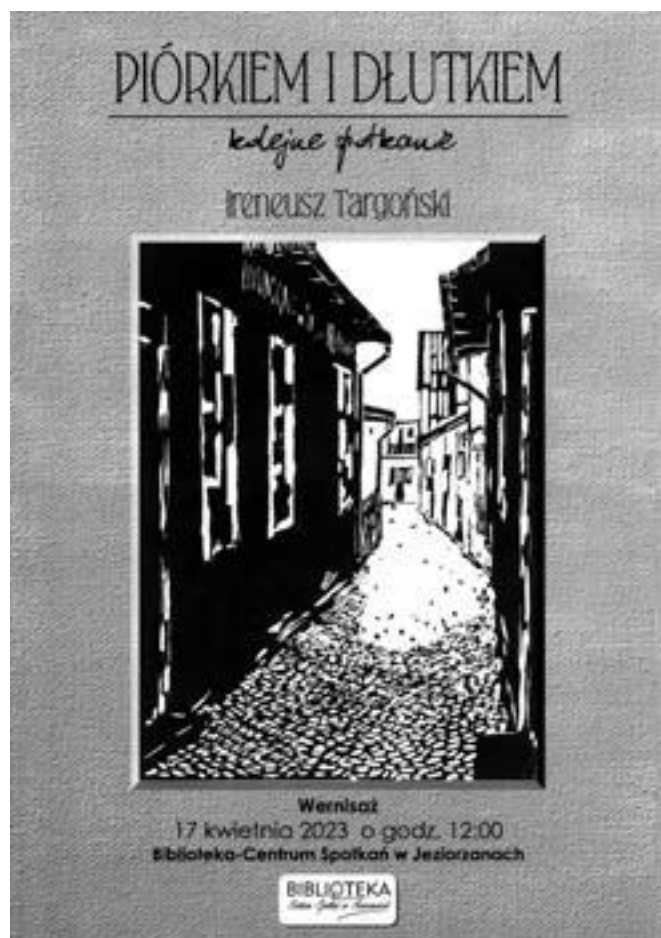
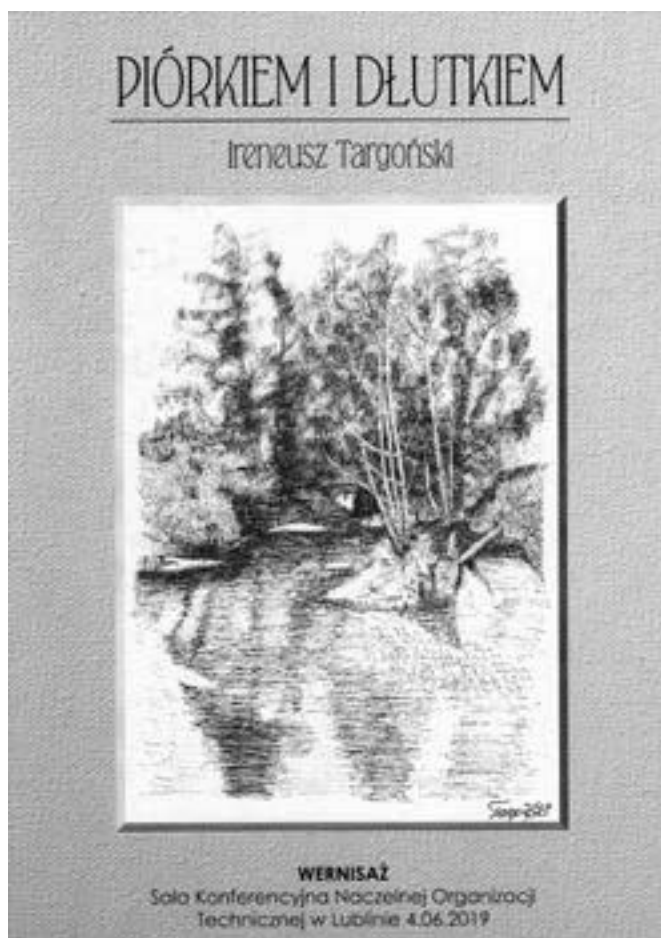
Ireneusz Targoński, *Rynek w Michowie*, linoryt

Ireneusz Targoński pracuje wytrwale, tworzy dużo. W swojej działalności nie ogranicza się tylko do rysunku i linorytów. Wraz z synem Jackiem wykonał kilka instalacji przestrzennych. Działa też społecznie: przez ostatnie 5 lat był przewodniczącym Klubu Seniora Naczelnej Organizacji Technicznej w Lublinie, śpiewa w Chórze „Nadzieja”. Jest regionalistą przywracającym pamięć o zasłużonych mieszkańcach swoich rodzinnych stron. Własnym sumptem wyremontował pomnik przedwojennej nauczycielki Szkoły Powszechnej w Michowie, zmarłej w 1933 roku. Ufundował tablicę nagrobną żołnierzowi armii gen. Kleeberga – uczestnikowi bitwy pod Kockiem w 1939 roku. Jest też zapalonym żeglarzem i motocyklistą. Unika nazywania się artystą. Określa się skromnie jako twórca. Dlaczego? Odpowiada, że zna wielu lepszych i bardziej doświadczonych od siebie rysowników i grafików. Nie mniej, sam stara się pracować, tworzyć coraz doskonalej.

KRZYSZTOF STANKIEWICZ



Ireneusz Targoński, *Portret Haliny Targońskiej*, linoryt



LECH L.
PRZYCHODZKI

Malarstwo drogą do poznania siebie i świata



foto Tomasz Nózka

MARIUSZ KIRYŁA jest dzieckiem lubelskiej dzielnicy Piaski, o której – jako odrębnym bycie administracyjnym – pisywał Isaac Bashevis Singer. Dzisiejsze Piaski, których osią jest ulica 1 Maja, do najpiękniejszych wciąż nie należą. Ale klimat czynszowych kamienic z przełomu XIX i XX ww. wciąż w nich pozostał.

Jako rocznik 1956 (jeden z moich Mistrzów, prof. Władysław Panas, za najciekawszą młodź, z jaką się spotkał, miał roczniki 1955-1957) rósł malarz razem z nadziejami, przyniesionymi Polakom przez powrót do władzy Władysława Gomułki. Potem zaś był świadkiem ich klęski.

Piaski to również Park Ludowy, usadowiony na zasypanych gruzem zalewowych bagnach rzeki Bystrzycy i tereny pomiędzy Cukrownią „Lublin” a korytem największej z tubylczych rzeczulek. Tam nastoletni mieszkańcy dzielnicy znajdowali oazy wolności.

Potem, co prawda, rodzina Mariusza przeprowadziła się na Czechów, ale to Piaski ukształtowały spojrzenie artysty na świat. Piaski i Stare Miasto, gdzie przy ul. Grodzkiej uczył się w Liceum Plastycznym im. C. K. Norwida, placówce, jaka wydała w l. 70. XX w. kilkunastu wartościowych twórców.

Zaułki Starego Miasta malował, rysował i fotografował przez dziesięciolecia. Był nimi zafascynowany, jak Jędrzek Kot, choć żyć bez nich potrafił.

Lata 70. i pierwsza połowa l. 80. ubiegłego stulecia to okres wpisywania się Kiryły w lubelską kontrkulturę, wówczas wartościową i docenianą w kraju (teatry: „Provisorium”, „Grupa Chwilo-wa”, „Scena 6” czy łączący z literaturą inne rodzaje sztuk „Ogród/Ogród-2”). Ośrodkami skupiającymi młodych zbuntowanych były studencki klub „Arcus” i Katolicki Uniwersytet Lubelski z corocznymi „KULLages”. Wszędzie tam można było spotkać Kiryłę – nie tylko jako odbiorcę działań kolegów.

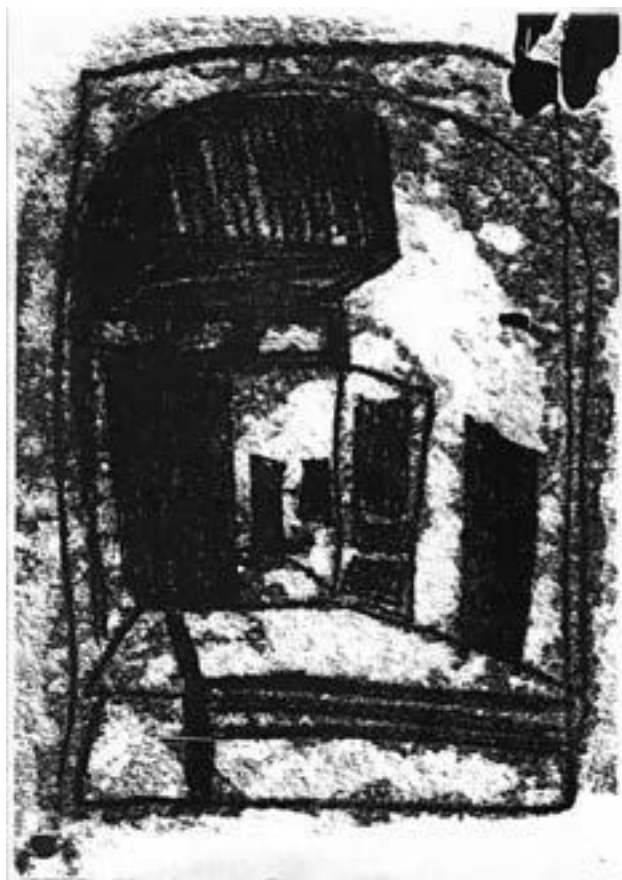


Mariusz Kiryła, 1994 r., *Lublin, Stare Miasto, moja szkoła*, monotypia





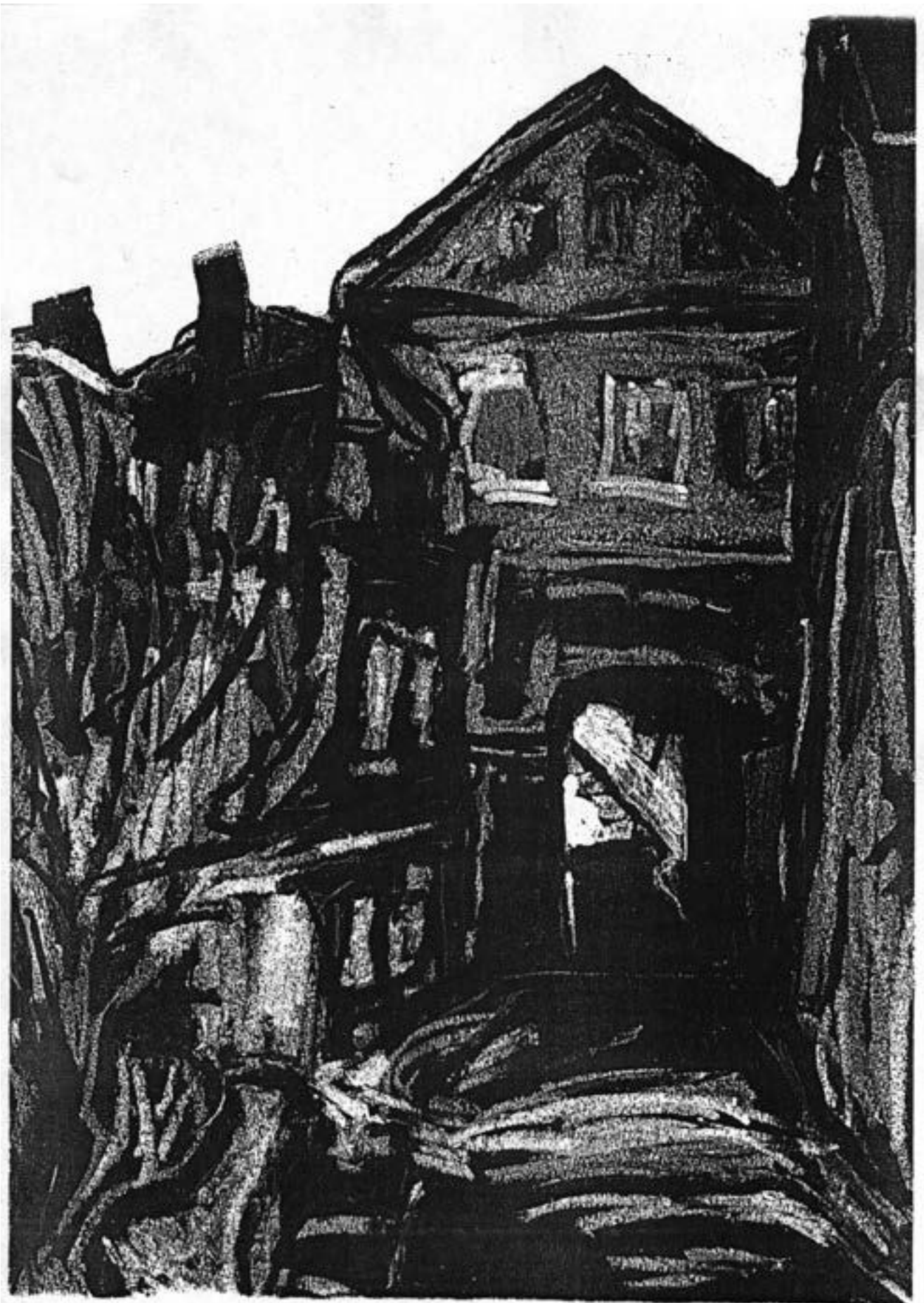
Mariusz Kiriya, 1994 r., *Lublin, wzgórze Starego Miasta*, monotypia



Mariusz Kiriya, 1994 r. *Lublin, Stare Miasto, klatka schodowa*, monotypia



Mariusz Kiriya, 1994 r. *Lublin, Stare Miasto, klatka schodowa 2*, monotypia



Mariusz Kiryła, 1994 r., *Lublin, Stare Miasto, moja szkoła (brama Grodzka)*, monotypia





Mariusz Kiryła, *Paris, Pont Neuf*, 1997 r., monotypia

Kiedy już paszporty przestały być luksusem, rozpoczął Mariusz „poznawanie Paryża”, trwające z przerwami do dziś. Bywa tam z własnym bagażem doświadczeń malarskich, konfrontowanych ze sztuką wystawianą i podziwianą nad Sekwaną oraz dziełami wielkich mistrzów w licznych muzeach sztuki dawnej i współczesnej. Nie darmo Lech Majewski, malarz i reżyser filmowy stwierdził kiedyś, iż więcej daje mu dialog z umarłymi (twórcami) niżli z żywymi. Mogłaby to być maksyma także lubelskiego artysty.

Kiryła powiada, że po 50 latach malowania wciąż nie czuje się znużony. Praca przy sztalugach smakuje tak samo, jak w czasach licealnych. Tematów jakoś nie brakuje, a podróże do Irlandii i górzyste krajobrazy okolic Dublina (Wicklow Mountains National Park) zaowocowały kolejnym cyklem (charakterystyczna cecha dzieł Kiryły) obrazów i przemyśleniami artysty:

„Ze względu na krajobraz i małą gęstość zaludnienia, w Irlandii człowiek może bardziej poczuć swoją wolność. Podczas pory zimowej, przy braku śniegu, dodając do tego jeszcze mgiełki i deszcze – nastawiamy się na dominację szarości i zły humor.

Rzeczywistość okazuje się diametralnie inna, ale wymaga to uwagi i wnikliwej obserwacji, a jednocześnie łączności człowieka ze światem, w którym właśnie się znalazł. Artysta malarz dostrzega coś więcej niż szarość. Widzi wszystkie niuanse

między ciepłymi bielami a spalonymi brązami, poprzez fiolety i czerwone ochry, a w najbardziej zacienionych miejscach – od szmaragdowych zieleni, brązów van Dycka po paryskie błękity.

Przy chwilowym wynurzeniu się zza chmur słońca – górskie jeziora przybierają w najjaśniejszych punktach nasycenia srebrzysto-światlisty sztafaż i przechodzą tonalnie w błękit paryski. Można się tu poczuć jak w niebiańskim teatrze.” (<https://siemysli-ke.info/wpleciony-w-naturalne-przestrzenie-irlandia-3/>)

Świdnik, dokąd przed ćwierćwieczem przeniósł się z Lublina, paryskie bruki i mosty, irlandzkie romańskie kościółki i mgły nad zboczami gór – wszędzie tam poszukuje Kiryła adekwatnej formy wypowiedzi i środków, które potrafiłyby zaspokoić niegasnący w nim twórczy niepokój. Stąd, jak u Sterna, Hasiora czy Tomczyka „zabawy” czysto warsztatowe – używanie papierów, gazy czy farb własnej produkcji, uzyskiwanych z nasyłanych mu nawet z Afryki różnych rodzajów kolorowych ziem.

Punktem wyjścia prac jest zazwyczaj natura, podążają one jednak w kierunku abstrakcji, podobnie jak u Anki Strumińskiej, której rodzina nieco przed Mariuszową wygnana z okolic Grodna i podobnie jak Kiryłowie (stryjowi malarza pozwolono w Krakowie na zachowanie podwójnego „ł” w nazwisku, ojcu – w Lublinie – już nie) zamieszkała przez kilka lat przy ul. 1. Maja.



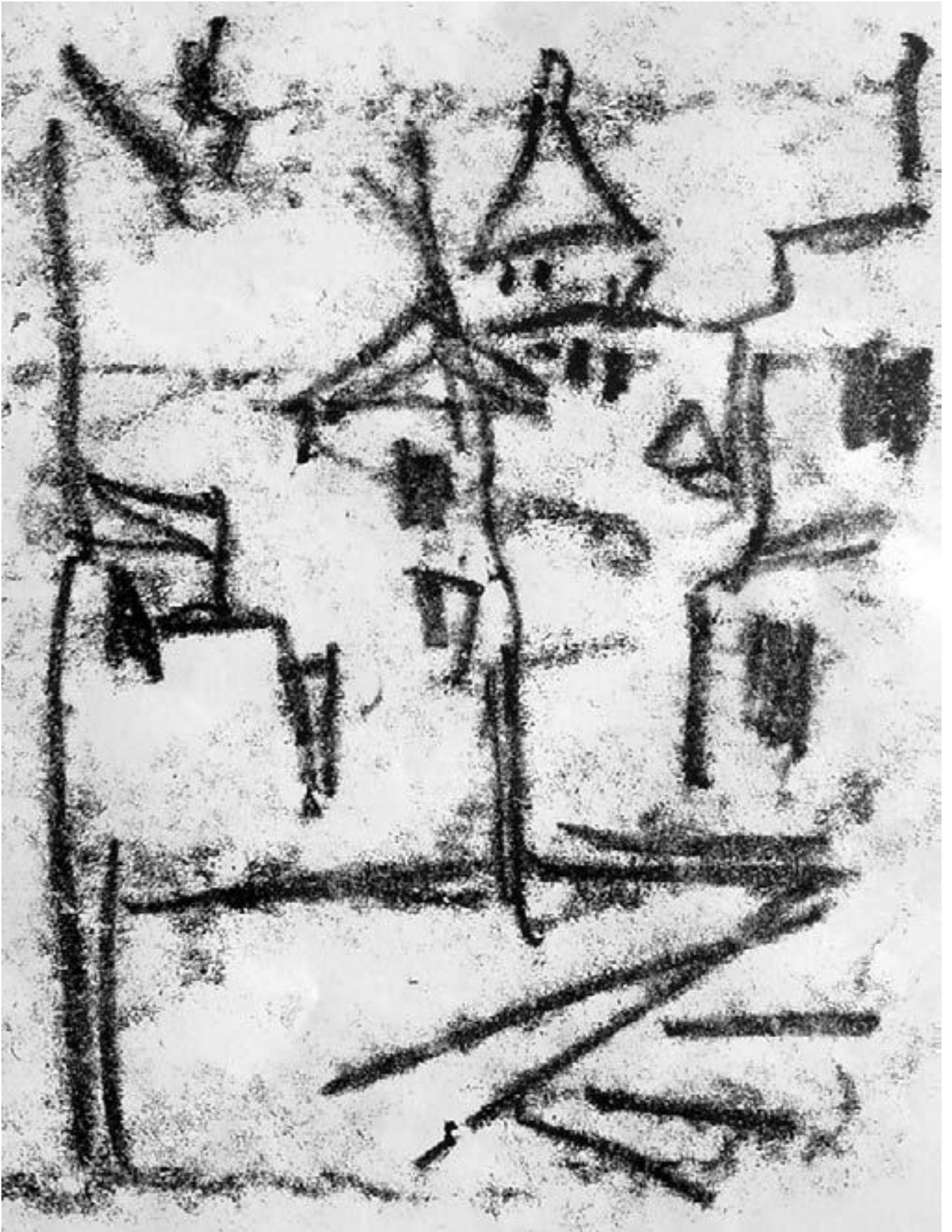
Mariusz Kiryła, *Paris, Montmartre*, 1997 r., monotypia



Mariusz Kiryta, *Paris, Notre Dame*, 1997 r., monotypia



Mariusz Kiryta, *Paris*, 1997 r., monotypia



Mariusz Kiryła, *Paris*, 1997 r., monotypia



Mariusz Kiriya, 2008 r., *Drohobycz*, monotypia

Dopiero potem inż. Strumiński został budowniczym Świdnika, a Kiriya od ćwierćwiecza zaznacza swą obecność jako plastyk w świdnickich kościołach.

Pracując nad grafikami czy fotografując nie zapomina artysta, iż jego domeną jest malarstwo. Toteż wie dobrze, że odkąd Hugo van der Goes rozpoczął w sztuce erę farb olejnych, drogą do uzyskania bogactwa dzieła jest operowanie światłem.

W każdym medium Mariusz kieruje się subiektywnymi odczuciami – wolnością twórczą, do której żadni ideolodzy, stanowiący gros dzisiejszej awangardy, wstępu mieć nie mogą, nawet używając wytrychów. Oni kalkulują, on tworzy.

Patrząc na coraz bardziej proste w stosowanych środkach i minimalistyczne w wyrazie obrazy jesteśmy jednocześnie, jako odbiorcy, zszokowani bijącą z nich ekspresją. Takiego ładunku emocji w polskiej sztuce trudno obecnie poszukiwać.

Prace Kiriya nie tworzą iluzji dynamiki. Są dynamiką. Poza powierzchniową warstwę odniesień do świata realnego, mamy, jak mniemam, do czynienia z konstatacjami malarza

na temat otaczającego nas świata. Gdzie Dobro zmyka, podkułwszy ogon, a Zło puszy się, licząc na absolutny triumf ponad Człowieczeństwem.

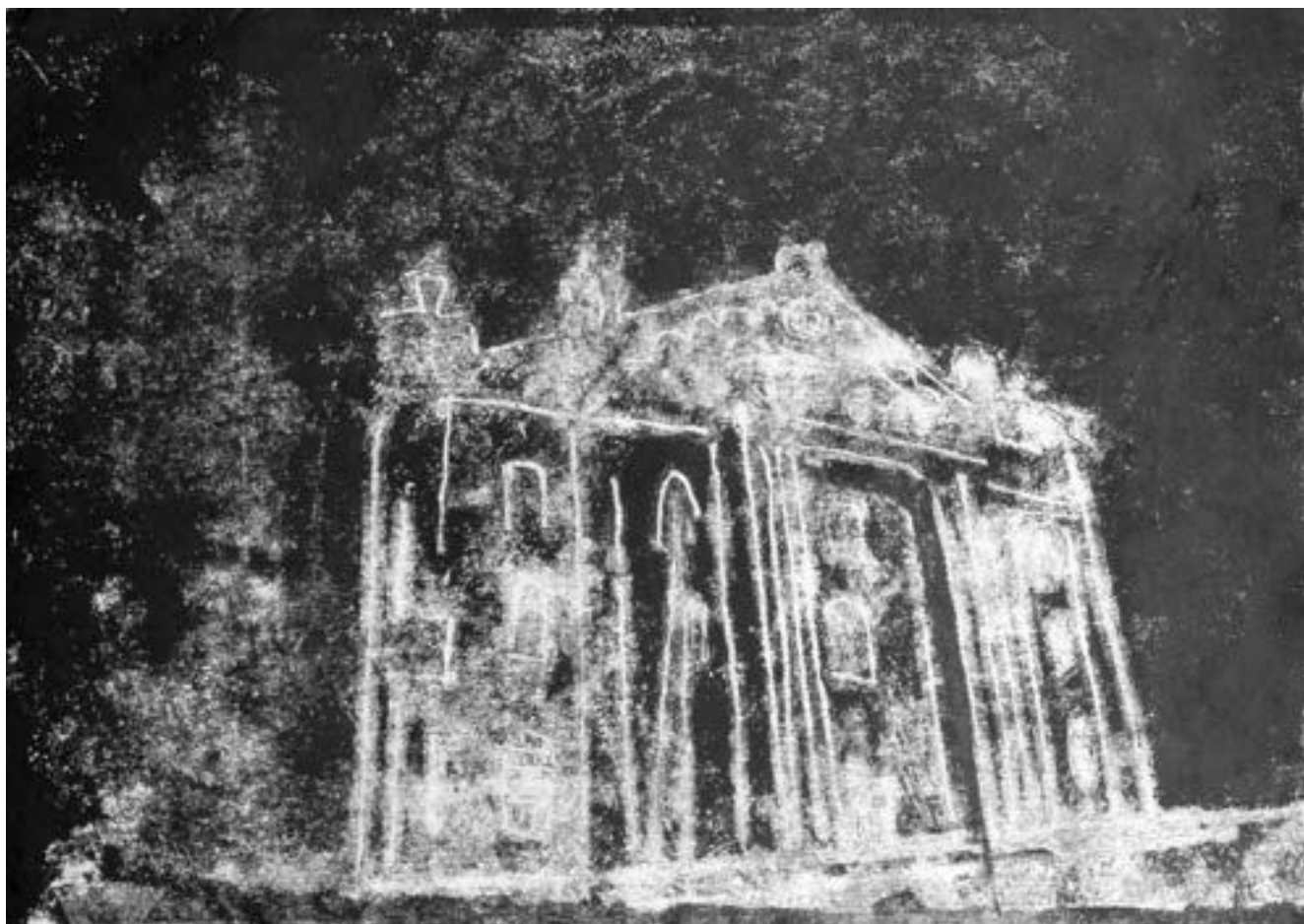
Najlepszy z tekstów, jaki o Kiriya czytałem, kończy się tak:
„Biblijny Jakub podejmując walkę z Aniołem narażał się jedynie na Gniew Boży. Położenie Mariusza Kiriya jest zgoła odmienne, bowiem Anioł, z którym Mariusz walczy, jest jego Aniołem Stróżem.”

Rzecz w tym, iż Anioł Stróż, bardziej niżli inne anioły – błędów nie wybacza. Stąd powyższe słów kilka zakończę dwuwierszem mistrza minimalistycznej formy, Mariana Karasia:

„Cóż
Za mną stoi anioł stróż
W ręce trzyma nóż.”

Jeśli się tedy wadzić, to tylko z lustrzanym odbiciem. Nie wiadomo zresztą, Kiriya z której strony lustro jest tym prawdziwym. Być może – obaj.

LECH L. PRZYCHODZKI



Mariusz Kiryła, 2008 r., *Drohobycz, synagoga*, monotypia



Mariusz Kiryła, 2008 r., *Drohobycz, synagoga*, monotypia





Mariusz Kiryła, *autoportret*, rysunek węgłem

Wściekli sześćdziesięcioletni

(autobiografia) odcinek ósmy

JERZY
JACEK
BOJARSKI

Moi Drodzy, żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi.

Kronikarz relacjonuje, redaktor koryguje, czytelnik podpowiada...

Podpowiedzi od Czytelników otrzymałem niemało, z niektórymi się zgadzam, faktycznie to i owo opuściłem w swej biografii, choćby pewne epizody z czasów studiów. Powracam więc do tamtych lat...

Co najmniej 21 wydarzeń, które wstrząsnęły moim życiem

Studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w latach 1978–1984, Wydział Humanistyczny, kierunek historia, specjalizacja archiwalna.

Kolejny fragment autobiografii muszę rozpocząć banalnie: „Im dalej w las tym więcej drzew”. Coraz trudniej mi ogarnąć swoje wspomnienia. Ten odcinek autobiografii jest wyjątkowy. Moja retrospektywa sięga już dwudziestu dziewięciu ostatnich lat życia. To spory kawał czasu, nie tylko wieku dziecięcego, lat dojrzewania, ale już dorosłego człowieka. Dotyczy tylko studiów, ale nie tylko. I to nie byle gdzie i nie byle jakich! Po pierwsze studia na uniwersytecie prywatnym, katolickim! Dla dzisiejszego czytelnika to nic nadzwyczajnego, gdyż dzisiaj funkcjonuje wiele prywatnych uczelni i szkół. Za komuny to była sytuacja bardzo, ale to bardzo wyjątkowa. W tamtych latach był to ewenement. Uczelnia utrzymywała się przez donację społeczeństwa katolickiego przy pomocy Towarzystwa Przyjaciół KUL. Drugiej takiej nie było. W czasie świąt bożonarodzeniowych i wielkanocnych we wszystkich kościołach w Ojczyźnie była zbierana taca na potrzeby KUL, na jego egzystencję. To dawało niezależność finansową. Po drugie: niezależność myślenia! Mimo oficjalnego programu jaki obowiązywał, w czasie wykładów, ćwiczeń, kolokwiiów, zaliczeń, prac proseminaryjnych i seminaryjnych, aż po pisanie pracy magisterskiej, naukowcy uczelni przemycali wiedzę, której nie było w dyskursie publicznym, ani tym bardziej w publikacjach oficjalnych. Oficjalnie wszystko było przecież pod kontrolą, nie tylko w kontekście nauki i myśli socjalistycznej



PRL-u. Cenzura była wszechobecna. Całe życie w PRL-u to jedno wielkie ograniczenie, więzienie myśli i swobody. „Wściekli sześćdziesięcioletni” odzywają się we mnie, przy pisaniu tej autobiografii. Czym jestem starszy i bardziej świadomy sytuacji kraju, w jakim przyszło mi żyć, tym moja wściekłość staje się większa i skierowana na system – system totalitarny i nieludzki. Służył tylko władzy, a nie społeczeństwu. Antykomunizm stał się sposobem na życie, jego kontestacja była naszą potrzebą. Trzeba jasno podkreślić, że uczelnia katolicka w tamtym okresie, na tle innych instytucji, była wyspą wolności. W programie była ekonomia polityczna, ale nie przez pryzmat ideologii marksistowskiej, jak na uczelniach państwowych, →



Studenci historii KUL, J.J. Bojarski pierwszy z lewej

tylko jako jedna z licznych teorii. Podobnie rzecz się miała z filozofią, gdzie wykładano główne problemy filozoficzne, w tym filozofię chrześcijańską – np. św. Tomasa z Akwinu, a nie marksistowską. Studenci byli pod znakomitą opieką naukowców, którzy mieli piękne życiorysy wypełnione walką o niepodległą Polskę w strukturach AK (Armii Krajowej), po wojnie prześladowanych i skazywanych prawomocnymi wyrokami. To byli patrioci najwyższej próby, odsiadujący wyroki więzienia, często torturowani. Studenci robili kwerendy w archiwach kościelnych, pisali rozprawy, które gdzie indziej nie mogły powstać: prace magisterskie o historiach parafii kościoła katolickiego czy doktorskie o dekanatach, a syntezy chrześcijaństwa w Polsce podejmował się znakomity profesor, mediewista Jerzy Kłoczowski. Tylko na uczelni katolickiej była wolność badań, wypowiedzi naukowej! Czego najbardziej się bała ówczesna władza PRL? – przede wszystkim prawdy! W oficjalnej narracji średniowiecze to ciemnota i zabobony kościelne. Tak tworzono mity do walki z Kościołem. Powstawały też prace, jak chociażby napisana z historii najnowszej – na seminarium wspomnianego profesora – przez studenta historii Krzysztofa Żórawskiego o grudniu 1970 roku na Pomorzu. Zgromadzone materiały w stanie wojennym były przejęte przez Służby Bezpieczeństwa, gdyż autor trzymał je w pomieszczeniach szczecińskiej „Solidarności”, gdzie pracował. Pracę obronił dopiero w 1984 roku.

Byłem wtedy zdecydowanym antykomunistą, przeciwnikiem PRL-u i narzuconej nam siłą władzy przez sowieków. Uczelnia była inwigilowana zaraz po wojnie. Rząd londyński był przeciwny jej otwarciu, to komuniści napierali na otwarcie uniwersytetu. Chcieli się uwiarygodnić, ale i wykorzystać uczelnię do wyłapania młodzieży AK, która przyszła tu studiować.

Jednak studia to nie tylko nauka. Młodzież szukała różnych form wolności, choćby wolności w wyprawach turystycznych, inicjatywach kulturalnych. Sama organizowała koncerty, wernisaże, pielgrzymki i zabawy studenckie – słynne były na uczelni KUL_TURALIA, byliśmy dumni, że powszechnie czciliśmy Boże Narodzenie, organizowaliśmy opłatki sekcyjne czy ogólnouniwersyteckie. Funkcjonowało Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez o.o. jezuitów czy o.o. dominikanów na Starym Mieście przez legendarnego już wówczas ojca Ludwika Wiśniewskiego. Przy kościołach były organizowane Tygodnie Społeczne, Chrześcijańskie... Studenci mieli możliwość uczestniczenia w mszach świętych w Kościele Akademickim. To czyniło uczelnię wyjątkową o niepowtarzalnym klimacie i wielkiej dozie wolności. Każdy kierunek organizował ogólnouniwersyteckie imprezy np. słynny „Tydzień Filozoficzny” czy imprezy poświęcone bohaterom narodowym. Młodzież spotykała się często w mniejszych grupach, w prywatnych domach. Sam kilkakrotnie zapraszałem do siebie kolegów z roku, gdyż

mieszkałem w Lublinie, wielu studentów było zamiejscowych, z całej Polski. Byliśmy mocno zintegrowani, fundamentem naszym była miłość do Ojczyzny, antykomunizm i prawda. Brakowało tego w zinfiltrowanych przez służby bezpieczeństwa organizacjach socjalistycznych.

Każda rzecz ma swój czas – mówi Księga Koheleta. Studia i nauka dostarczyły mi nie tylko stawy duchowej, ale również emocji, fascynacji, uniesień! I to nie raz i nie dwa. Mój czas studiów był niezwykły. Od egzaminów wstępnych, poprzez wybór papieża Polaka Jana Pawła II na Stolicę Piotrową i jego pielgrzymki do Ojczyzny, a potem eksplozja strajków od Lipca Lubelskiego, po festiwal pierwszej „Solidarności”, wreszcie słynna wizyta papieska w ojczyźnie i spotkanie na dziedzińcu KUL z naszymi noblistami: Lechem Wałęsą i Czesławem Miłoszem (wtedy nie mieliśmy tej wiedzy, którą mamy obecnie, dzisiaj ci Panowie nie są z mojej bajki, pierwszy mnie okłamał, drugi pół marksista, pół katolik, współpracował na początku z władzą komunistyczną, był ambasadorem w Paryżu). W tamtym czasie brałem ślub, potem narodiny pierwszego dziecka Szymona Piotra, aż po stan wojenny który wprowadzili komuniści, a konkretnie Wojciech

Jaruzelski (dla mnie nie był polskim generałem). Tutaj muszę wyznać, że szalenie wyjątkową pozycję w moim życiu odegrał neokatechumenat. Instynkt i hormon przetrwania mobilizowały mój organizm do szybkiego reagowania, kiedy stany zagrożenia były blisko. Taka świadomość podwyższała się, gdy sytuacje stresowe dotykały mnie bezpośrednio. Adekwatnie do stresu, wzrastały we mnie siły i wydajność w nauce oraz w życiu.

Mimo powszechnej biedy, pustych półek w sklepach byliśmy bardzo silni duchowo, bieda nas wzmacniała i stawiała do pionu. Nie było czasu na rozlazłość. Poza nieustanną adrenaliną jakie niosło codzienne życie, walka o przetrwanie, mocne wydarzenia, które mnie dotykały, wstrząsały moim życiem, ale i życiem narodowym. O tym chcę i muszę wspomnieć i nieustannie wspominam.

Miałem 23 lata, kiedy zdawałem na studia, inni – w tym wieku – je kończyli. Skąd ta różnica się wzięła? – ano stąd, że przeszedłem długą drogę w szkołach średnich zanim zdałem maturę. Trwało to siedem lat. Nie ukrywam, że tytułowa liczba 21 nawiązuje do postulatów „Solidarności”, do której nigdy formalnie nie należałem, choć wspierałem ją z całych sił duchowo

Bojarski tu, Bojarski tam, z prawa, z lewa, wczoraj i dziś





Studenci historii KUL w czasie „objazdów naukowych”, Toruń 1979

i praktycznie. O tym potem. Wypadek komunikacyjny jaki miałem jadąc na maturę w maju 1978 roku okazał się błogosławioną winą (beata culpa). Zostałem uziemiony, chcąc nie chcąc, w domu. Byłem człowiekiem dynamicznym i wszędobylskim, nie mogłem usiedzieć na czterech literach. Stał się cud. Jak mówią Niemcy, dostałem gratis – „Sitzfleisch” (siedzące mięso) czyli mówiąc po naszymu, zacząłem siedzieć w domu na d...e. W tym mocnym zakotwiczeniu – miałem czas na naukę, czytanie i wkuwanie historii. Do egzaminów przygotowywałem się razem z bratem Gienka Niebelskiego, Bogdanem, którego poznałem w sierpniu 1973 roku na „257 Warszawskiej Pieszkiej Pielgrzymce na Jasną Górę”, w jego domu w Przedborzu. To w ich domu w łazience, kiedy brałem prysznic w wannie, skaleczyłem sobie nogę. Ktoś myjący się przede mną, stłukł butelkę z szamponem, a szkło zostało (kiedyś nie było plastikowych butelek).

Wcześniej z Gienkiem byliśmy razem na majowym rajdzie bieszczadzkiem, wtedy po raz pierwszy odwiedziłem klasztor ss. Nazaretanek w Komańczy, w którym – (od 29 października 1955 roku do 28 października 1956) – internowany był Prymas Tysiąclecia ks. Stefan kardynał Wyszyński. W głuszcy bieszczadzkiej, w trakcie rocznego

internowania w Komańczy prymas napisał teksty Jasno-górskich Ślubów Narodu Polskiego i Wielką Nowennę Tysiąclecia, przygotowując Polskę do obchodów 1000-lecia chrztu, dokończył „List do kapłanów” oraz zredagował „Zapiski więzienne”. W sumie napisał tam ze trzy tysiące stron maszynopisu, wtedy nie było komputerów. To On powiedział rządzącym komunistom, „non possumus”, żadnych ustępstw dalej. Prymas był dla Polaków wielkim autorytetem, taki „interrex” w czasie bezkrólewia. Komunizm w Polsce był system narzuconym przez sowietów, można by rzec takim bezkrólewem, bezhołowem, obcym polskiej tradycji chrześcijańskiej i kulturze. Komunizm i narzucony system nigdy nie zostały zaakceptowane przez większość Polaków. Tylko słabi ludzie szli na współpracę, wśród nich – niestety – także ludzie kultury i literaci. Przedstawiani jako elita narodu. Byli jednak na krótkim pasku władzy, wspomnę, że 53 literatów ze środowiska krakowskiego (w tym Wisława Szymborska i Sławomir Mrożek) podpisali rezolucję w sprawie ukarania księży krakowskich. W tym czasie trwał spreparowany zarzutami proces biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarska (1938–1963), notabene zmarł w Lublinie. To wszystko służyło próbom rozbicia Kościoła. Nigdy nie słyszałem,

by ci ludzie przeprasali za swoje haniebne czyny. Robili to również wybitni poeci, publicyści... Swoimi artykułami zwalczał Kościół Tadeusz Mazowiecki ostatni prezes Rady Ministrów PRL i pierwszy III RP (1989-1991). Tak – przyznaję – dałem się nabrać, bo w telewizji pani Joanna Szczepkowska ogłosiła, że z dniem 4 VI 1989 roku skończył się w Polsce komunizm. Uwierzyłem kłamstwu, uwierzyłem także w tak zwane rozmowy okrągłego stołu, ja człowiek po studiach KUL! O naiwności wielka. Wszystkich przepraszam i proszę o wybaczenie. Prawda, że człowiek może się nawrócić i zmienić zdanie, ale musi zająć wiele okoliczności, a nie jedno kłamstwo zamieniać innym. Na to zgody mojej nie ma.

Po skaleczeniu nogi osiągnąłem cel – Jasną Górą. Pięć lat później utrwaliliśmy materiał z historii do egzaminów wstępnych na historię na KUL. Byłem pewny, że Bogdan zda, był lepiej przygotowany ode mnie. Stało się inaczej.

Egzamin wstępny na historię zdawałem na pierwszym piętrze, w sali – bodajże – numer 25, która przynależała do historii. Tutaj na egzamin wpadłem w ostatniej chwili. Zosia Furmanek – przyszła koleżanka z roku – myślała, że jestem młodym naukowcem i będę pilnował zdających, okazało się, że zająłem miejsce w pierwszym rzędzie, bo tylko te były jeszcze wolne. Wybrałem temat o historii Pomorza Zachodniego. Napisałem kilka stron i wyszedłem. Byłem przekonany, że polegnę na tym pierwszym etapie, pisemnym egzaminie. Stało się jednak inaczej. Moja wychowawczyni z Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących – Danuta Piórko – poinformowała mnie telefonicznie, że jestem dopuszczony do ustnych egzaminów, pisemne zaliczyłem! Były wywieszone listy przed budynkiem KUL. Radość, ba euforia wielka, ale i padł na mnie blady strach. Egzamin pisemne, to rozumiem, bo miałem kontakt tylko z papierem. Na ustnych musiałem stanąć oko w oko z egzaminatorami. Dla mnie to było jak rosyjska ruletka. Trzech egzaminatorów naprzeciwko mnie, jednego. Pytali czy czytałem „Trylogię” Henryka Sienkiewicza. Wyznałem, że przebrnąłem raptem przez około 100. stron, ale zaraz uzasadniłem, że wartość historyczna tego dzieła jest znikoma, miała tylko podbudować morale Polaków, gdyż Polska była pod zaborami. To się widocznie musiało podobać, bo egzamin zdałem. Zdałem także test z języka niemieckiego, którego nigdy się nie uczyłem w szkole, a moja nauczycielka (dawała mi bezpłatne korepetycje) Zofia Brzostowska odradzała mi, bo według niej, miałem bardzo słabą znajomość tego przedmiotu. Szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo tekst był po niemiecku o laserze, który – co za przypadek – wcześniej w LO na fizyce referowałem. Łatwo mi było więc przetłumaczyć. Również

test rozwiązałem poprawnie. Koleżanka z germanistyki UMCS, Danuta Mazurkiewicz (po mężu Dżaman, już nieżyjąca), uczyła mnie rozwiązywać testy z różnych lat. Okazało się, że każdy rozwiązywałem, co najmniej na dostateczny. Tak więc miałem wprawę, zdałem egzamin wstępny na historię. To był dla mnie pierwszy wstrząs związany ze studiami. Tego nie przewidywałem, gdyż nauka w Liceum dla Pracujących – według mego zdania – nie dawała mi takich szans nawet teoretycznie, gdyż program był w szkole bardzo okrojony. Stało się inaczej. Na KUL-u było tylko 20 miejsc na historię, aby ominąć tę formalną przeszkodę, jaką nałożyło Ministerstwo Oświaty i Edukacji, zostałem przyjęty jako student eksternista, inni zaś mieli zaświadczenia, iż są przypisani do różnorodnych zakonów. To, co było moim marzeniem, by studiować na prywatnej katolickiej uczelni, jedynej w bloku komunistycznym, od Łaby aż po Władywostok, spełniło się, bo tak to już jest z marzeniami. Wiadomo, że udałem się na pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę, wdzięczny Bogu za dar studiów, bo taki jest człowiek o religijności naturalnej. Pan Bóg dał mi studia, to ja mu bach całusa w mankiet (sic!). Po pielgrzymce byłem w Tatrach. Spałem na Rusinowej Polanie. Tutaj poznałem przyszłych kolegów Jana Strojnowskiego i Krzysztofa Stanowskiego, należeli do harcerzy niezależnych, bo – rzecz jasna – było oficjalne harcerstwo. Okazało się, że to między innymi z nimi przyjdzie mi rozpocząć przygodę na KUL-u. W Tatrach przeszedłem prawie wszystkie ważniejsze szlaki, mimo lęku wysokości. Wdrapałem się też na Krzyżne, gdzie leżał śnieg. Myślałem, że jak wejść na polać śniegu to z nim zjadę do przepaści. Czekałem na innych turystów, by samemu nie iść po śmierć lub kalectwo. Żadnej brawury, byłem rozsądny jak na swój wiek. Byłem na Giewoncie, Czerwonych Wierchach, Szpigławsowej Przełęczy, w Dolinie Pięciu Stawów, Orlej Perci, Zawracie, Świnicy. Pokonywałem w sobie strach i słabości. Warto było. Misterium Tatr wszystko mi wynagrodziło z nadmiarem. Największa trauma była na Kościelcu. Przyszła wielka mgła. Niewiele widziałem. Gdy opadłem, wycofałem się tuż przed szczytem i go nie zdobyłem. Zwyciężył znowu rozsądek, tego się nauczyłem w górach. Po wakacjach wróciłem jeszcze do pracy w LSM, gdzie 30 września 1978 roku za porozumieniem stron rozwiązałem umowę. Przestałem także być „furtianinem” u sióstr Karmelitanek Bosych na ulicy Chmielewskiego 9.

Wiele osób mi pomagało, aby zdobyć status studenta KUL. Wspomnę niektórych: Kazimierza Zajęca, Zofię Brzostowską i żonę Józefa Szymańskiego (ex księdza i byłego rektora UMCS 1982-1984). To były dobre dusze w mojej sprawie.

Pierwszy rok studiów – 1978/79

I Rok studiów eksternistycznych – kierunek historia – specjalizacja archiwalna

Czas studiów to rzecz niebywała. Powiem bardzo nie-skromnie: „byłem piękny, młody, bogaty”. Piękny, bo młody, bogaty, bo miałem rentę powypadkową, która mi umożliwiła studia i czas około studencki. Nie musiałem się martwić o finanse. Podstawowy dokument jaki dostałem to INDEX – Jerzy Jacek Bojarski, Nr albumu 26933, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Wydział Nauk Humanistycznych, Specjalność Historia podpisany przez Prorektora profesora Stefana Sawickiego i Dziekana prof. Zygmunta Sułowskiego, Lublin dn. 2 października 1978 roku. Mój wymarzony uniwersytet znajdował się przy al. Raławickich 14, naprzeciwko Ogrodu Saskiego. Wówczas budowano nowy fronton, a także nadbudowę trzeciego piętra na poddaszu, gdyż baza lokalowa mojej uczelni była bardzo mizerna. Uczelnia powstała w 1918 roku. Paradoks. Dzięki rewolucji październikowej z 1917 roku, mamy Katolicki Uniwersytet Lubelski w Kozim Grodzie. Stało się to za sprawą ks. Idziego Radziszewskiego (1871–1922), profesora Akademii Duchowej z Petersburga (Piotrogradu) inicjatora powstania KUL i pierwszego rektora uczelni (1918–1922). Jednak

bez Karola Jaroszyńskiego (urodzonego 13 grudnia 1877 w Kijowie, a zmarłego 8 września 1929 roku w Warszawie) najbogatszego Polaka w tamtym okresie, finansisty i filantropa, ks. Radziszewski byłby bezradny. Retrospekcje to nie miejsce na wspominki o dobrodziejcu kulowskim. Dość powiedzieć: najkrócej jak tylko to można uczynić, czego się dotknął, zamieniał w złoto, jak legendarny antyczny król Midas, ale były w tym także akcje, obligacje i żywa gotówka. Uczelnię wspierał finansowo do końca swego życia. Gwoli ścisłości trzeba podkreślić, że wspierał do końca cara Mikołaja II i był przeciw rewolucji bolszewickiej. Był wielkim bogaczem, ale i polskim patriotą. W 1918 roku został prezesem Komitetu Organizacyjnego Uniwersytetu Lubelskiego wraz z drugim udziałowcem Franciszkiem Skąpskim. To w Operze Paryskiej ukłuto go zatrutą igłą niczym Siergieja Skripala nowiczkim w Salisbury w Wielkiej Brytanii. Zbieżność metod skądś nam znana? W latach dwudziestych XX wieku założył Bank Rosyjsko-Polski. Szukał pomocy kredytowej u Żydów: wtedy zadawano mu pytanie: „a po coś pan ten uniwersytet założył?”. Tak więc szkodzili mu bolszewicy, ale i Żydzi. Jedyne co mogę zrobić dla Karola Jaroszyńskiego to prosić Komisję Nazewnictwa przy Radzie Miejskiej w Lublinie o nazwanie ulicy lub skweru

Półmetek, Anna i Jerzy Bojarscy. Z prawej Leon Popek





Barbara Rynasiewicz i Jerzy J. Bojarski

jego imieniem. Bez niego Lublin nie byłby miastem uniwersyteckim. O nim powinien powstać także film, który pokazałby Jaroszyńskiego w prawdziwym świetle patrioty i filantropa.

Za siedzibę uniwersytetu wybrano najpierw Seminarium Duchowne, a później klasztor świętokrzyski dominikanów-obserwantów, który Naczelnik Państwa Józef Piłsudski przekazał nowopowstającej instytucji naukowej, wcześniej były tu koszary wojskowe. Warto nadmienić, że Uniwersytet Lubelski od roku 1928 przemianowano na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Obok gmachu głównego znajdował się barak od strony hotelu „Unia”, w którym mieściła się Redakcja Wydawnictw KUL, na czele której stał do 1989 roku Norbert Wojciechowski (1939–2019) absolwent polonistyki. Matka była Niemką, ojciec Polakiem. Pochodził z Kociewia. W baraku swoją siedzibę miało Towarzystwo Naukowe KUL. Obok budynku głównego, frontonu, znajdował się magazyn kulowski, w którym pracował Wojciech Wytrązek. Zaopatrzeniowcem był Zygmunt Sawa. Kierowcami Piotr Ludziak i Marek Wasilewski. Od strony ulicy Łopacińskiego, po dawnych stajniach były sale Duszpasterstwa Akademickiego, które prowadzili oo. jezuici. Pamiętam duszpasterza o. Jerzego Świerkowskiego. Dlaczego? bo dwa lata później podbił mi zaświadczenie o odbytych naukach małżeńskich i dał kopertę z pieniędzmi na ślubny garnitur. Tego się nie zapomina, choć ks. Jerzy w Niebie, ale ja pamiętam o nim, także w modlitwach.

Pisząc o Kul-u nie sposób nie wymienić takich nazwisk jak; Maria Jura – personalna. Wspominam ją niemile, bo przez swoją niekompetencję chciała mnie obciążyć finansowo, gdy pracowałem. W chwili, kiedy podjąłem pracę zgłosiłem w dziale personalnym, że dostaję jakieś pieniądze przy rencie. Nie ukrywałem tego. Kul mi wypłacał mimo tego zgłoszenia. Na koniec personalna powiedziała do mnie: „Niech się pan przyzna, że chciał pan od uczelni wyłudzić te pieniądze” (sic! święta i wpływowa niewiasta sic! Oczywiście pieniądze oddałem, choć powinna ze swoich oddać personalna). Mgr inż. Stanisław Smutek – ogrodnik uczelniany. To dzięki niemu dziedzińiec KUL wyglądał uroczko. Dwa razy w roku zmieniał na dziedzińcu kwiaty, dbał o drzewka i piękną magnolię, która kwitła w maju. I to wszystko w siermiężnym PRL, uczelnia nasza była wizytówką na cały świat. Maria Chomętowska (1924–2013) – to niezwykła kobieta. Wyczarowała proste piękno z drewna. Zaaranżowała wiele ogólnodostępnych przestrzeni Gmachu KUL, Collegium Jana Pawła II, Dworku Struga na Poczekajce, Akademiku Męskiego na Niecałej, domu Pracy Twórczej w Kazimierzu Dolnym. Miała wpływ na wystrój wymienionych miejsc. Jej pomysłowość zaradzała brakowi pieniędzy na uczelni. Na KUL-u można oglądać legendarne krzesła „pajaki i płucka”. Zaprojektowała okrągłe, ciężkie stoły do stołówki, których blaty, a właściwie ich brzegi, chciała wykończyć plastikiem tak, aby nadawały się do turlania. Stoliki w jadalni celowo miały być niewygodne. Uważała, →



III rok historii, 1983, dziedziniec KUL

że stołówka to nie miejsce do długiego przesiadywania tylko do szybkiego konsumowania. W tym punkcie się z nią nie zgodzę. Gdyż stół to w chrześcijaństwie oprócz ołtarza, łoża małżeńskiego, trzeci ołtarz, gdzie się celebrowało jedzenie, wcześniej modląc się przed posiłkiem. Mawiała, że meble nie muszą być wyjątkowo atrakcyjne, bo nasze życie jest wystarczająco bogate, aby nie komplikować go jeszcze formami wnętrza mieszkalnego.

Leszek Mądzik – założyciel Sceny Plastycznej KUL w 1969 roku. Twórca kilkunastu spektakli. Reżyser, scenograf, fotograf. Autor plakatów i okładek książkowych. Promotor uczelni na całym świecie. W Miejskiej Bibliotece Publicznej im H. Łopacińskiego na Światowy Dzień Książki i Praw autorskich 23 IV 2006 roku zorganizowałem mu wystawę okładek i plakatów.

Kazimierz Górski (1944–2009) prof. sztuk muzycznych, chórmistrz, muzykolog, pedagog, wychowawca wielu pokoleń młodych dyrygentów. Kierował chórem akademickim KUL w latach 1971–1998. Ostatnim z wymienionych, którego zapamiętałem był Janusz Kolasa – fotograf, absolwent Historii Sztuki KUL. Ciepły człowiek od pierwszej chwili poznania wzbudzał zaufanie, dobry fotograf.

Od strony al. Racławickiej były korty tenisowe i barak administracyjny KUL, w nim pracowali: Waldemar Krawczyk (1938–2005) słynny „jedynek Magister” – Kierownik Działu Administracyjnego KUL (1978–2004),

Kazimierz Wojtasik (1948–2021) i Kazimierz Zając. Od południa był konwikt, w którym mieszkali księża studenci. Wicedyrektorem i dyrektorem (1983–1993) akademiku księżowskiego przez wiele lat był ks. Kazimierz Ryczan (1939–2017) w latach 1993–2014 biskup kielecki. W jego murach znajdowała się „Przychodnia Akademicka”, na czele której stała lekarz Marzena Kowieska. Notabene, mieszkała w tym samym bloku co ja, przy ulicy Wileńskiej. Ponadto KUL miał akademiki żeńskie na Poczekajce przy ulicy Konstantynów i męski na ulicy Sławińskiego (obecnie Niecała). Wynajmował także od sióstr szarytek budynki na akademiki żeńskie w Krężnicy Jarej. Siostry w 2005 roku sprzedały i opuściły to miejsce. Latem były organizowane wakacje dla dzieci i rodzin pracowników. Nad Jeziorem Rogóźno KUL wybudował ośrodek rekreacyjny dla pracowników. W Kazimierzu Dolnym nad Wisłą remontowano budynek pod Dom Pracy Twórczej (obecnie „Rajchertówka”), który przez wiele lat prowadził Kazimierz Zając, a ja bywałem w nim często.

Tak więc rozpocząłem swoje upragnione studia. To była jedyna prywatna uczelnia katolicka w systemie komunistycznym. Początek miał miejsce 2 października 1978, mimo, iż miałem status studenta eksternisty, chodziłem na wszystkie zajęcia ze studentami stacjonarnymi-dziennymi, łącznie z wychowaniem fizycznym. Kancelarzem Wielkim KUL (1974–1997) był abp Bolesław Pylak (1921–2019). Rektorem uczelni był w latach 1970–1983

o. Mieczysław Albert Krąpiec OP (1920–2008), prorektorem prof. Stefan Sawicki (1971–1983), Dziekanem Wydziału Humanistycznego (1974–1981) prof. Zygmunt Sułowski (1920–1995), a wicedziekanem doc. dr Krystyna Stawecka. Inauguracja roku akademickiego na KUL zawsze odbywa się w trzecią niedzielę października. Wtedy miała miejsce w nowym hollu we frontonie, aula była w budowie. Na inauguracji był obecny ks. Prymas Stefan Wyszyński, wcześniej była msza w Kościele Akademickim, gdzie kardynał Wyszyński ogłosił z ambony, że wszystkie długi względem państwa zostały wykreślone. KUL był opodatkowany jak przedsiębiorstwo, a nie jak uczelnia. Pamiętam przemówienie rektora Krąpca, który długo witał przybyłych gości. Zawsze obowiązkowo byli obecni ambasadorowie państw zachodnich, by podnieść rangę katolickiej uczelni w PRLu, biskupi ordynariusze, władze lokalne i szczególnie Urzędu Ministra Wyznań, który miał adekwatne nazwisko do swego ministerstwa – Kazimierz Kąkol. Rektor chyba specjalnie przekreślał nazwisko w przywitaniu tego jegomościa. Już wtedy uczelnia radowała się z wyboru Karola Wojtyły na papieża i 16 X 1978 r., na frontonie pojawił się napis „Nasz Profesor Papieżem”. O tym, że wybrano Polaka na Stolicę Piotrową dowiedziałem się na sali gimnastycznej przy al. Długosza w Technikum Mechanicznym, zajęcia miałem na sekcji koszykówki. Wszyscy oniemieli, jak jeden ze studentów przyszedł i ogłosił tę niezwykłą wieść. Zapanaowała wielka radość. Wszyscy koszykarze zaczęli skakać w euforii. Władze komunistyczne nie wiedziały, co z tym fantem począć. Ukazały się krótkie notki w lokalnej

prasie i TVP. Na KUL zaczęły się zjeżdżać ekipy wszelkiej telewizji i dziennikarzy z całego świata. To był szok dla wiernych Kościoła katolickiego i jeszcze większy dla komunistów. To wydarzenie było większe niż trzęsienie ziemi. Na uczelni organizowano wyjazd do Rzymu na Papieski Ingres. Staralem się i ja o paszport, ale mi odmówiono, jako wrogowi ustroju socjalistycznego, byłem wtedy rozpracowywany przez SB jako grupa „Termity” działająca w Duszpasterstwie Akademickim na ulicy Złotej. To w czasie pierwszego spotkania – audiencji z Polakami wykonano historyczne zdjęcie, na którym Ojciec Święty Jan Paweł II obejmuje Prymasa Wyszyńskiego. Fotografia była inspiracją do odlewu, a potem do wykonania pomnika, którego odsłonięcia dokonano na dziedzińcu KUL 30 maja 1983 roku. Pomnik odsłonięty został przez prymasa polski (1981–2009) ks. Józefa kardynała Glempa (1923–2013). Jest to jeden z najstarszych pomników upamiętniających Jana Pawła II. Autorem rzeźby jest Jerzy Jarnuszkiewicz, który jest autorem Chrystusa triumfującego w Kościele Akademickim KUL.

Tak więc mocnym akcentem rozpoczęły się moje studia i trwały przez sześć lat (powinny pięć!). W Polsce coś drgnęło. Naród powoli zaczął wstawać z kolan. Wtedy jako student otrzymywałem od SB paszkwile na kardynała Karola Wojtyłę i o. Ludwika Wiśniewskiego. Po przeczytaniu niszczyłem, szkoda, że ich nie zachowałem. To był materialny ślad, źródło perfidnej walki „rządzących-uzurpatorów” z Kościołem.

JERZY JACEK BOJARSKI

KUL, historycy, specjalizacja: archiwizacja, 1983



Ks. EDWARD
WALEWANDER

Listy
otwarte



List do przyjaciela księdza profesora Zygmunta Zielińskiego

DROGI ZYGMUNCIE! Cieszę się, że w moim życiu było mi dane Ciebie poznać. Nasze pierwsze zetknięcie nastąpiło w roku 1967, od kiedy w Katedrze Lubelskiej służyłem Ci do mszy św. Następne spotkanie zdarzyło się dopiero dekadę później. Byłem już wtedy wikariuszem katedralnym, natomiast Ty nadal odprawiałeś w Katedrze. Poznaliśmy się bliżej dzięki jej ówczesnemu proboszczowi biskupowi Zygmunutowi Kamińskiemu. Prędko zauważył, że po siedmioletnich studiach w Innsbrucku czułem się w Lublinie nieco zagubiony. Zapowiedział, że pozna mnie z celebującym u nas profesorem KUL, którego bardzo ceni. Nastąpiło to niebawem. Była to moja sternstunde. Znajomość rychło przerodziła się w przyjaźń. Stała się dla mnie dobrą gwiazdą. Wyrażam Ci za to serdeczną wdzięczność!

Z perspektywy tylu lat byłoby wiele do napisania. Oto kilka myśli bez zbędnych słów. Szukam jakiegoś jednego słowa, które pozwoliłoby mi zdefiniować w Tobie to wszystko, co niedefiniowalne. Sądzę, że tym słowem jest wyczerpać. Ty wyczerpujesz każdy temat, który poruszasz. Omawiasz go gruntownie, sięgasz aż do korzeni, wyciągasz ostateczne wnioski. Widoczne są one nie tylko w Twoich dziełach opublikowanych, ale także podczas spotkań. Każdy rozmówca może liczyć na Twoje inspiracje i życzliwą pomoc.

Nauczyłeś mnie patrzeć. Widzieć, kim byłem w czasie zapomnianym, nieznanym, postrzeganym przez innych. Ale to nie wszystko. Nauczyłeś mnie przewidywać, kim będę jutro w tym niezgłębionym czasie, o którym każdy z nas myśli w duchu. Nazywa się on nieśmiertelnością.

Oto, czego nauczyła mnie lektura Twoich publikacji, zwłaszcza tych z ostatnich lat. Wiedza ta stała się dla mnie niejako testamentem. Twoje życie można porównać do błyskawicy, która rozjaśnia firmament nieba. Jej światło zapisało się również w mojej biografii.

Wiem, że dobry list powinien być pogodny, prawdziwy i odsłaniać przed drugim to, czego nie odważylibyśmy się wyrazić słowami. Najlepsze listy mogłyby powstawać wtedy, gdy wraz z wiekiem jedyną naszą troską staje się zwłaszcza bycie sobą, czyli bycie w pełni szczerym.

W naszych rozmowach często pojawia się maksyma kardynała Newmana: Cor ad cor loquitur. Niechaj więc i w tym liście serce do serca przemawia. Wiem, że dobry list powinien być także krótki i poruszać serce. Czy mi się to uda? Jak pokonać swą skłonność do dłuższych wywodów?

Chciałbym Ci coś ściszym głosem powiedzieć o Tobie, bo może taką formę bardziej zaakceptujesz. Przecież dobrze wiem, że nie lubisz chwalby. Nie bierz mi tego za złe, że zdobędę się na odwagę i dalej dyskretnie będę mówił o Tobie. Współcześnie mało jest historyków Twojego pokroju. I to nie tylko pod względem pracowitości. Wydawałeś nieraz kilka książek rocznie. Do tego dochodziły artykuły, spotkania i naturalnie nierzadko jeszcze zajęcia duszpasterskie. Fenomen Twojej rzetelności to również sprawność literacka. Dorównujesz wielkim mistrzom. Chyba każdy z Twoich uczniów i przyjaciół dobrze wie, że jesteś spadkobiercą najlepszych tradycji polskiej historiografii. Nie ukrywasz w niczym perspektyw swoich rzetelnych, głębokich dociekań. Toteż aktualność i błyskotliwość Twych prac, niezależnie od tego, czy wyszły one drukiem kilkadziesiąt czy kilka lat temu, jest niezwykła.

Z pozoru jesteś może nieco niedostępny. W pełni zyskujesz dopiero przy bliższym poznaniu. A my obaj znamy się już kilkadziesiąt lat! Czasem porównuję Cię do złotego orzecha, ukrytego w trudnej do rozgryzienia łupinie. Komu udało się zgłębić Twą niepowtarzalną osobowość oraz bogatą twórczość i przedrzeć się przez ową łupinę, ten widzi w Tobie człowieka wrażliwego, błyskotliwego, na wskroś uzdolnionego, który potrafi mówić i pisać z ogromną otwartością, wręcz z pasją.

Wybacz, że powiem jeszcze i to. Choć respektujesz wszystkie rygory naukowe, Twoje prace pisane są bardzo przystępnie. Rzetelność i samodzielność poznawcza, wielka erudycja, sprawność języka i specyfika stylu rozpoznawalnego przez czytelników, którzy znają Twój dorobek pisarski – wszystko to sprawia, że Twoje książki cieszą się ogromnym zainteresowaniem odbiorców. Publikacje, zwłaszcza te, które dotyczą współczesnej sytuacji w Polsce i w świecie, charakteryzują się nonkonformizmem,

żywą inteligencją, a przede wszystkim bezbłędną i jasną diagnozą rzeczywistości, podawaną w formie zrozumiałej zarówno dla profesora, jak i dla gospodyni domowej. Walczyłeś ze wszelkiego rodzaju spływaniem - słowem z tym wszystkim, co w Polsce jest reliktem minionego okresu.

Ponieważ znamy się już tyle lat, wypada mi wspomnieć jeszcze - znaną tylko węższemu gronu zaprzyjaźnionych z Tobą osób - rzadko spotykaną aktorską wręcz umiejętność, z jaką płynnie przechodzisz w rozmaite głosy, a przez to łatwo nawiązujesz kontakt ze słuchaczami i tworzysz znakomitą towarzyską atmosferę.

Z Twoich ciekawych opowiadań łatwo można odtworzyć barwne postaci Kościoła, zwłaszcza Twej macierzystej archidiecezji gnieźnieńskiej. Dzięki temu wielu z nas je polubiło. Wymowny jest fakt, że o swoich dawnych przełożonych i przyjaciółach napisałeś artykuły i wspomnienia. Nie pozwalasz, żeby cenne okruchy spadły nie zauważone na ziemię.

Przechodzę teraz do szacunku, a nawet miłości, jaką darzysz ludzi skromnych, ubogich, potrzebujących. Nie raz zdumiewa ona tych, którzy sądzą, że ograniczasz się

tylko do portretowania wielkich tego świata. Ten duch równości między ludźmi, równowaga czyniąca Cię surowym krytykiem tych, którzy stoją na świeczniku, i przyjacielem ich podwładnych, których bronisz, jest Twoją najgłębszą, czystą sprawą.

Na zakończenie zacytuję słowa z serdecznej rozprawy o miłości. Umiłowany uczeń Pański św. Jan Apostoł napisał w swym Pierwszym Liście: „Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec [...], ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy” (1 J, 3, 1-2). Wiele wciąż przed Tobą. Z racji Twoich wyjątkowych 92. urodzin, gdy doznałeś tyle miłości od Pana, życzę, aby Ten, który Cię powołał, nadal hojnie Ci błogosławił!

Drogi Zyguncie! I jeszcze jedno ważne słowo z niezwykłej Mądrości Syracha. To wyznanie mówi samo za siebie:

„Wierny przyjaciel potężną obroną,
kto go znalazł, skarb znalazł.

Za wiernego przyjaciela nie ma odpłaty
ani równej wagi za wielką jego wartość.

Wierny przyjaciel jest lekarstwem życia”. (Syr 6, 14-16). ■

KHALIL GIBRAN

O przyjaźni

Przyjaciel jest twoim zaspokojonym pragnieniem.
Jest polem, które obsiewasz z miłością
i z którego zbierasz z modlitwą dziękczynną.
On twoją mocą i schronieniem,
odczuwając głód uciekasz się do niego
i szukasz go, by zaznać ukojenia.
Gdy on się zwierza, otwórz przed nim swoją duszę.
Kiedy on milczy, niech twoje serce nie przestaje go słuchać,
ponieważ w przyjaźni każda myśl, pragnienie, nadzieja
budzi się w ciszy, a jest dzielona w radości.
A kiedy żegnasz przyjaciela,
nie smuć się ponieważ jego nieobecność pozwoli ci dostrzec
to, co najbardziej w nim kochasz.
I niechaj przyjaźń nie będzie niczym innym,
jak wzajemnym odkrywaniem skarbów ducha,
dzielcie między siebie radość, przyjazne uśmiechy i gesty dobroci.

Khalil Gibran (1883–1931) Libański poeta, prozaik, malarz.

KS. ZYGMUNT
ZIELIŃSKI

Listy
otwarte



Edwardzie

PLENO TITULO, a jest tych tytułów sporo: kapłanie, uczyony, wychowawco, pisarzu, duszpasterzu; dziwi z pewnością, że zabrakło słowa: przyjacielu.

Ale to nie jest słowo łatwe do wymówienia. Im bardziej obecna jest jego treść, tym trudniej ją wyartykułować. Jest obecne w wielu nagłówkach listów, odezów. Ale nie słowa wyrażają przyjaźń, lecz tworzy ją określona rzeczywistość. I ta jest w tym przypadku autentyczna, stąd słowa jak gdyby ją pomniejszają swą ulotnością.

To pleno titulo może trochę za bardzo się rozrosło?! Niech to będzie zapisane na karb mojej, chyba mi wrodzonej, abominacji do tytułów, wielkich słów i laudów.

Przechodząc teraz do treści zasadniczej, chcę Ci szczerze podziękować za tak piękne słowa pod moim adresem skierowane. Gdyby jeszcze kryła się w nich niepodważalna prawda, radość moja nie miałaby granic. Aliści, szczypta jej zaledwie okraszona jest Twoją nader cenną łaskawością i ogromną życzliwością, której od Ciebie doznaję na przestrzeni półwiecza. Jeśli taką miarą mierzy się przyjaźń, to jest jej w bród po obu stronach. Dla mnie cenna jest Twoja pamięć i lojalność w sytuacji, kiedy niewielu moich dawnych znajomych wie, że żyję a jeszcze mniej ma ochotę, by to sprawdzić. Tym większa moja wdzięczność dla wytrwałych, którym przewodzisz bezapelacyjnie.

Nie będę się sprzeczał o to, czym Ci aż tak pomagał, bo z tym nigdy nic nie wiadomo. Mój Profesor, ks. Mieczysław Żywczyński, kiedy mnie zatrudnił powiedział: niech ksiądz nie oczekuje, bym go popierał. Nie wiem do dziś co miał na myśli, a wiem, że tylko dzięki niemu jestem czym jestem. Tak to jest, zatem zostawmy w spokoju ten temat. Ze swej strony też tylko oględnie wspomnę, że Tobie zawdzięczam utwierdzenie się w przekonaniu, że niezależnie od tematyki, jaką się człowiek zajmuje – mnie interesowała zawsze historia polityczna – jako kapłani musimy stawiać na pierwszym miejscu Kościół.

W czasie, kiedy czuję wokół siebie pustkę, bo większość ludzi mi bliskich odeszła, obecność każdego, kogo Bóg postawił na mojej drodze nie ma ceny. W szeregu darowanych mi bliźnich stoisz na samym przedzie. A to,

co piszesz w swoim liście jest tylko tego potwierdzeniem. Podobnie, jak to, co ja piszę jest śladem mojej wdzięczności, Bogu za tak wielki dar Opatrzności, a Tobie za dobre słowo. ■

Lublin, dnia 28 sierpnia 2023 r.



Ks. Zygmunt Zieliński (z lewej) z ks. Edwardem Walewandrem przed katedrą w Łucku w dniu ingresu bpa Marka Trofimiaka 16.05.1998 r.

ARTUR
METERA

Spotkania z Ukrainą – dobre i złe

W OKRESIE POWOJENNYM DORASTAŁEM W LUBLINIE – stolicy województwa, którego wschodnią granicę w dużej mierze pokrywały lasy Polesia i Rostocza, a wysrebrzała ją szeroka wstęga Bugu. Za nim rozciągała się Ukraina – świat dla mnie tajemniczy, obcy i groźny. Taki obraz stworzyłem sobie ze strzępów rozmów rodziców, którzy nawet z dobrymi znajomymi ten temat woleli podejmować na uboczu.

W lipcu 1949 roku rodzice prowadzili kolonię letnią dla mniej zamożnych dzieci ze szkół lubelskich – w Woli Uhruskiej, małej wsi, której zabudowania znajdowały się 500 metrów od starorzecza Bugu. Wieś miała swoje pamiętne momenty w historii. W 1900 roku miejscowość odwiedził car Mikołaj II, który w drodze powrotnej z Chełma do Petersburga wziął udział w odsłonięciu pomnika cara Aleksandra II. W lipcu 1944 roku toczyły się tutaj zacięte walki z Niemcami radzieckich jednostek 8 Armii Gwardii 1 Frontu Białoruskiego, które sforsowały tu Bug.

Nasza grupa kolonijna chodziła często w kierunku granicy na Bugu, aby dojść do starorzecza, gdzie można było się kąpać. Przechodziliśmy wzdłuż rzeki, od której odgradał nas siedmiometrowy pas starannie bronowanej codziennie ziemi, mający wykryć nielegalne naruszenie granicy. Po drugiej stronie był pagórkowaty brzeg, na którym zawsze widać było dwóch młodych żołnierzy z pepesami. Idąc miałem lekki dreszcz emocji – ale machaliśmy do nich, śpiewaliśmy kolchozową pieśń „Hej wy konie, rumaki stalowe”, ale nigdy nie zauważyłem żadnej reakcji.

To Ukraina – mówili rodzice – lepiej nie prowokować. Mieli rację – w okolicznych lasach ukrywali się jeszcze partyzanci, walczący z ówczesną władzą. Pamiętam, że którejś kolonijnej nocy obudziło nas stukanie do okien. Grupa młodych osób kazała mojemu ojcu (Czesław Metera) wyjść na zewnątrz. Czekaliśmy z Mamą i bratem w niepokojach, co będzie. Ale ojciec wrócił. „Kazali otworzyć magazyn z jedzeniem, zabrali chleb, kiełbasę, ser... i odeszli”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Ale następnego dnia zjawili się ubecy z Chełma i znów z obawą czekaliśmy na koniec „przesłuchań”. Już po zakończeniu – usiedli obserwując

próbę montażu słowno-muzycznego z okazji 22 lipca. I nagle – „nie nada” – poderwał się jeden z cywilów. I piękna pieśń – „Czerwone Maki na Monte Casino” została brutalnie usunięta z programu.

Cóż – historia zatoczyła jednak pewien krąg, bo po latach spotkałem się na spotkaniu autorskim z Melchiorzem Wańkowiczem – korespondentem wojennym – autorem książki „Monte Casino”. Odsiedział „za to” w więzieniu 1,5 roku. Egzemplarz tej książki z jego autografem znajduje się w zbiorach rodzinnych. Natomiast Mama – Helena Metera – uczyła w Studium Nauczycielskim na ul. Krzywej w Lublinie razem z Zofią Dekutowską – siostrą najbardziej poszukiwanego po wojnie cichociemnego partyzanta – „Zapory” Hieronima Dekutowskiego, który został stracony w marcu 1949 roku na Rakowieckiej w Warszawie.

W czasach licealnych i studiów na Akademii Medycznej wschodni kierunek wyjazdów był praktycznie niemożliwy. Organizowane były przez duże zakłady pracy lub urzędy „Pociągi przyjaźni” głównie do partnerskiego Łucka. Ale w grudniu 1967 roku chcąc nie chcąc wjechałem na Ukrainę – bez wizy i paszportu. Jechałem do Ustrzyk Dolnych na studencki obóz narciarski. Linia kolejowa wskutek ustalenia granic po wojnie przebiegała przez tereny ówczesnego Związku Radzieckiego. Ostatnia stacja po polskiej stronie to Malhowice. Zaledwie 100 m od granicy. Tu granica to tzw. sistema – czyli ogrodzenie z drutu kolczastego. Ostrzegają nas przez megafony o zakazie otwierania okien, wychylania się czy wyrzucania czegokolwiek.

W latach 80. po polskiej stronie granicy opowiadano anegdotę o tym, jak żołnierze zatrzymali pociąg, ponieważ zobaczyli wypadający spod niego zadrukowany kawałek papieru. Jak wykazało przeprowadzone naprędce śledztwo, nie były to jednak żadne antyradzieckie materiały, lecz gazeta użyta w kolejowym ustępie z powodu braku papieru toaletowego...

Na stopniu pierwszego i ostatniego wagonu w dwudziestostopniowym mrozie stają uzbrojeni żołnierze – bo a nuż ktoś chciałby wysiąść po drodze. Przejazd przez →



Zasieki na granicy polsko-radzieckiej, lata 60. XX stulecia

Związek Radziecki – łącznie z oględzinami pociągu przeprowadzanymi każdorazowo przez radzieckie służby – trwał około półtorej godziny.

Przez szereg lat nie miałem żadnych powodów, aby myśleć o Ukrainie. Życie prywatne i zawodowe nie zostawiały wiele czasu.

W 1980 roku miała się odbyć w Moskwie letnia olimpiada. Otworzyła się szerzej granica ze Związkiem Radzieckim – pojawiło się dużo atrakcyjnych ofert wycieczkowych. Był kwiecień, jeszcze widać było resztki śniegu. Wybraliśmy trasę Moskwa–Erywań–Tbilisi–Kijów. W Polsce nie było lekko żyć – kartki prawie na wszystko: mięso, kawa, buty, papierosy, wódka, benzyna. Ale w małej miejscowości – Prabutach, gdzie pracowałem jako dyrektor dużego zakładu leczniczego nie doświadczaliśmy tego zbyt dotkliwie. Jednak dla psychicznego „oddechu” postanowiliśmy ruszyć na 2 tygodnie z Polski.

Lot z Warszawy do Moskwy – już trochę emocji, bo przez dobre pół godziny towarzyszyły nam wojskowe odrzutowce. Lotnisko Wnukowo – pełne podróżnych, starsze kobiety nawet z wiklinowymi koszami, owinięte w grube chusty – to podróżni lokalni, bo z uwagi na obszar ZSRR samolot był częstym środkiem lokomocji. Nasza odprawa przeszła gładko, ale moją uwagę zwróciła rewizja bagażu mężczyzny, który (jak można było zgadnąć po nalepkach na walizkach) przybył z Zachodu. Każda

rzecz była dokładnie oglądana, a nawet elegancko ubrane funkcjonariuszki odkręcały kosmetyki, kremy i palcami szukały „zakazanej” zawartości.

Kilka dni pobytu w Moskwie – kolejka na placu Czerwonym do Mauzoleum Lenina – mieszane wrażenia widoku szklanej trumny i woskowej postaci strzeżonej przez dwóch młodych czerwono-gwardzistów – „warta honorowa”(?)

Mieszkamy w dużym hotelu na obrzeżach miasta u stóp wieży telewizyjnej Ostankino, która wówczas była najwyższą budowlą na świecie (540 metrów). Fundamenty wieży, dzięki zasadzie „wańka-wstańka” sięgały zaledwie 3,5–4,6 metra w głąb ziemi.

Pokoje przyzwoite, bez luksusu – ale już 10 minut po wejściu – pukanie do drzwi. To sprzątaczkę, które gotowe są kupić wszystko, co mamy w bagażu. Dokonujemy niewielkiej transakcji, żeby nie były zawiedzione. Posiłki skromne – zamawiamy kolację. Przynoszą nam niewielkie porcje zupełnie białej jajecznicy z szynką. Po zapytaniu młoda kelnerka tłumaczy, że żółtka są przeznaczone do wypieków – dziwi się, że nie rozumiemy tak prostej rzeczy. Zostało powiedzenie – „moskiewska jajecznica”

Odlatujemy z zimnej Moskwy – zostawiamy szerokie perspektywy – ulice, gdzie na sygnał zielonego światła ruszają naprzeciw siebie szeregi aut – kto mocniejszy – ten ma pierwszeństwo.

W Erywanii na lotnisku wita nas „żar”. Jak na wczesną wiosnę 20°C to było miłe zaskoczenie. Stolica Armenii robi wrażenie cieplej, przyjaznej. Może dzięki słonecznej pogodzie, a może dzięki budynkom o czerwono-różowej barwie. Właśnie takie kolory miał tuf – materiał budowlany pochodzenia wulkanicznego powszechnie tutaj używany.

Siadamy na ławce na skraju jednego z licznych skwerów z młodą przewodniczką, mówiącą po polsku (była w Warszawie na studiach).

Opowiada legendę o powstaniu Armenii.

„Bóg spoczął po stworzeniu świata i rozdaniu wszystkich ziem różnym narodom świata. Wtenczas przybiegli do niego spóźnieni Ormianie i poprosili o kawałek ziemi dla siebie. Bóg załamawszy ręce odrzekł, że jedyne, co mu pozostało to kraina pełna gruzów i kamieni, gdzie absolutnie nic nie ma. Ormianie przyjęli ją od Boga i uczynili krainą mlekiem i miodem płynącą, co osiągnęli swoją ciężką pracą i sprytem, z którego słyną w regionie”.

Już w 301 roku król Armenii Tiridates III ustanowił chrześcijaństwo religią państwową, co czyni Armenię najstarszym chrześcijańskim państwem świata.



Wieża telewizyjna, Ostankino, Moskwa



Chaczkar z 1291 r. z klasztoru Goszawank, Wikipedia

Z naszego okna w hotelu rozciąga się rozległa panorama na pobielone śniegiem szczyty gór Kaukazu z biblijnym szczytem Ararat, gdzie według przekazów osiadła arka Noego. To już Turcja a „dymiący” – spowity chmurami wierzchołek przypomina o tragicznych dziejach konfliktów między tymi krajami.

W latach 1895 i 1915 władze tureckie przeprowadziły na ziemiach zachodniej Armenii dwie fale czystek etnicznych (ludobójstwa) znane dziś pod nazwą rzezi Ormian. W ich toku wymordowano 1–1,5 mln Ormian. Niedaleko Erywanii wchodzimy do majestatycznego Mauzoleum, gdzie płonie wieczny znicz i stoimy – pogrążeni w przejmującej żałobnej muzyce.

Dobry nastrój powraca wieczorem przy kolacji połączonej z degustacją koniaku Ararat. Stwierdziliśmy, że zasługiwał na swoją renomę. W 1901 roku, na najbardziej prestiżowych targach win i koniaków w Paryżu zachwycone jury przyznało armeńskiemu wyrobowi (wystawionemu anonimowo) – Grand Prix. Okazało się, że napój powstał w Armenii, a nie we francuskiej prowincji Cognac. Wybuchł skandal. Sędziom nie wypadało jednak zdyskwalifikować trunku, któremu przed chwilą przyznali główną nagrodę, a więc jako pierwszy, dostaje certyfikat jakości i może posługiwać się nazwą „koniak”.

Mówią, że podczas konferencji jałtańskiej w 1945 r. Winston Churchill, premier Wielkiej Brytanii w latach





Ararat – święta góra Ormian, obecnie na terenie Turcji

1940–1945, był zachwycony smakiem koniaku armeńskiego, który podarował mu Józef Stalin, rządzący Związkiem Radzieckim od lat 20-tych do 1953 r. Od tego momentu W. Churchill co roku prosił o wysyłanie mu 400 butelek rocznie.

Pożegnanie z Armenią w restauracji nad jeziorem Sewan – podobno najlepsze pstrągi na świecie. Być może, bo w scenerii górskiego jeziora wszystko wydawało się naj...

Opuszczamy Armenię autokarem przez górskie drogi Kaukazu. Trasa kręta – podróż niestety prawie cały czas we mgle. Tylko czasem – w słonecznych „okienkach” pokazują się jak w fotoplastykonie urwiste skały i głębokie kaniony. Ktoś westchnął – piękne, ale moja choroba lokacyjna woli mgłę.

Tbilisi – stolica Gruzji. Jakoś bardziej surowo, mniej kolorowo, majestatycznie. Hotel w centrum – naprzeciw wykutego w skale wejścia do metra. Obok rozstawione stragany z owocami – kupujemy granaty. W tym czasie to dla nas egzotyka – ale nie zachwycam się, same pestki, nieco cierpkie. Obok jakieś pamiątki – takie zderzenie nowoczesności i prowincji.

Wizyta w Gruzińskim Muzeum Sztuk Pięknych – dech zapierająca ekspozycja złotych precjozów. Prezentowane są unikalne wyroby ze złota i srebra, biżuteria, ozdoby oraz złote hafty. Pod względem ilości i wartości artystycznej zasobów orientalnych, muzeum plasuje się drugim miejscu w świecie zaraz po zbiorach Ermitażu i Muzeum Sztuki Orientu w Moskwie.

Następny dzień – przypomnienie nieco ponurej przeszłości. Wyjazd do Gori, niepozornego miasta leżącego 85 kilometrów od Tbilisi.

Tutaj 18 grudnia 1878 r. urodził się Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili, późniejszy dyktator Związku Radzieckiego używający nazwiska Józef Stalin. Stoję przed monumentalnym „mauzoleum”, którego kolumnada obejmuje niepozorną chatę – to rodzinny dom późniejszego wodza.

Imponujący pomnik – kult Stalina w Gori był silny już przed II wojną światową. A widać, że nawet do dzisiaj.

Z pewną ulgą (tu wyraźnie historia mogła przytłaczać) wracamy do hotelu – gdzie na każdym piętrze – na skrzyżowaniu korytarzy – przez 24 godziny dyżuruwała „etażowa”. To zaufana sprzątaczką pilnująca, a właściwie śledząca, osoby, które mogłyby odwiedzać gości hotelowych.

Kilkugodzinny lot do Kijowa – prawie bez historii, nie licząc wpadania w powietrzne „dziury” i nagłych przechyłów wysłużonego samolotu. Hotel w centrum miasta, w skromnych realiach epoki socjalizmu. Ale za to w pobliżu Kreszczatika – głównej alei Kijowa. Jej zabudowa zniszczona podczas II wojny światowej, została odbudowana w latach 50. XX wieku w stylu socrealistycznym.

Spacerujemy, oglądamy wystawy, wchodzimy do muzeum – taka rutynowa marszruta, wiele z tego nie utrwali się w pamięci...

A jednak zaraz wpadamy w średniowiecze – to Ławra Peczerska – prawosławny klasztor nad Dnieprem, siedziba zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. Już z daleka widać złożone kopuły licznych cerkwi

dobudowywanych od powstania tu świątyni w XI wieku. Taka ilość kopuł – to barok kozacki, bogaty w zewnętrzne freski i zdobienia.

Pierwsza część świątyni – to Ławra Górna z imponującą dzwonnica i przepięknym widokiem na Dniepr. Monumentalnie i bogato. Ale zaraz czujemy się nieswojo, gdy wchodzimy do katakumb Ławry Dolnej. Podziemne korytarze, ciemne, wąskie – oświetlone rozwieszonymi kagankami i ogarkami świec pielgrzymów. Przeciskamy się niskimi schodami – ściany przeszklone z widocznymi trumnami zmumifikowanych mnichów, którzy zostali uznani za świętych. Gdzieś tam, oświetlona delikatnym światłem świeczki, wylania się spod złoconego materiału poczerniała, zasuszona dłoń. Szokują nas pielgrzymi, którzy te szklane okna-trumny całują z głęboką pobożnością.

Każdy pielgrzym czyni to samo. Pocałunek za pocałunkiem. Każda trumna całowana jest kilkaset razy dziennie. Ta religijność i te objawy uwielbienia odbiegają od naszych norm. Wychodzimy na zewnątrz z bardzo mieszаныmi odczuciami.

Przed nami piękny wysoki brzeg Dniepru, gęsto zadrzewiony, z nieśmiały, delikatnymi pierwszymi zielonymi liśćmi.

Do Parku Wiecznej Chwały prowadzi aleja z grobowcami żołnierzy walczących i zasłużonych w obronie Kijowa – prosto do Grobu Nieznanego Żołnierza. Znajduje się tu wieczny ogień, a nad nim strzelisty obelisk.

Przy obelisku całodobowa warta honorowa – właśnie będzie zmiana. W zbliżających się postaciach widzę dzieci. To pionierzy ze starszych klas szkół podstawowych i licealiści. Niektórzy mają karabiny (nie atrapy). To lekcja patriotyzmu – następni będą za pół godziny. Nie wiem, czy podzielać ich dumę z wyznaczenia do warty, czy obawiać się takiej „nauki”.

Ale to już za nami. Kończymy pobyt w Kijowie w hotelowej restauracji, gdzie czujemy się bogaci z naszymi złotówkami. Zamawiamy coraz to nowe rosyjskie „szampany” i to nie tylko dla nas – integrujemy się z nieznanymi przy sąsiednich stolikach. Oj, zaszumiło, zaśpiewało się „Hej, sokoły...”

I w takich nastrojach odlatujemy do Polski

Kijów – defilada wojsk polskich ulicą Wielką Włodzimierską, maj 1920, fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Rok 1988 – z Leszna, gdzie obecnie mieszkamy wyruszamy wraz z dziećmi (Darek 13 lat, Dominika 10) na wakacje samochodem do Grecji. Plan ambitny – to 2 500km, przejazd przez Ukrainę (a dokładnie przez Ukrainską Socjalistyczną Republikę Radziecką), Rumunię, Bułgarię. Trzeba jeszcze załatwić talony na tankowanie benzyny w krajach tranzytowych i zgromadzić odpowiednie „zapasy” jedzenia na drogę, a częściowo i na pobyt.

Wiadomo, że podróż potrwa – dlatego do naszego poloneza doczepiamy dosyć obszerną przyczepę kempingową. Jedziemy (cztery samochody) – pierwszy nocleg niedaleko po około 200 kilometrach trasy, ale wyjechaliśmy zbyt późno, aby forsować jazdę. Następny nocleg – to pole campingowe w Przemyślu.

Stąd startujemy – my polonezem z przyczepą i fiat 126p. Na przejściu granicznym w Medyce długa kolejka, głównie urlopowicze. Standard samochodów różny – od eleganckich limuzyn do nieco przyrdzewiałych małych fiatów (125p). Ale prawie każdy z bagażnikiem na dachu, często z metalowymi kanistrami benzyny. Zaskoczył nas widok samochodu na holu też z wyraźnym bagażem wakacyjnym.

– Awaria? – mówię do kierowcy. – Nie, oszczędność paliwa! – uśmiecha się porozumiewawczo do mnie. Ale

zaraz potem zaczynają się nasze kłopoty. Mając świadomość, że z przyczepą pojedziemy wolniej – wyruszamy godzinę wcześniej od naszych towarzyszy. Staramy się jechać szybko – co spowodowało, że nie zjechaliśmy w kierunku południowym, a pędzimy na Kijów! Chyba po 50 kilometrach zauważam, że coś nie tak. Zawracamy – i już obieramy poprawną trasę. Cóż musimy jechać jeszcze szybciej, aby dogonić naszych przyjaciół. Długi odcinek szosy biegnący w dół. Ograniczenie do 60 km/godz., ciągła linia, zakaz wyprzedzania – ale nam się spieszy, mamy koło setki. Wyprzedzam zbyt spokojnie jadące auto – i niespodzianka!!! Kontrola prędkości z urządzeniem chyba tylko przypominającym radar. Wiem, co to znaczy – jak nie załatwisz sprawy na miejscu – dostajesz wypisany mandat, z którym trzeba udać się do najbliższego miasta, opłacić i dopiero można jechać.

Zaczynam negocjować z dwoma funkcjonariuszami – nawet sympatyczni z wyglądu. Cóż – trzy wykroczenia naraz. Oglądają nasze samochody, dzieci trochę wystraszone.

– No i kak budiet? – pytam przypominając sobie kilka lat obowiązkowej nauki języka rosyjskiego w szkole. Spojrzeli po sobie jakby zakłopotani. I zaskakują nas pytaniem – A u was jest solce zaszczytnyje oczki? Kołgotki, ženskije

Kijów, centrum miasta, lata 80. XX stulecia





Ławra Peczerska – prawosławny klasztor nad Dnieprem

czułki? Oddychamy z ulgą – na to byliśmy przygotowani przed wyjazdem. – mamy i okulary słoneczne, rajstopy, pończochy, Dorzucamy jeszcze długopisy i rozstajemy się, wszyscy zadowoleni. Nocleg – widzimy pusty, obszerny parking przy lesie. Zatrzymujemy się, aby wypocząć. Za 15 minut zjawia się policja. *Nie nada* – mówią – *opasno*. Niebezpiecznie? Chyba mieli rację – za 20 km jest duże pole kempingowe, kilkadziesiąt polskich samochodów – jedni jadą na południe, inni wracają. Rozmawiamy – raczej tematy mało optymistyczne. A to kradzieże, czasem napady – a przed nami jeszcze Rumunia i Bułgaria.

Około północy dosiada się do nas Sasza, z obsługi kempingu. Wyciągamy flaszkę, język mu się rozwiązuje – ale czujemy, że nie mamy u nich „dobrych notowań”. Wyraźnie – bieda, kompleksy i słaba nadzieja na lepsze czasy.

Rano ruszamy. I nagle czuję mocne szarpnięcie, widzę moje tylne koło od samochodu, które nas wyprzedza i pędzi pod górę środkiem jezdni wprost na nadjeżdżające pojazdy. Dla nas o tyle dobrze, że tył samochodu nie upadł na jezdnię – ochroniło nas zawieszenie przyczepy. Dogoniliśmy koło – oglądamy. Diagnoza jedna – ktoś w nocy odkręcił lub poluzował wszystkie śruby w jednym kole. To mogło skończyć się tragicznie!!!

Zatrzymujemy jakiś lokalny samochód – okazuje się, że opodal jest zakład mechaniczny miejscowego kołchozu. Przykręcamy koło trzema śrubami (po jednej z pozostałych kół). Jedziemy tam – trochę z obawą, bo nie wolno było zjeżdżać w głównej drogi. Znajdujemy wiatę za rozpadającym się ogrodzeniem.

Młody chłopak, w czarnym od smarów kombinezonie obejrzał śrubę, pomierzył, uruchomił trzęsącą się to-karkę – po godzinie były cztery śruby, co prawda, żeliwne, ale pasowały.

Droga powrotna z Grecji – też trwała 3 dni, z holowaniem malucha 126p przez całą Rumunię. Ukraina wydała się nam znowu przyjazna. Już z humorem przyjęliśmy fakt, że gdy głodni podjechaliśmy około 13-tej do restauracji na obiad – przeczytaliśmy, że do godz. 15-tej jest zamknięta z powodu przerwy obiadowej. Po kilkunastu kilometrach dalej zajeżdżamy na parking oznakowany tablicą ze znanym nam skrzyżowanym widelcem i łyżką i szukając baru widzimy zdziwione oczy. Ten znak – tłumaczy ukraiński kierowca – to obecność miejsca, gdzie można się zatrzymać i zjeść – ale tylko jeżeli się ma swój prowiant.

Zatrzymujemy się jeszcze w Trembowli, mieście związanym historią z Polską – przy przelotowej ulicy zaczepiamy starszego pana, wychodzącego z księgarni. Gdy usłyszał polski język zaprosił nas do środka, zamknął drzwi od wewnątrz i widać, że z pewnym wzruszeniem, z radością mógł swobodnie porozmawiać po polsku. Kupujemy dużą zwijaną mapę świata i barometr z termometrem w kształcie koła sterowego.

I może tak symbolicznie – ta mapa i to koło pozwoliło nam już bezpiecznie dotrzeć do domu.

JADWIGA
MIZIŃSKA

Cykl: Przelotem

Krzywa 19: Biskupiak i Liceum Pedagogiczne

LUBLIN ZASŁYNAŁ JAKO MIASTO KILKU WZGÓRZ, na czeluże ze wzgórzem zwanym Czwartkiem. W miarę jak miasto zaczęło się rozrastać, zagarniać dalekie przedmieścia, również i mój horyzont się rozszerzał. Jako uczennica Liceum Pedagogicznego z ulicy Krzywej 19, sąsiadowałam z kościołem św. Mikołaja. Stopniowo uczniowie poznawali centrum, zwłaszcza Stare Miasto, a potem pryncypalne Krakowskie Przedmieście.

Na samym początku głównym orientacyjnym punktem, stał się dla nas czteropiętrowy budynek pokryty czerwoną dachówką, górujący nad Czwartkiem – widać go było z bardzo daleka. Mówiło się o nim „biskupiak”. Nikt nie dociekał znaczenia owej dziwnej i nazwy. Mieliśmy jedynie podejrzenie, iż kryje się za nią jakaś tajemnica. W owych czasach obowiązywał państwowy ateizm; nie wolno było nauczać religii. Mimo to, w niedzielę co śmielsze uczennice wymykały się do kościoła na mszę. Jeden z wychowawców, nauczyciel muzyki, ochotniczo stawał na warcie przy wejściowych drzwiach i zawracał „przestępców”. Owo przestępstwo, warte mimo wszystko ryzyka; pod samym ołtarzem w karnych rzędach stali jacyś chłopcy; anonimowa legenda głosiła, że są to resztki uczniów „biskupiak”. Obie strony – dziewczyny i chłopaki – czyhali na okazję, by się ukradkiem za siebie poogłądać. Krążyły plotki, iż ktoś przez dziurkę od klucza wciskał zwinięty w rulonik liścik. Takim sposobem odbywała się korespondencja między anonimową Julią i Romeem. Do tej pory nie mogłam się nadziwić pełnej izolacji od granicznej ściany, dzielącej dwie szkoły – świecką oraz „świętą” w tym samym budynku.

Dopiero ostatnio natrafiłam na wspomnienia ks. Edwarda Walewandra („Lublin. Kultura i społeczeństwo”, nr 3 rok XIX 2022).

Ich tytuł brzmiał: „Moja szkoła po latach”. Zdziwiłam się i wzruszyłam. Równie dobrze mogłam identycznie zatytułować własne wspomnienia. Wraz z dawnymi uczniami Liceum Pedagogicznego, gromadziliśmy swoje wspomnienia, czasem spisane w listach. Liceum Pedagogiczne, przemienione potem na Studium Nauczycielskie, również uległo likwidacji. Z okazji półwiecza

matury, postanowiliśmy kontynuować tradycję comiesięcznych spotkań. Odżyły dawne przyjaźnie, odwiedzaliśmy groby naszych nauczycieli, omawialiśmy szczególne zapomnianych wydarzeń. Krzywa 19 – adres jedynego budynku na tej ulicy, stała się symbolem naszej młodości. W mojej książce „Żuńczyk”, odtworzyłam pełną listę uczniów „naszej klasy”.

Tymczasem określenie „Moja klasa”, tytuł artykułu ks. Edwarda Walewandra, zawierał zgoła odmienną treść. Oto jego początek:

„Święty Łukasz w swojej Ewangelii informuje nas, że któregoś dnia Jezus >przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać< (Łk. 4, 16), a po przeczytaniu urywka z księgi proroka Jeremiasza >Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie, abym obwołał rok łaski u Pana< (Łk. 4, 18–19), zaczął przemawiać do zebranych w świątyni. Nawiązał przy tym do swojej misji, podkreślając, że w Nim spełniają się przeczytane słowa Pisma, co niestety wśród jego słuchaczy zrodziło ostrą reakcję. >Porwawszy się z miejsc, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili na urwisko góry, na której zbudowano ich miasto, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy obok nich, oddalił się.< (Łk. 4, 29–30). My wszelako jesteśmy tu, w tej szkole – XXI Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Kostki w Lublinie, potocznie zwanym też Biskupiakiem, bo w latach 1923–1949 znane było jako Wyższe Gimnazjum Biskupie Męskie, biskupa lubelskiego, mając go za prorektora – aby jeszcze zbliżyć się do Jezusa, a przez Niego do siebie nawzajem”. (s. 12)

Od czasu matury z roku 1959, nasi koledzy – głównie nauczyciele i pedagodzy – zachowali ze sobą kontakty, odnowione dzięki zjazdowi absolwentów. Liczne spotkania



w Lublinie, potwierdziły mocne więzi z dawno już zlikwidowanym Liceum Pedagogicznym. Wszyscy byli zgodni, iż zawdzięczają mu wspaniałych wychowawców, którzy nie tylko nauczali, ale też wpajali nam ideały przyzwoitości, uczciwości oraz troski o dobro dziecka, bezinteresownej miłości do słabszych. Niezależnych od ideologicznych nakazów wartości. Tak zwana ateizacja przez naszych wychowawców traktowana była z przymrużeniem oka. Co prawda trzeba było urządzać codzienne „prasówki”, apele, oraz uprawiać inne rytuały-rocznice Rewolucji Październikowej, pierwszomajowe pochody, akademie „ku czci”. Wszakże nikt nie naciskał na wyzbycie się wiary. Kiedy teraz czytam wspomnienia o „biskupiaku”, zauważam spore podobieństwa między „sąsiadami”. Szkoda tylko, iż prawie się nie znaliśmy. Niezbyt grube ściany były nieprzenikalne. Z jednym tylko wyjątkiem, o jakim mi opowiedziała młodsza moja siostra Halinka. Jej koledzy, sąsiadowali przez sufit z biskupiakiem. Podczas grupowych ćwiczeń gry na skrzypcach, wywoływali kakofonię dźwięków. Sąsiedzi z góry, zirytowani ciągłym hałasem, spuszczały na sznurku myszy...

W pierwszym roku licealnej nauki, wszystkie równoległe klasy pod opieką wychowawców wyruszyły na długą wycieczkę do Starego Lasu. Wędrowaliśmy kilka godzin po polach, gęsto przetykanymi wąwozami. W głębokich jarach mijaliśmy się z drabiniastymi wozami z żelaznymi obręczami na kołach. Wreszcie dotarliśmy do Starego Lasu. Ogromne, rozłożyste dęby, cudowny pod nimi cień... można było się rozłożyć na gęstej murawie i odpocząć. Po krótkim odpoczynku – zbiórka, następnie

występy i wspólne śpiewy. Druhna drużynowa, Jasia, ubrana w harcerski mundurek, starsza o trzy lata, uczyła nas pieśni harcerskich i partyzanckich:

Oto tekst, przypomniany po latach przez Tereskę Frelek:

Nasz dobry lesie, dlaczego tak kochamy ciebie,
A w twoim gąszczu czujemy się jak gdyby w niebie
Pod twoim skrzydłem bezpiecznie na Germana
swą szykuję broń
A w głębi lasów-naszych szałasów
Pieśń zemsty płynie w las.

Przyjdzie kiedyś odwetu czas
Przyjdzie, i w wir walki porwie nas
Wtedy będą nam steny grały, będą się serca rwały
Wtedy porzucim las.

Inna, anonimowa partyzancka piosenka, jak się potem okazało, została ułożona przez Stanisława Magierskiego, któremu w przyszłości, wraz z żoną Danutą, harcerką Szarych Szeregów, więźniarką lubelskiego zamku, poświęcono lubelską ulicę.

Dziś do ciebie przyjść nie mogę.
Zaraz idę w nocy mrok
Nie wyglądam za mną oknem
W mgle utonie próżno wzrok
Po cóż ci kochanie wiedzieć
Że do lasu idę spać?
Dłużej tu nie mogę siedzieć,

Czeka na mnie leśna brać
[...]
Gdy nie wrócę niechaj z wiosną
Rolę moją sieje brat
Kości moje mchem porosną
I użyźnią ziemi szmat

W pole wyjdź pewnego ranka
Na snop żyta dłonie złóż
I ucałuj jak kochanka
Ja żyć będę w kłosach zbóż.

Ostatnie wersy owej pieśni, utkwily w mojej pamięci jako prawdziwa poezja. Głęboko poruszyły mnie słowa „...żyć będę w kłosach zbóż”. Jako wiejskie dziecko, brałam udział w różnych polowych pracach, zwłaszcza w żniwach podczas wakacji. Żniwa, koszenie żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia, zwykle w czasie upałów, dla małych dzieci bywały mordęgą. Babcia Władzia, która nieraz sama musiała kosić kosą, gdyż Dziadek Stanisław chorował na astmę, miała wybitny talent do porywania za sobą wszystkich żniwiarzy. Zachęcała własnym przykładem do zamiany mordęgi na radość wspólnego trudu. W samo południe, gdy się nasilała „sreżoga”, stawiała na sztorc kilka snopów, i w cieniu kępy tarniny zarządzała odpoczynek. Zjadało się wówczas przygotowane wcześniej kromki chleba ze smalcem pełnym skwarków z pieczonego mięsa. Obok czekała pojemna kanka z czarną niesłodzoną kawą „Turek”, doskonale gaszącą pragnienie.

W oczach Babci Władzi, najwyższą cnotą jawiła się pracowitość. Nie po prostu wykonywanie obowiązków, lecz entuzjazm do mądrej pracy. Takiej, jaka nie tylko przynosi pożytek, ale i wywołuje zadowolenie i prawdziwą radość.

Najgorszą zaś obelgą było określenie „liń dziewucha”. Uroda, nawet największa, bynajmniej się nie liczyła; „w ładnym ciele cnoty niewiele” – ostrzegała Babcia.

Gospodarstwo wiejskie w Polsce, które się ostało przed propagandą kolchozów, nawet „za Stalina” stanowiło swego rodzaju państwo w państwie. Słowo pan, a zwłaszcza „pan z panów”, było powodem do dumy. Gospodarz, czyli pan na gospodarstwie, był zaszczytem. Czesław Miłosz, pisał o Bogu, że to Jemu jest powierzone Gospodarstwo Świata. Przeciwnieństwem gospodarza, wolnego człowieka, był w tamtym czasie fornal, albo parobek. Albowiem podlegli cudzym rozkazom. Z tego powodu tak zwana demokracja ludowa, u prawdziwych gospodarzy, wywoływała ironię lub zgola bunt.

„Pracować na swoim” – to tyle, co troszczyć się o siebie i o swoich bliskich; czuć pełną odpowiedzialność, nie tylko o ludzi, ale i o inwentarz, o wszystko co żywe,

o „żywiolę” czy „żywiznę”. Nie było jeszcze miejsca na późniejsze pojęcie „ekologia”. Pomimo tego obowiązywała zasada „dobry gospodarz nie kopnie nawet psa”.

Powracając do słów piosenki Stanisława Magierskiego, „ja żył będę w kłosach zbóż”, długo łamałam nad nimi głowę.

– Jakże to? Rozstrzelany partyzant, po śmierci pociesza narzeczoną, iż mimo wszystko będzie na zawsze żył w kłosach zbóż...

A przecież wystarczyłaby nauka Jezusa z Ewangelii: o ziarnie, zakopany w ziemi, które wiosną wykiełkuje, zrodzi źdźbła, urosnie, rozwinie się, a gdy dojrzeje, zaowocuje kłosem pełnym złotych ziarenek.

Śmierć natenczas jest straszna, jeśli staje się bezowocna!

Stary Las, złożony ze starych rozłożystych dębów pełen śladów po okopach, kojarzył się nam głównie z jego partyzancką przeszłością. Las, na równi z partyzantami uczestniczyli w historii.

Po kilku dziesięcioleciach, razem z dawnymi kolegami, przy każdej okazji, potrafimy je zaśpiewać. Niedawna wojna kładła się na naszym pokoleniu złowrogim cieniem. Patriotyczne wychowanie młodzieży obejmowało również obowiązkowe zwiedzanie Majdanka. Z tej wycieczki najgłębiej zapamiętałam przemoknięte buty. Rozmokły śnieg, wielogodzinne stanie na mrozie. Większość młodzieży była bardzo biedna, byle jak ubrana.

Nazwa Majdanek – dawnej podlubelskiej wioski, już na zawsze mi się skojarzyła z nieszczęściem i z cierpieniem więźniów koncentracyjnego obozu, ale też z bólem przemarzniętych uczniowskich stóp.

Czy jest sens stopniować ludzkie cierpienia? Czym je wymierzać?

Wcześniej przywołane słowa ks. Edwarda Walewandra, z cytatem z Ewangelii Łukasza, który powtórzył za Jezusem swoje powołanie, kończąc je słowami „bym obwoływał rok łaski Pana”, dla mnie zabrzmiały niby głos dzwonu Zygmunta. Oprócz wszelkich zakazów i nakazów surowego Dekalogu, Jezus, Dobry Nauczyciel, modlił się do Ojca, by udzielił nam wszystkim ł a s k i. Łaski powiązanej z miłosierdziem. Zdolności do wybaczenia cudzych i – zwłaszcza – własnych win.

Winy obojętności, nieuważności, egocentryzmu, przeoczenia najbliższych sąsiadów odgradzonych od siebie jedynie cienką ścianą Wspólnego Budynku nakrytym identyczną czerwoną dachówką. W jego cieniu rosły dwie płaczące wierzby. Kogo teraz oplakują?

Krzywa 19, niezapomniany adres Naszej Szkoły, jakkolwiek wymieniony na inny, dla mojej generacji stał się jej wizytówką, po której się wciąż poznajemy.

dla Jesienina

Zaszedłem tak daleko, że Twa ręka nie sięgnie,
zaś usta tylko chyłkiem dotrą do mej skroni.
Ja nigdy nie uwierzę, że miłość to hańba, za którą życiem płacę codziennie, co chwilę,
za każdym z wychylonych przeze mnie kieliszków.
Więc będę zebrał o słoneczne ranki, o noce gwiazdne, parne, lepkie i gorące,
bo mi w tym Leningradzie rozpaczliwie, podle
i nawet skroń za twarda jest dla kuli.

Poeci z Lublina

Noc siadła nad Lublinem, a Ty wiersze piszesz,
czoło do czoła, czule pomienione.
On młody, prosty jak cięciwa łuku, ty niczym Sara nad Jordanem stoisz.
Markowi los już swe stopy układa, a ty wsłuchana w tę samotną ciszę,
o której tylko on był zwiastowany,
z promieniem słońca we włosach za długich.
Franciszko, próżno lampa nad stołem się pali, jej światło nie zadławi przekleństwa proroków,
ten szal cię nie zawiedzie na dalekie łąki, na przestrzenie cudowne,
tam gdzie nie ma Boga.
Józefie, trudno z miłością się rozstać, więc załóż na włosy koronę z papieru,
a potem zamilcz kornie pod gruzami,
na szalu krwią kwiecistym, prochem obsypanym.

Marynia

Dalej, niż teraz, ale niedaleko był piec kuchenny, mruczący niedbale,
gdzie w popielniku piekły się kartofle, bo o ziemniakach nie słyszał on wcale.
Był siennik, z roku na rok wymieniany, obraz z Aniołem miecz swój targającym
i była Marynia, warkocz zaplatała, zanim do piekarni poszła po solanki.
Były pelargonie, jak maki czerwone, nocowały na szarym, długim parapecie,
a nocą, gdy pieczone kartofle pachniały, rzucały płatkami na ciemne podwórko.
I była modlitwa do tego Anioła, co miecz dzierzył mściwy, ale twarz miał dziecka,
by warkocz miała dobrze zapleciony, kuchnia pachniała kartoflami z pieca,
w Jego pieczy nie pękały jej dłonie od ługu.
Bezpiecznie, ciepło, pachnąco i tkliwie, 60 lat od miejsca, gdzie otwarła oczy,
bo w Michowie takie jak ona, z krzywym brzuchem to pewnie latawice i... aż strach wymówić.

Młodość

Zaśnij, przytul swoją głowę tam, gdzie wcześniej pocałunek.
Pośród złota i zieleni, rozrzuconych na poduszce,
niech cię do snu ukołysze ta muzyka, którą jeszcze dookoła nocy słyszę.
A gdy uśniesz, nie odpływaj do księżycy, wronim szlakiem,
zanurz palce w moich włosach, siwych włosach tej jesieni.

ZBIGNIEW
WŁODZIMIERZ
FRONCZEK

Legendy
lubelskie



Koszula cara Aleksandra

PUŁAWSKI DWÓR KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH zawsze przyciągał ludzi nauki i sztuki. Magnacka rezydencja zniszczona w czasie powstania kościuszkowskiego została starannie i gustownie odnowiona za sprawą księżnej Izabelli. Księżna zapisała się w historii jako osoba sentymentalnych gustów i egzaltowanego patriotyzmu. Myśl o kolekcjonowaniu pamiątek narodowych popchnęła ją do wzniesienia w roku 1801 w przypałacowym parku klasycystycznej Świątyni Sybilli, zaś w wybudowanym osiem lat później Domku Gotyckim zgromadziła „starożytności zagraniczne”. To były jedne z pierwszych muzeów polskich.

Na puławskim dworze pojawiły się również koronowane głowy. Koźmian w swych „Pamiętnikach” odnotował pobyt cara Aleksandra w roku 1804 oraz obecność Fryderyka Augusta, króla saskiego, w roku 1810. Ten pamiętnikarz i poeta miał szansę obejrzeć i porównać obie wizyty. Nie on jeden przecież. Świadków tych wydarzeń było wielu. Napływ gości do Puław był olbrzymi. Dla wielu zabrakło miejsc w gospodach i zajazdach. Ale Koźmian był osobą szanowaną i lubianą, znalazł gościnnie w dworku jednego ze służących Czartoryskich. Został też przedstawiony obu monarchom. I pozostawił w swym dziele ich fotograficzne opisy. „Pierwszy raz ujrzałem tego księcia – pisał o Fryderyku Augustie – i zachowałem w pamięci rysy jego poważnej, z pozoru surowej, a istotnie dobroć, łagodność i spokojność malującej twarzy”. Niechże nikogo nie dziwią takie słowa. Koźmian to dworak i służalec. Nigdy nie unikał słów wielkich i wzniosłych, kiedy przychodziło opisywać możnowładców. – Carowi – zwanemu w pamiętnikach cesarzem, gotów byłby nieba przychylić. Tak go zobaczył w Puławach: „Cesarz Aleksander miał wtedy lat 22 (lub cztery), gdyby był prywatnym człowiekiem, byłby najpiękniejszym, najurodziwszym z twarzy i postaci, najmilszym w obcowaniu, najprzyjemniejszym, najgrzeczniejszym z wychowania, które odebrał i z zalet umysłowych, którymi jaśniał, młodzieńcem; cóż dopiero mocarz najpotężniejszego państwa w samym środku rozkwitniętej wiosny, bożyszczu, że tak powiem, z początków panowania swego, swoich i obcych nadzieja całej ludzkości”.

Łatwo dostrzec, iż w pamiętnikarzu więcej entuzjazmu, sympatii, ba, uwielbienia, wyzwałała osoba cara. A jak przebiegały same wizyty?

Fryderyk August przyjęty został w pokojach ozdobionych wszystkim tym, co Puławy miały najpiękniejsze. Ale król za nic miał te puławskie ozdoby, cacka, bibeloty i świecidełka. Polecił je usunąć ze swoich apartamentów. Służba więc umieściła w pokojach znakomitego gościa jedynie skromne i szczupłe łóżko żelazne, które zawsze wożono w królewskich bagażach. Nie przyjął też gość warty czyli straży przed progiem, zadowolili się jedynie strażą honorową przy bramach dziedzińca. Obiad zaś spożywał w samotności. Pożegnanie było też oschłe. Żadnych wylewności. Odbyło się na nadwiślańskim brzegu. Księciu Czartoryskiemu nie zezwolił nawet, aby towarzyszył mu w drodze na statek. To generał Sokolnicki wprowadził króla na pokład. Kotwicę szybko podniesiono, statek popłynął szybko, z prądem, ku Warszawie. Koźmian nie zapisał, czy pomachano sobie chusteczkami. Gospodarz nie był więc kontent z niemieckiej pedanteryjnej etykiety. Księżna zaś była wielce zawiedziona, że jej wysiłki wynajdowania sposobów bawienia gościa nie zostały skwitowane nawet grzecznym słowem. A przecież zapamiętano w rodzinie Czartoryskich święto sprzed sześciu lat, gdy pod Puławy nadciągnął car Aleksander z 80-ma tysiącami wojska. Potrafił wyżyć i taką armię, ale ileż padło wówczas czułych i miłych słów! Ach, gość z Petersburga – wdychał Koźmian – ten dopiero czarował. Faktycznie, był uprzejmy, grzeczny, ujmujący. Gdzie takiemu niemieckiemu mrukowi do rosyjskiego światowca!

Cesarz – zachwycał się nasz olśniony pamiętnikarz – jeździł zawsze w otwartym pojeździe z księżną Czartoryską, Wirtemberską, panią Zamoyską. Księżny Wirtemberskiej inaczej nie nazywał tylko „ma tante”. Atmosfera zbratania udzieliła się również słynnemu polakożercy, carskiemu dworakowi Nowosilcowowi. Ten do księcia Adama Czartoryskiego zwracał się słowami: „Cher Adam”.

Odwiedzał cesarz Świątynię Sybilli, Gotycki Domek, rozczulał się nad narodowymi pamiątkami polskimi. Księżna opowiadała o swoich zbiorach, czyniła to z pasją, bo

sposobność do egzaltowanych uniesień była wprost niecodzienna, a gość „tym więcej okazywał, jak go wszystko obchodzi, jak zajmuje, co polskie, jakby chciał dać do zrozumienia, że będzie ich opiekunem i stwórcą”. To dalsze słowa zachwyconego pamiętnikarza. A cesarz był bez wątpienia wytrawnym graczem politycznym. I jeszcze jeden szczegół. W księdze, gdzie zwykli zapisywać się odwiedzający Świątynię, złożył swój podpis. Nie chciał jednak swoją sygnaturą nowej zacząć, lecz księgę „dawną swoim imieniem zamknął”.

W tym czasie, kiedy w Puławach okazano tyle grzeczności, uprzejmości i łaskowości dla Polaków, Napoleon już gromadził hufce. Pod Austerlitz wśród pokonanych znalazł się również car Aleksander. W Polsce, o jedności mowy być nie mogło, byli więc zachwyceni sukcesami Bonapartego i przerażeni. Obóz puławski wpadł w panikę. Na dworze Czartoryskich zapanowała rozpacz. Najbardziej lękano się o losy cara Aleksandra. Ten jednak szczęśliwie uszedł z życiem z pola bitwy. Z terenów austriackich przez Kraków umykał do swego Petersburga. Trasa ucieczki wiodła szlakiem polskich królów, od Krakowa ku Wilnu. Wisłę przekroczył, jak wcześniej Bolesław Śmiały i Stanisław August Poniatowski, pod Piotrawinem. Wśród ludu przetrwały anegdoty o carskiej ucieczce. W pewnym miasteczku wygłodniały monarcha ruszył do klasztoru i znanego z gościnności przeora miał prosić o posiłek. Przeor wziął cesarza za oficera pobitej armii, uraczył chlebem i wódką, i nie odmówił sobie żartu pod adresem uciekiniera.

– Podobno waszemu cesarzowi okrutnie napędzono strachu – tak brzmieć miała kpina.

– Strachu nie – wyjaśniał gość – ale przegraliśmy bitwę.

Żarcik duchownego przytoczył Koźmian. Miejsca zdarzenia jednak nie podał. A facejoniści z okolic Opola Lubelskiego jeszcze dzisiaj zapewniają, iż to na opolskiej plebani i miał miejsce ów dialog. Aleksander, po posiłku, dotarł do Lublina. Tu postanowił wypocząć. Koźmian, choć pamiętnikarz skrupulatny, nie wskazał również dokładnego miejsca postoju. Te fakty znał bowiem jedynie z przekazów. Mało znana lubelska legenda głosi, że carski postój wypadł w zajeździe kulawego Joska. Gdzież stała owa gospoda? Ponoć przy trakcie na Lubartów. Zajazd Joska zwano później stajnią carską bądź aleksandryjską. Nie były to nazwy sprzyjające popularności, gospody lublinianie nie lubili. Od pobytu cara upłynęło lat kilkadziesiąt, a zła sława nie przemijała. Kiedy karczmę spalono po raz drugi, nowy właściciel, syn Joska, nie zadał sobie trudu odbudowania. O postoju cara w Lublinie zapomniano. A cesarz Aleksander zatrzymał się jeszcze w Międzyrzeczu. Koźmian wskazuje już dokładnie miejsce i cel postoju. Miało to się zdarzyć przed domem księcia Konstantego Czartoryskiego. A cel przyświecał carowi jeden. Zmiana koszuli. Gdyż tej, co miał na grzbiecie, nie zmieniał od Austerlitz. ■

Konkursy literackie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Lubelskiego



UWAGA MŁODZI AUTORZY!

Lubelski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich ogłasza doroczny – XXXIII już – konkurs literacki na tomik poezji lub prozy. W konkursie mogą wziąć udział młodzi autorzy z Lublina i Lubelszczyzny, nie zrzeszeni w literackich związkach twórczych. Na konkurs należy nadesłać – pocztą tradycyjną – zestaw wierszy (ok. 35-50 utworów) lub około 120 stron prozy z tytułem, w trzech egzemplarzach.

Regulamin Konkursu Literackiego „Na najlepszą książkę młodego autora”

1. Organizatorem XXXIII Konkursu Literackiego „Na najlepszą książkę młodego autora” jest Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddziału Lubelskiego (20-112 Lublin, ul. Złota 3).
2. Cele konkursu: • rozbudzenie wrażliwości i aktywności twórczej w dziedzinie literatury; • promocja talentów literackich; • zwiększenie aktywności różnych środowisk twórczych; • popularyzacja Lublina i regionu lubelskiego.
3. Nagrodą w konkursie jest publikacja najlepszego zestawu zgłoszonego do Konkursu. O wyborze najlepszego zestawu zadecyduje kompetentne Jury powołane przez Organizatora. Laureat/ka otrzyma 50 egzemplarzy wydrukowanej książki.
4. Ogłoszenie wyników nastąpi w grudniu 2023 r. podczas finału festiwalu literackiego Pisarze Świata w Lublinie.
5. Do Konkursu zapraszamy osoby pełnoletnie do 35. roku życia, mieszkańców Lublina i Lubelszczyzny.
6. Z udziału w konkursie są wyłączeni członkowie SPP, ZLP, SAP i SA ZAiKS.
7. Uczestnik, zgłaszając się do konkursu oświadcza, iż przysługują mu wyłączne, nieograniczone prawa autorskie do nadesłanych prac i taki zapis umieszcza w informacjach kontaktowych.
8. Udział w konkursie jest jednoznaczny z akceptacją jego Regulaminu.
9. Wiersze i proza powinny być zapisane w maszynopisie w 3 egzemplarzach i nie mogą być wcześniej nagradzane na konkursach literackich.
10. Każdy utwór należy opatrzyć godłem – słowem, umieszczonym w prawym górnym rogu kartki z wierszem: to samo godło powinno występować na dołączonej kopercie z danymi o autorze – imię, nazwisko, krótka informacja o autorze, adres, numer telefonu, adres e-mail oraz oświadczenie o treści: „Oświadczam, że jestem autorką/autorem wierszy nadesłanych na konkurs. Wiersze nie były wcześniej nagradzane na innych konkursach” plus czytelny podpis.
11. Nazwisko zwycięzcy podane zostanie na stronach internetowych Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz na profilach Facebook.
12. Zestawy konkursowe należy przesłać pod adres: **Wydawnictwo Polihymnia, ul. Deszczowa 19, 20-832 Lublin z dopiskiem: „KONKURS Literacki SPP”**.
13. Termin nadsyłania prac: **do 30 września 2023 roku**.
14. Jeden autor może przysłać kilka zestawów wierszy i prozy.
15. Niniejszy regulamin jest dostępny na stronie: www.spplublin.pl

UWAGA PROZAICY! LAUR BOLESŁAWA PRUSA CZEKA!

Tradycyjnie już, po raz dwudziesty dziewiąty, w grudniu 2023 roku, w czasie Festiwalu Literackiego „Pisarze Świata w Lublinie” odbędzie się wręczenie wielkiej lubelskiej nagrody literackiej. W tym roku będzie to **XII Ogólnopolska Nagroda im. Bolesława Prusa**, przyznawana w dziedzinie prozy. O ten zaszczytny Laur mogą ubiegać się autorzy, którzy w latach 2022-2023 opublikowali powieści, zbiory opowiadań, gawęd, esejów. Nagroda może być przyznana również za całokształt twórczości.

Opublikowane książki – wraz z formularzem zgłoszeniowym – należy nadsyłać **pocztą do 1 października 2023 roku** pod adres: **Wydawnictwo Polihymnia, ul. Deszczowa 19, 20-832 Lublin z dopiskiem „Laur B. Prusa 2023”**. Prosimy o dostarczenie dwóch egzemplarzy tytułu. Książki kandydujące do nagrody mogą nadsyłać autorzy, wydawnictwa, biblioteki, instytucje, a także osoby prywatne. Laureat uhonorowany zostanie pamiątkowym dyplomem i nagrodą pieniężną. Nagrodzony tom zostanie zaprezentowany na uroczystym wieczorze autorskim laureata. Jury powołanemu przez Organizatorów przewodniczyć będzie prof. dr hab. Jadwiga Mizińska.

Formularze zgłoszeniowe oraz regulamin konkursu dostępne na stronie: www.spplublin.pl

ZBIGNIEW
WŁODZIMIERSKI

Przysłowia
i powiedzenia
lubelskie



Odpowiedzialność za lubelską komedię

„DIAGNOZĘ MA NIEZŁĄ NATOMIAST LECZENIE FATALNE. Broń Boże nas przed Lepperem. Za niego nie będzie ani lepiej ani śmieszniej”. Kiedy Lech Wałęsa wypowiadał te słowa karierę polityczną miał za sobą, przed Lepperem były jeszcze kolejne wybory, dni zasiadania w ławach poselskich i w rządzie.

W roku 2006 szef Samoobrony został wicepremierem, wbrew obawom Lecha Wałęsy sytuacji do śmiechu w otoczeniu Andrzeja Leppera nie zabrakło. Zdarzyło się, że mieli w tym swój udział i lublinianie. Otóż w lubelskim teatrze muzycznym wybuchła awantura o kierowanie placówką. Tu sparafrazuję staropolskie przysłowie i opowiem, że jedni chcieli Poniatowskiego drudzy Bonieckiego. Dziś brzmi to zagadkowo, więc wyłożę czy też przypominę, że część zespołu opowiedziała się za Poniatowskim, drudzy za Bonieckim. Obaj panowie byli dyrektorami i obaj chcieli nimi pozostawać. Ci od Poniatowskiego postanowili poszukać pomocy w Warszawie, jednakże nie u ministra kultury (M. J. Ujazdowskiego) lecz u wicepremiera Leppera. Łatwiej pomarzyć o spotkaniu z premierem (czy też jedynie wicepremierem) niż przekroczyć próg jego gabinetu. Ktoś bywały w świecie polityki podpowiedział artystom, że droga na pokoje wicepremiera wiedzie przez gabinet posła Filipka, zaufanego człowieka Leppera. Poseł Krzysztof Filipek w przeszłości związkowiec, rolnik i producent płyt betonowych został w tamtym czasie sekretarzem stanu w kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Znalazł czas dla gości lubelskiego teatru, poczęstował kawą i kruchymi ciasteczkami, po wysłuchaniu ubolewań nad losem prowincjonalnego aktora, wywiązał się dialog, który – po jakimś czasie – dwukrotnie zrelacjonowała mi osoba z lubelskiej delegacji. Notatki z rozmowy nikt nigdy – jak się wydaje – nie sporządził, relację przytaczam jako pierwszy, zaznaczam, że bez obróbki literackiej jak też bez złośliwości i komentarzy.

– Co wy tam w Lublinie przedstawiacie? – zainteresował się w pewnym momencie sekretarz Filipek. – *Wesołą wdówkę, Straszny dwór, Cyrulika sewilskiego, Upiora w operze, Czarodziejski flet...* – Taką odpowiedź uzyskał. – Co to jest? Pośmiać się można? – dociekał sekretarz.

– To pierwszorzędne komedie! – pospieszył z wyjaśnieniem ktoś z lubelskiej ekipy.

– Lubicie na wesoło! – ucieszył się gospodarz. – No to weźmiemy odpowiedzialność za lubelską komedię! – zapewnił na pożegnanie.

Wydaje się, że sekretarz słowa dotrzymał!

*

Lublin – a jakże – pojawił się w życiu wicepremiera. Zaistniał dzięki lubliniankom. Te – jak wiadomo – słyną z urody. Już w dawnej Polsce powiadano:

Toruński piernik,
a wódka gdańska
warszawski trzewik
lubelska panna...

Wiedziano również, że lublinianka ładna, miła, ale niestała. Powiedzenie bez wątpienia trafne, nigdy nie straciło na aktualności. Była szefowa młodzieżówki Samoobrony w Lublinie, oskarżyła Andrzeja Leppera o molestowanie seksualne. Przeciwnicy Leppera, których nigdy w kraju nie brakowało, zatarli z uciechy ręce. Przedwczesna radość. Kobieta zeznań złożonych w prokuraturze nie potwierdziła jednak przed sądem, bo nie stawiała się na przesłuchanie.

Więcej determinacji w oskarżeniu Leppera o przestępstwa seksualne wykazała pewna niewiasta z Łodzi. No cóż – jak Polska długa i szeroka – znane jest powiedzenie: łodzianka ładna, miła i kłótniwa.

Pracownik teatru – na którego się powołuję – poinformował mnie również, że oskarżycielka z Lublina, która nie zdecydowała się na zeznania w sądzie, większą odwagą wykazała się jako autorka sztuki komediowej. Z nadzieją na sukcesy literackie napisała śmiałą trzyaktówkę zatytułowaną *Uwiedziona i porzucona* poświęconą życiu erotycznemu pewnego polityka. Kto przeczytał, ten bez trudu mógł odgadnąć, co to za gracz polityczny wiedzie tak rozpustny żywot. Dyrektor teatru wiele dni medytował nad tekstem nadesłanym ze słonecznej Italii. Ponoć – w trakcie lektury – zaśmiewał się z niektórych scen. Nieestety, nie wziął odpowiedzialności za komedię nadesłaną z Włoch. Czasy były już inne. ■



Mariusz Kiryła, *Wicklow Mountains 1*, 2023 r.

Mariusz Kiryła

MALARSTWO DROGĄ DO POZNANIA SIEBIE I ŚWIATA



Mariusz Kiryła, *Wicklow Mountains 2*, 2023 r.



Mariusz Kiryła, *Sans titre* (1 z 4), 2022 r.



Mariusz Kiryła, *Sans titre* (3 z 4), 2022 r.



Mariusz Kiryła, (1z3), 2023 r.



Mariusz Kiryła, (1z3), akryl, płótno, 100×100, 2021 r.



Mariusz Kiryła, (2z3), 2023 r.



Mariusz Kiryła, (2z3), akryl, płótno, 100×100, 2021 r.



Mariusz Kiryła, (3z3), 2023 r.



Mariusz Kiryła, (3z3), akryl, płótno, 100×100, 2021 r.



Mariusz Kiryła, (3z5), 2021 r.



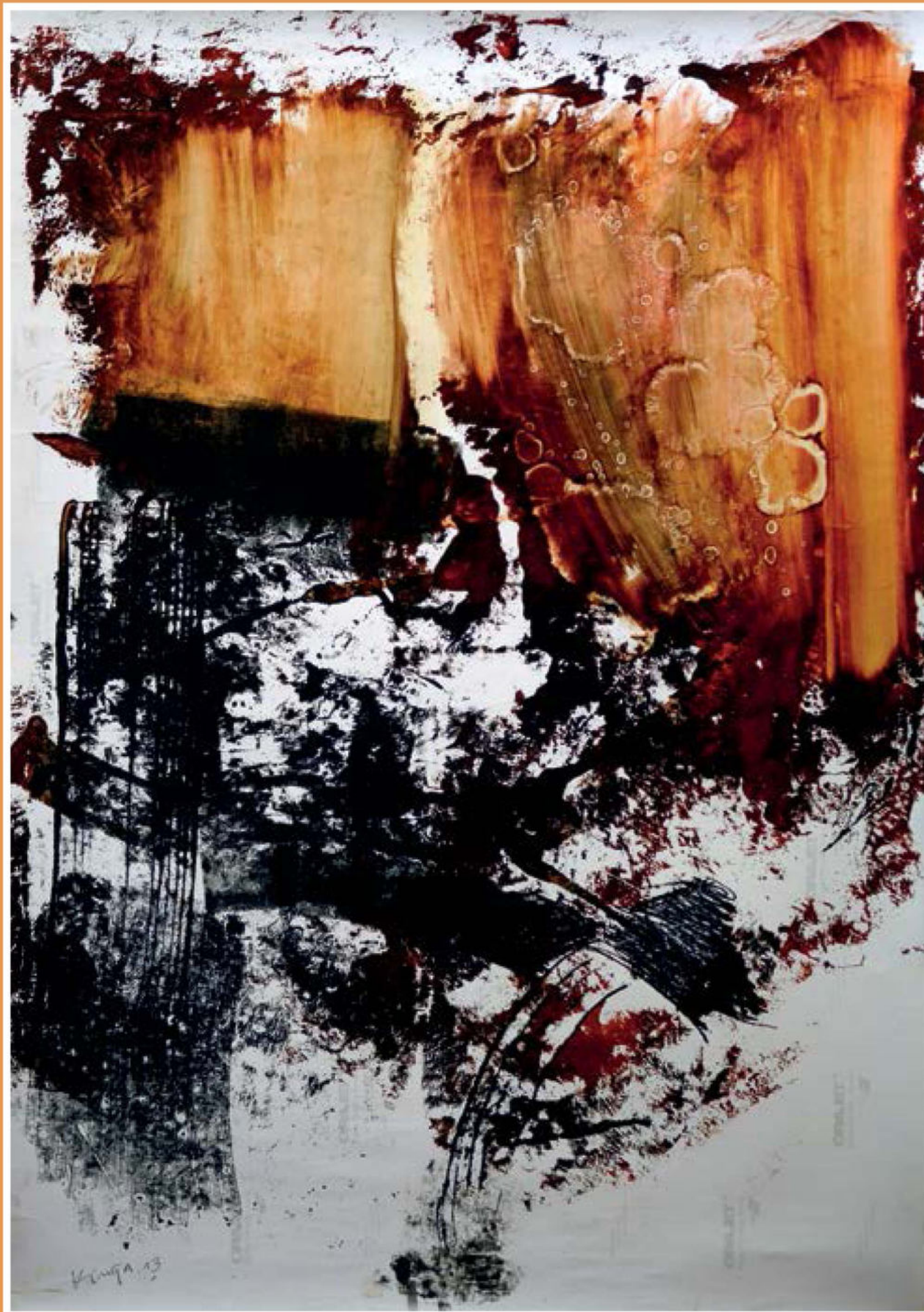
Mariusz Kiryła, (5z5), 2021 r.



Mariusz Kiriya, 2013. r. (*Sans titre, monotype mnm*)



Mariusz Kiriya, 2013. r. (*Sans titre, monotype mnm*)



Mariusz Kuryła, 2013. r. (*Sans titre, monotype mnm*)